



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie . (52 tomy) . rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). „ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów). „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.

Redakcja i
Biuro: w Ło



10066030

Druk

Świat 47. — Telefonu 564.
Zwiazek Plac Maryacki L. 4
Łódź, Nowy-Swiat 47.

egz. 4 17/24-11-40
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWY

24B

№ 59

Pamiętniki

FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO



Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

Cena 40 ko

W prenumeracie 30 1/2

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Swiat 47.

1808.

~~WŁASNOŚĆ BIBLIOTEKI
Ambasady w Bukareszcie~~
~~№ 3095-537~~

400 500

Don Ks. J. Chmielowski
Nr 52.
~~1068~~

PAMIĘTNIKI

Franciszka Karpińskiego.

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.



~~WŁASNOŚĆ BIBLIOTEKI~~
~~Ambasady R. w. W. w. Warszawie~~
~~Nr 3826 537~~

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.



821.162.1(091)A12

82515 / C

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Октября 1898 года.



Franciszek Karpiński.

„Poeta serca“ — tak nazwano Karpińskiego już od bardzo dawna — był typowym przedstawicielem jednej z faz uczuciowego nastroju, który się u nas wytworzył w drugiej połowie XVIII wieku pod wpływem „ogłady“ francuskiej.

Wprawdzie nie mieliśmy wówczas takich salonów jak paryzkie, a więc nie czuliśmy i tego skrepowania konwenansami, jakie w stolicy gustu i mody istniało; to też i oddziaływanie przeciwko niemu nie posiadało u nas tych cech jaskrawych, krańcowych, które się we Francyi ujawniły wybitnie. Istniała u nas atoli, może w wyższym niż we Francyi stopniu, pewna surowość obyczajowa, zwłaszcza we wzajemnych stosunkach rodzinnych — jak to czytelnicy zobaczą w samych *Pamiętnikach* Karpińskiego; — surowość ta przechodziła niekiedy w srogość. Otóż pod wpływem miękkich, łagodnych, sentymentalnych usposobień, będących wynikiem nowego zwrotu obyczajowego w Europie, surowość ta zaczęła tracić swe naprężenie, gdyż „ogłada“ wymagała pewnej pobłażli-

wości, pewnej grzeczności i uprzejmości, aby się „dzikie“ obyczaje Sarmatów wypolerowały. Rubasność, gwałtowność i popędliwość zaczęto ganić, wyśmiewać, wyszydzać, zalecając natomiast wytworny dowcip, umiarkowanie w słowie, słodycz i wyrozumiałość. Niebawem wskutek łagodnienia charakterów, przeczulenia nerwów, nadeszła tkliwość, rzewność i łzawość, uwielbienie dla prostoty, szczerości, dla jakiejś wsi idealnej, jakichś szczęśliwych i dobrych pasterzy i pasterek.

Na taką chwilę przetwarzania się obyczaju staropolskiego przypadło urabianie się charakteru Karpińskiego. A że z natury był skłonny do uczuć łagodnych i tkliwych, nie mając wcale usposobienia do animuszu rycerskiego, więc tem silniej i tem żywiej odczuł wpływy nowego prądu.

Urodził się 4 października 1741 roku w zapadłej prowincyi na Pokuciu, we wsi Hołoskowie, w powiecie Kołomyjskim. Rodzice jego, Jędrzej i Rozalia, nie byli wykształceni i podzielali wyobrażenia, nalogi, przesady i zabobony niezamożnej warstwy szlacheckiej; ale odznaczyli się surowem pełnieniem wziętych na się obowiązków. W ósmym roku życia Franciszek, umiając już czytać i trochę pisać, wszedł do pobliskich szkół jezuickich w Stanisławowie, gdzie nawet wyższe studia filozoficzne w duchu średnio-wiecznym odbywał, które w starości bardzo lekko cenił i potępiał.

Pierwsze żywsze uczucie w sercu studenta obudziła Maryanna Brösellówna, córka kapitana saskiego. sierota bez matki i ojca, uważana za najpiękniej-

szą i najcnotliwszą pannę na Pokuciu. W walce uczucia z rozsądkiem, rozsądek zwyciężył. Karpiński zadowolnił się utrwaleniem miłości swej w pieśni. Napisał pierwszą sielankę swoją, a raczej pieśń tkliwą, p. t. „Tęskność na wiosnę do Justyny,“ a i później niejednokrotnie pod tem przybranem imieniem ją wyślawiał.

Sam wyjechał do Lwowa na kurs teologii w kolegium jezuickiem; księdzem jednak nie został, choć go do tego Jezuici namawiali. Pociągał go ku sobie świeatek; niebawem zakochał się w żonie Ponińskiego z Zahajpola, która się stała dla niego drugą „Justyną.“ Do Konfederacyi Barskiej nie wszedł, choć się wybierał; pojechał natomiast w r. 1770 do Wiednia, jako towarzysz młodego Puzyny, który z gubernierem swoim, Jezuitą, miał wstąpić do *Theresianum*, sławnego wówczas zakładu naukowego w stolicy austriackiej. Karpiński przepędził tu półtora roku, zapoznając się prawdopodobnie z literaturą francuską, z której najczęściej przemówiły do jego serca utwory Roussa, pełne uczuciowości.

Do kraju wrócił r. 1771 przez Węgry. Zapożony od Ponińskiej, zadzierzawił wioskę Wierzbowice, potem kolejno inne, w końcu Żabokruki. Śmiało się z niego początkowo, iż gospodarował z książki, ale on się tem nie zrażał i uczył się gospodarkę od chłopów, z którymi żył w zgodzie najlepszej. Zabierał dużo znajomości, ale i pisanie nie zaniedbywał, chociaż wogóle płodność jego autorska nie była wielka.

Słyszając dużo o krolu, jako opiekunie literatów

oraz o księciu Adamie Czartoryskim, generale Ziemi Podolskich, który sam był także autorem, zebrał Karpiński pisma swoje i wydrukował we Lwowie 1780 roku p. n. „Zabawki wierszem i prozą,“ dedykując je księciu Czartoryskiemu. Niebawem miał sposobność poznania księcia osobiście, który zapraszał go usilnie do Warszawy.

Wybrał się Karpiński do stolicy w 1780, lecz żyć się z nią nie umiał; obyczaje dworskie nie mogły pociągać ku sobie człowieka, który chciał iść „prawdą“ na świecie i prawdę tę bez obślonek głosić. Powrócił tedy w r. 1783 do Galicyi, a swoje zawiedzione nadzieje, żal do „panów,“ zrezygnowane postanowienie pracy na roli i przygarnięcia biednej rodziny, przedstawił w słynnej elegii „Powrót z Warszawy na wieś.“

Niedługo jednak mógł teraz na roli pracować; lubo narzekał na Warszawę, tęsknił do niej, bo tam było ognisko literatury. Porzucił dzierżawę i zjechawszy do stolicy ponownie, bawił w niej lat cztery, biorąc piórem udział w rozprawach, obudzonych obradami sejmu czteroletniego. Wreszcie, wyrobiwszy sobie przywilej 50-letni na osadę Kraśnik w gubernii Grodzieńskiej, powiecie Prużańskim, na seryo oddał się gospodarce, mało w towarzystwie bywając. Pracą i oszczędnością dorobił się po 20-tu latach 130,000 złp. Za 100,000 kupił wieś Chorowszczyznę, tam na stare lata się przeniósł i tam zmarł 16 września 1825 roku. Pochowany został w Łyskowie; nad mogiłą wzniesiano mu grobowiec z napisem, wziętym z „Powrotu na wieś“ — *oto mój dom ubogi!*

Karpiński, jako poeta, nie bawił się w wytworność, czy to pod względem stylu, czy wiersza, dbał jeno o to, ażeby czułość oddać jaknajponętniej, zgodnie z wymaganiami ówczesnego sielankowego nastroju. W ubieganiu się o wyrażenie czułe i tkliwe, często przesadził; jak dla nas, jest w jego sielankach za dużo żalów jałowych, łez i omdleń. Ponieważ jednak wszystkie te cechy czułości niezwyklej, która wszelako nikogo w chorobę, ni rozpacz nie pogrążała, były pochwalane przez modę, więc współczesnych nie tylko nie raziły, lecz stanowiły powab istotny. „Poeta serca“ uchodził za wzór prostoty, naturalności i szczerości w wyrażaniu uczuć serdecznych. Popularność jego „Laury i Filona“ świadczy wymownie, w jakim rodzaju pożądanego karmu dla serca. Dla nas dzisiaj najpiękniejszym utworem Karpińskiego są „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta,“ w których streszcza się jego usposobienie i talent.

W życiu politycznym Karpiński nie brał czynnego udziału, ztąd w jego „Pamiętnikach“ nie należy szukać szczegółów do dziejów narodu; szczerze wiadomości, jakie pod tym względem podaje, niewielką posiadają wartość. Natomiast jako źródło do poznania obyczajów z drugiej połowy XVIII w. są one nader ważne. Przymiotem głównym Karpińskiego, jako pamiętnikowca, jest zupełna szczerość. Nie stara się on ukryć wad swoich, lecz się z nich spowiada otwarcie; czasami zdaje się nam, jakby nie czuł niewłaściwości pewnych postępków swoich i obcych, czasami znów okazuje się aż zanadto drażliwym i zbyt mocno przekonanym o usługach, jakieby mógł oddać krajowi, gdyby z jego talentów chciano skorzystać,

gdyby, jak mówi, był „popłatnym.” Obrazki, z życia wzięte, są wszystkie bardzo znamienne, a jako świadectwo społecznika, który nie zamierzał nic obwijać w bawełnę, zasługują na wiarę. Często z jego opowiadania nie możemy się zbudować, ale zawsze możemy się czegoś nauczyć.

Piotr Chmielowski.

Urodziłem się w r. 1741 dnia 4-go 8bra w ziemi halickiej na Pokuciu, w pow. kołomyjskim, we wsi Hołoskow, 3 mile od Stanisławowa, z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. Zdarzenie osobliwsze w domu rodziców moich w tym dniu przytrafiło się: Kozłowski, sąsiad i przyjaciel ojca mego, przestrzegł go kilka godzinami przed mojem urodzeniem, że w nocy sławny na Pokuciu rozbójnik, Olexa Dobuszczyk, dokazujący w tamtych stronach, razem z dwunastu swoich małojców, miał dla rabunku napaść na dom rodziców moich. Już moją matkę boleści rodzenia napadły, a ojciec dom z bojaźni może zatracenia życia porzuciwszy, z czem mógł naprędce do pobliskiego lasu schronił się, zostawiwszy rozporządzenie, ażeby okropnemu temu gościowi z towarzyszami jego, chleb, ser i gorzałka najobficiej na stole rozstawione były. Może w godzinę po urodzeniu mojem, przyszedł z swoimi Doboszczyk; matkę tylko moją leżącą i babę, która mnie odebrawszy, omyła i na rękę trzymała, nikogo więcej w całym domu nie zastał. Matka nic mówić nie mogła dla bólu i strachu, ale baba, przystąpiwszy ze mną na rękę do Doboszczyka: „Oto (powiada) godzina, jak to się dziecię urodziło, miej pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiącą i na to niemowlę, nie rób tu żadnej przykrości, kiedy cię, jak dobrego gościa, przyjmujemy.“ Zmiękczyło to serce rozbójnika i mołojcom swoim skromnie obeiść się przykazawszy, do iedte-

nia i wódki obficie dostarczonej zasiadł, babie potem dał trzy czerwone złote, a matki mojej prosząc, ażeby nowo-narodzonemu dziecięciu, na pamiątkę bytności jego w tym czasie w domu naszym, Olexy (jak się i Doboszczuk nazywał) imię na chrzcie nadano, bez szkody najmniejszej z swoimi odszedł.

Czego pamięć moja nie zasięga, a co mi matka powiadała, 5 lat może wieku mojego, brat mój rokiem starszy, Kajetan, umarł; kiedy wszyscy śmierć dobrego tego chłopca (jak powiadano) oplakiwali, ja jeden wesół byłem, że sukienki po nim pozostałe, a lepsze od moich, mnie się dostawały, tak od dzieciństwa miłość własna mocniejsza w ludziach nad wszystko! Ale to już dobrze pamiętam, jak w rok może potem matka nasza ojcu i wszystkim nam powiadała, że syn jej nieboszczyk, Kajetan, widocznie się jej po śmierci pokazał i kiedy go wypytywała się, na jakiej drodze umarła jej siostra była, Kajetan odpowiedzieć miał: „Wielkiż to tam świat mamusiu i ciężko każdego obaczyć!“ To dowcipne ratowanie się, ażeby i prawd tamtego świata nie objawiać i matce pytającej się odpowiedzieć, dało cechę prawdy snowi zapewne, że pokazaniu się Kajetana powszechnie wierzono w okolicy. Ale wiek dzieciństwa wiekiem był wiary zabobonej i przywidzeń. Taż pobożna matka moja dobrą jakąś duszę po północy widziała (bo duchy tylko przed północą ukazywały się), białą ubraną, z cierniem po przyściece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potem przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się. Kosztowało to widzenie ojca, dzieci wszystkie i czeladź, bośmy wnet przebudzeni, pacierze, klęcząc przez trzy godziny, przy obiciu, za tę duszę, potrzebną ratunku, odmawiać musieli. Ojciec nasz słyszał, jak św. Józef z obrazu swego, który był w izbie, wymówił to słowo: „Cnota;“ widział w wigilię Bożego Narodzenia, także po północy, Najświętszą Pannę, na niebie w złotym robronie, widział upiora, pokazywał nam

wielu włóczących się, opętanych od dyabła, powiadał wiele historyj o zaczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się dyabłom, o czarownicach, o babach na Łysą-Górę na ożogu kominem wylatujących, również jak o lunatykach, którzy kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył w nocy przez szczelinę, przez sen przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki włóczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów na stół rzuconych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę najchętniej w dom przyjmował. Z tych wszystkich zabobonów im bardziej im w tamtych czasach wierzono i obawiano się, tem więcej my z nich dzisiaj śmiejemy się. Ojcowie nasi zaś, jak dawniej grecy albo rzymianie, wszystko w urojonych cudach widzieli.

Matka i ojciec mój byli to razem ludzie najcnotliwsi i najsurowiej powinności chrześcijanina wypełniający. Kłamstwo w dzieciach najstrożej karane było, artykuły wiary najwcześniejszemu nauczaniu, skromność, szanowanie się wzajemne i miłość między rodziną nakazywane; a mimo to starszą siostrę moją, że była po ospie ślepa trzy lata, rozgniewawszy się, czasem ślepą nazywałem, o co ukarany w czasach kiedy mi się naraziła, to słowo „ślepa“ nie wymawiałem, alem tylko oczyma na nią mrugał. Mścić się i dla swego pożytku oszukać znowu i to z urodzeniem naszym rodzi się z nami. Z drugą siostrą moją, kiedyśmy po pacierzu codziennie na śniadanie mleko lub piwo jedli, żem więcej, bo prędzej jedząc zjadał, na co się ona skarżyła, kazałem jej łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoją połowę trzymała, a ja tymczasem jedzący, jej połowę, jak lejką przechodzącą na moją stronę zjadłem. Krzyżyk bursztynowy z szyi jej śpiącej odwiązałem i kobiecie z jagodami przechodzącej za kwartę jagód zamieni-

łem. Ale niedługo udawało mi się oszukiwanie moje; kiedy zmłoczek w stodole naszej nożyk swój prosty na progu położył, a jam go ukradkiem schował, postrzeżony potem od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany, zkadbym go wziął, do zwyczajnego wykrętu, żem go znalazł udałem się. Zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk, kiedy się zmłoczek do niego przyznał, dodając, że ja byłem w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył, kazał naprzód ojciec mój, abym padł do nóg wieśniakowi, przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił. Rozumiałem, że się już na tem mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść różgę i surowy ojciec temuż samemu zmłockowi kazał mi 10 różeg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował, wziął potem sam różgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 różeg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał. O święta ręko ojca mojego (choć cię już nie masz od tak tak dawnego czasu), jeszcze ja cię i teraz w myśli mojej całuję. Tem to ja surowem ukaraniem wziętem wstręt największy w dalszem życiu mojem, co jest cudzego tykać. Karałeś, ojcze, i każdy upór, i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się największe w niem czyni wrażenie, o jakże często, wyszedłszy na świat, przypominały mi się nakazy twoje!

W roku moim ósmym, już umiejąc czytać i trochę pisać, oddał mnie ojciec do blizkich szkół staniślawowskich, gdzie dobrze starszy brat mój, Antoni, już od lat kilku uczył się, ażebym i ja pomalu do szkoły przywykał; było to odwiezienie moje w porze zimowej i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując, do domu odjeżdżał, ja uprzedzony, bojąc się nad wszystko szkoły, za wrotami stancyi, gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiero w pół drogi odkaszlnieniem wydałem się. Tak zaraz

nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście różeg, danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu, interes ten zakończyło.

Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana w. kr. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki, i prawdziwie podobnej ludności to miasto i potem nie widziało i może widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt senatorów, między którymi kilku biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich w tylu gałęziach między najświetniejszymi natenczas, cóż dopiero wojska pozgromadzane, które w tamtym wieku na koronacyach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach dowodziły, cóż dopiero niepoliczone obywatelów mnóstwo, z dalekich nawet województw dla ciekawości pozgromadzane, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło! Ojciec mój mieszkał wówczas w Stanisławowie i mogłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego poczęści już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkciem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnymi oświetlony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotymi frędzlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezgłowiach położonemi przyozdobiony, od drzwi kościelnych, aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi, na koniach wpadając, łoskotu więcej czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę Bożą, kiedy dla człowieka-hetmana z domu Bożego stajnię zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednym, i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiej, inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś, złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny spadał z konia, niby żal

po hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyrządzić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrzucali, ale udał się lepiej niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijani.

Blisko dwóch niedziel odbywa się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście, przyjmowani przez syna zmarłego hetmana bawili w Stanisławowie.

Mieszkając wtenczas w tem mieście rodzice nasi, do siostry mojej starszej, która miana była za piękną, liczni się, najbardziej trzech oficerów różnych, schadzali konkurenci; zaczął bywać z kapelą nadworną i Potocki, Starosta Gurowski, ale ojciec mój za trzecią pańską bytnością, widząc, w jakim celu panicz przychodzi, bez ogródki prosił go, ażeby w domu jego nie bywał, coby dało przyczynę do obmowiska i krzywdę dziecięciu jego zrobić mogło; wszelako kilkunastu oficerów (między którymi był i Gadomski, co potem tak wysoko wzrósł) stale koło panny Maryanny kręciło się, a ojciec mój Zańkowskiemu, mającemu małe dziedzictwo, ale poczciwemu człowiekowi, który się także o siostrę moją starał i w tym tłumie zwyczajnie zdaleka tylko patrzył, mawiał: „Stój tymczasem z daleka, panie Aleksandrze, oni ztąd powychodzą, a ty przyjdiesz na środek“ i to się z czasem ziściło.

Pierwsza, którą w tych czasach widziałem, egzekucya kryminalisty w Stanisławowie wielkie mi uczyniła wrażenie; był to rozbójnik, nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę, czyli ulubioną piszczałkę góralską, na której smutne dumy góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucyę za rękę mnie przyprowadziwszy, stanął ze mną tak blisko, ażebym widział ścięcie zbrodniarza, które, gdy się dopełniło, tak do mnie wiałem tym pomieszanego rzecze: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych

rzeczy i może tak, jak ty, w dzieciństwie nożyk u kogo ukradł, co, że mu wcześniej nie zganiono, postąpił do rzeczy większych, a że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc, że tą drogą żyjąc między ubogimi, nie tak łatwo z bogacić się, puścił się na rozbój, który prędzej spanoszyć może; moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, której jad z czasem o śmierć przyprawi.“ Powiadał nam potem ojciec, jako po zginieniu wyżej wspomnianego zbójcy Doboszczuka, ten Bajurak, jeden ze dwunastu jego mołojców, naczelnikiem zbójckiej bandy obrany i tylko rok jeden dokazywał. Doboszczuk zaś takim zginął sposobem: Blizko lat trzydzieści ze dwunastu swoimi na Pokuciu rozbijając mołojcami, kiedy rotmistrz Przyłuski z półtorasta ludzi, kilkanaście lat za nim po górach chodząc, rady mu dać nie mógł, kiedy nawet górami do Transylwanii przechodząc i tam ścigany przez wojsko węgierskie, a nigdy nie dogoniony, za zgodą panów dziedziców naszych w górach dobra mających, w powiecie kołomyjskim obwołać po wszystkich miasteczkach kazano, ażeby któryby z wieśniaków tamtejszych zabił Doboszczuka, miał z następcami swoimi wolność i grunt, który trzyma, wiecznem dziedzictwem posiadać. Chłop Górski, którego żonę Doboszczuk kochał, umówił się z żoną, a to dla zysków przez dziedziców obiecanych, która pozwoliła, aby mąż, w sieniach z dobrze nabita fuzya w nocy zasiadł i przychodzącemu Doboszczukowi w piersi o kilka kroków wystrzelił. Uszedł jeszcze postrzelony zbójca ćwierć mili w góry, mógł (jak zwyczajnie robił) na swoich, po górach śpiących małojców świsnąć, z których gdy kilku przybiegło, prosił ich i żądał, aby z bliskiej wsi popa mu sprowadzili. Spytany o skarby, które wielkie zgromadził, gdzieby je pochował, to tylko odpowiedział, że jedna „Czarna góra o nich wiedziała.“ Ale kosztowny krzyż dyamentowy, który zawsze na piersiach nosił, a który przed kilku latami napadłszy na

miasteczko Bokoroczany, rezydencję kasztelaństwa Kossakowskich, ze skarbcza ich z innymi droższymi rzeczami wzięty, ten krzyż przez popa odebrany, do właścicieli odesłany był.

Już byłem w szkole gramatyce, kiedy na wakacje przyjechawszy do domu, brat mój starszy, będąc retorem, a mający skłonność do stanu duchowego (co potem ziścił) w blizkiej izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec, zapytał mnie, czyli też i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem z półgodziny same słowa, nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak giesta wszystkie kaznodziejskie udając, jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcej zastanowiło, że w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się nie zastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcej za moje kazanie, jak brat starszy, bo on tylko zimne pochwały, a ja rodzynki i gruszki.

Dzieckiem będąc, w szkołach, już ja ciebie słodka przyjaźni, poznałem. Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko, Sosnowskiego i Malickiego, tak jak oni do mnie, przyłączyłem? Trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniej przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, w sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączyć zwykło; z Sosnowskim, który był w niższej szkole odemnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w której prócz poprzyjęcia przyjaźni, była i obietnica wspólna, że któryby z nas pierwiej umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak na ten czas wierzono możliwości takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na

tamtym świecie powiedzieć, co żeby tem mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu, gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli i dla utwierdzenia tych naszych układów, na teźże samej mszy obadwaj komunikowali.

W pół roku potem, pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszej pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski, według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł, jak długo bezsenne noce w strachu trawione, póki wyspowiadawszy się i komunię świętą przyjąwszy, śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowej szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał, tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem moim, Malickim, raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła; starsze klasy, jako to poetowie, retorowie i filozofowie, w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny, stojąc obok z przyjacielem moim Malickim, podczas kazania śmieliśmy się i łokciami, żartując z drugich, potracali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moją i zaszedłszy poza ławką, z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek, przydawszy głó'no: „złego i w kościele biją,“ a potem poszedł do swojej ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda ze strony ojca, a wstyd z mojej strony, przypominały mi na potem skromność w kościołach.

Raz podczas wakacyj wziął mnie ojciec na sejmiki do Halicza, widziałem tam w kościele kilka razy

dobyte szable, a potem pijanych, siekających się po ulicach, a potem na rynku szlachcica, który padł na kolana przed sławnym zabójstwą Mikołajem Potockim, starostą kaniowskim, i wołał na niego: „Ty jesteś Bóg w Trójcy Świętej jedyny, weź syna mego do konwiktu!“ Śmiał się z tego magnat i syn szlachcica, wzięty do burzackiego konwikt, pewnie za to, że ubóstwiał despotę; ale ojciec mój i te szable w kościele i to rąbanie się po ulicy i to bluźnierstwo Potockiemu na pijaństwo zwał i do jakiego końca przyprowadza, przestrzegł. Był to natenczas w obradach sejmikowych, jako i wszędzie, nierząd największy i było upodlenie uboższej szlachty przez parów, co nas na końcu do zguby ostatniej przyprowadziło.

Jużem miał lat ze dwanaście, kiedy ojciec mój, wyzwany na pojedynek od towarzysza przedniej straży, Janiszewskiego, nazajutrz rano na tę walkę wychodzić miał, i mimo najsurowszego nas przez ojca naszego trzymania, tak się we mnie gorąca dla niego miłość odezwała, że długo w noc pokryjomy szabelkę moją ostrzył, ażeby nazajutrz w czasie rozpoczęcia pojedynku, z tyłu Janiszewskiego w głowę uderzył, choćby mi i zginąć przyszło. Ale zawzięci pogodzili się bez bitwy, a ja zyskałem na tem, kiedy się ojciec dowiedział, bo mi piękniejszą szabelkę kupił. W szkołach mniejszych najpierwszy byłem między kolegami moimi do swawoli; jakże to wiele żydom okien powybijanych? koło domu, gdzie stałem, pozwodzonych ludzi przechodzących porzuconym wśród drogi szóstakiem, przywiązany przez dziurkę do długo skręconej włosieni białej, a patrząc przez okno, kiedy się przechodzący do zdjęcia szóstaka schylał, pociągnąwszy nagle przez okno włosień, szóstak z nią razem ku mnie uciekał; wieleż to, bijąc się w kije (jak był natenczas zwyczaj na rekreacyach), z ręki drugiej piaskiem oczy zasypałem, a potem go kijem w głowę do woli natłukłem. Krew

żywa, która do takich i tym podobnych swywoli poruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiej zawsze nauczył, a tę pilność i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiej się uczącego nie było. Dyrektor mój, Nadziejowski, zwyczajnie przed pójściem z rana do szkoły, pensów na pamięć wydawanych słuchający, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział), że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale też sama żywość zrobiła mnie do mojej religii, wpojonej przez ojca, gorąco przywiązanym; nasłuchawszy się z żywotów św. pustelników, wzięwszy torbę jakąś i dwa chleby, ukradkiem od naszej gospodyni uciekłem w nocy do blizkiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołądźką, pomału do niej przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany, że nie będę mógł do żołądźki przywyknąć. Różga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcej bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy, jest tylko to mówić, a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz św. Sebastjana strzałami pokłutego, przyszła mi znów myśl być męczennikiem dla wiary; wiedziałem, że Chocim, miasto tureckie na Wołoszczyźnie, nie tak od Stanisławowa odległe, umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta Mahometa, proroka muzułmanów, ostatniemi lżyć wyrazić; tak obrażeni Turcy pewnieby mnie za wiarę moją zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwszej, jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały; dużą szpilkę utkwilem sobie w udo, z bólu krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem.

Lubiąc muzykę, najbardziej na skrzypcach, chciałem się jej uczyć najusilniej, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego, jak i mówić po francusku, na

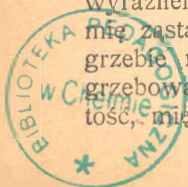
skrzypcach uczyć się także zakazał. Znów źle zrozumiana religia, połączona z chęcią nauczania się na instrumencie, wyganiała mnie z domu do Częstochowy, ażebym ucieklszy z domu tam, służąc przy kapeli kościelnej, razem N. P. Częstochowskiej przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na spowiedzi odradził, nie czynić źle (jak mówił), martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Okolo tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic, służąc za ekonoma u pana (którego nazwiska zapomniałem), człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych został winnym; nie bał się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nic więcej nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia, uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana przystał do drugiego na taką funkcję. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku, pokazano tedy woźnemu i dwom szlachcie, do aresztowania przybyłym, już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowem, że nic się po nim nie zostało, prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana, opowiadając o śmierci zbiega i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tymczasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blisko byli kościoła, kiedy trup mniemany (a którego pewnie crisis choroby uspiła była) ruszać się począł, a wreszcie i wieko od trumny zrzucił.—Czasy to były, w których najwięcej w upiory wierzono i biedni chłopci, zląklszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc, co

się z nim było stało i z trunny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopą kryjącego się, na Boga zaklinać począł, ażeby do niego przystąpił; póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopi nie dowierzali, ale potem zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy, prosił najujulniej tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, „bo ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią, największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniej służąc za jego szkody.“ Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz rano odesłał go do swojego starego pana, u którego stanąwszy, wszedł mniemany trup do pokoju w tym samym kontuszu, w którym był uciekł, właśnie wtenczas, kiedy pan jego dawny, w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącem, na stoliku list pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonomą zmarłego, a obróciwszy się jeszcze na niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiej izby, gdzie się i zamknął. On biedny przede drzwiami prosić począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: „Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu, ale precz!“ Poznano po wszystkich postrachach co się stało i poczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

Już dwa roky odbyłem na retoryce i kilka kazań w niedziele postne na nabożeństwie studenckiem w kongregacyi miałem, kiedy przyjechawszy do księdza brata do Oleśni miasteczka, gdzie był komendarzem i gdzie rodzice moi, już starzy na dewocyi mieszkali, zastałem tam zjazd obywatelów na pogrzeb Aleksandra Roszczyca, porucznika chorągwi pancernej hetmańskiej (co natenczas wiele znaczyło), nazajutrz się odprawiać mający. Przypadkiem przyszedłem do księdza Wójcickiego, scholastyka stani-

sławowskiej kolegiaty, przyjaciela rodziców moich, który na tym pogrzebie miał celebrować, a ten mi o swoim zmartwieniu powiedział, że na zjazd taki wojskowych i rodziny mowy żadnej pogrzebowej nie będzie, kiedy ksiądz, co mówić miał, zachorował. Proponowałem siebie za mowcę, nadewszystko, że Roszczyc nieboszczyk był mi dobrze znajomy i kochał mnie. Z ukontentowaniem ofiarowanie się moje przyjęte od scholastyka, a ja nie bawiąc, powróciwszy do domu, tę mowę sobie napisawszy, uczyłem się jej na pamięć, bo wtenczas nie było zwyczaju z karty czytać. Noc była widna, chodząc po miasteczku, mowę sobie moją w pamięć wbijałem, zdybawszy kilku stróżów nocnych (co po ulicach „ostrożnie z ogniem“ wołali), obiecałem im pół złotego na wódkę, byle razem, co mają siły, ostrożnie z ogniem zawołali. Było to przy jednym domu miejskim, gdzie pułkownik przedniej straży, Cieński, z żoną, z rodziną i z wielu towarzystwa gospodą stali. Okrzyk gwałtownie pod oknem zrobiony obudził wszystkich i kiedy ja na zeptanie krzykaczów półzłotka dobywałem, wypadli z kijami towarzystwo i moich wołaczów dobrze wybili, a ja z półzłotkiem i ze strachem uciekając, przecie ocalałem. Przyszedł nakoniec dzień pogrzebu; gdy już do grobu trumnę spuszczać mieli, zacząłem mowę moją, w której po wielu zmarłego pochwałach, po pożegnaniu wojskowych i sąsiadów, kiedy do pożegnania żony pozostałej i dzieci przyszło, dzieci, które ś. p. matce oddaje, żeby ją cieszyły, miasto niego, a kiedyś obaczywszy się z żoną, którą teraz opuścił, pytać się będzie przed Bogiem o pozostałych sierot wychowanie i obyczajność ich, tak to mocnymi wyrazami i tkliwym tonem głosu wyraziłem, że matka głósnem szlochaniem na czas mnie zastanowiła, niżeli ją utulić mogli. Po tym pogrzebie nastąpił wielki obiad, na którym, że mi pogrzebowa mowa moja zrobiła powszechną tam wziętość, między osobami u stołu najpierwszemi byłem



posadzony, co moją miłość własną najmocniej najpierwszy raz łechtało, co trochę mię nawet pychę nadało.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii przyjechałem na wakacje do brata i rodziców. Mielśmy zawsze największe dla matki naszej, a najbardziej dla ojca groźnego uszanowanie, nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimś rozmawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem, przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie, jak przedtem przechodził się. Kryminałem byłoby spytać się za co to, w milczeniu skromnem, z oczyma w ziemię spuszczone, czekałem końca; wtem ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof, doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz (wtem ukląkł w pośrodku izby i podniosłszy ręce do góry), Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie.“ Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany, ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego wzgardę takową zmasać może.“

Niedługo potem, bo może w pół roku, ten srogi, ale razem najcnotliwszy ojciec, pożegnał nas; przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał

i widząc się blizkim zgonu, matce tylko zalecił: „powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świecie“ i to już ostatnie jego słowa były, bo po nich skonał; po daniu mi znać o trzy mile oddalenia, przyjechawszy, już go ułożonego na katafalku zastałem; żalu mego nie wyrażę, bo był niezmierny, teraz nawet, kiedy to w starości mojej piszę, przyjmij te łzy moje, najlepszy ojcie, które, na wspomnienie o tobie, rozrzewniony wylewam i jeżeli tam, gdzie pewnie szczęśliwszy bawisz, pociecha jaka do was z ziemi przychodzić może, u was pewnie takie łzy nasze milsze, niżeli marne radości nasze!!

W rozpaczy prawie, widząc trupa ojcowskiego, wkradłem się w trumnę, która blisko dla niego przygotowaną była, prosząc i zaklinając, ażeby mnie razem z ojcem pogrzebano, że gwałtem mnie z tejże trumny wyciągnąć musieli, i już mię w osobności kilku naszych przyjaciół trzymali, żem nawet pogrzebu ojcowskiego nie widział.

Cztery lata uczyłem się filozofii głupiej, a natenczas powszechnej, perypatetycznej, traciłem czas młodości mojej najlepszej. Powiedział ktoś: „Ucz się tego za młodu, co ci na całe życie potrzebne będzie.“ Moja perypatetyka jak nikomu, tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła. Porzucił ją z czasem świat oświeceńszy i kiedy świeżo uczony Kant w Królewcu gwałtem znowu do szkół wprowadzić perypatetykę pismami swojemi usiłował, sobie tylko uczynił krzywdę, że użyteczną terażniejszą filozofią na doświadczeniach fizycznych, geometryi zasadzoną, do dawnego powrócić chciał.

W przeciągu kursu filozofii mojej, ciebie ja to miłości najpierwszy raz poznałem; napróżno Jezuiti słodkimi namowami przynęcali mnie, abym do ich nowicyatu poszedł i był Jezuitą, mocniejsza natura nad wymowne przekonywania swoją pójść drogą wolala. Jeżeli żyjesz jeszcze, najpierwsza kochanko moja, zdrowie ci i szczęście!..... więcej stem mil

oddalony, przegrodzony od Pokucia kordonami, obcym ja się dla mojej ziemi zrobiłem, żyjący teraz w Litwie. Maryanna Brösellówna, córka kapitana saskiego, z Turkulówny urodzona, sierota bez matki i ojca, za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę miana na Pokuciu, najpierwszą była, do której się w życiu przywiązałem. Moja do niej miłość była niewinna, jak ona, po całych prawie nocach, ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedym ją raz w piersi pocałował, ze dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność jeszcze mi od ojca mojego wpajane, jakże daleko mocniej ta niewinna panna we mnie ugruntowała. Ona to jest moja Justyna, do której tę najpierwszą z moich sielanek: *Tęskność na wiosnę do Justyny* napisałem, i którą pod tem imieniem tyle razy potem wspominałem. Długo się można kochać, ale długim głodem, nie nasyceniem się; lat kilka i ja w mojej niewinnej i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jej zyskowne trafiło się zamęście, bo prędzej przybiega szczęście, kiedy go pięknej a cnotliwej kobiety oczy zawołały, a ja ubogi, wzięwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jej, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potem rzecze: „ja się dla ciebie prąść nauczę i grzędę kopać będę;“ jużem się do niej wracał i byłbym tego nie żałował, ale jej i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśleć małżeństwo. A tak skończywszy drugi rok mojej filozofii, żebym się nawet od miejsc tych, gdzie ona była, usunął, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie teologii odjechałem razem z Maurycym Cieńskim, Wojciecha Cieńskiego, pułkownika synem, który pod dozór mnie oddany był.

Nowy dla mnie w tej ruskiej stolicy świat się otworzył; blisko przypadłe kontrakty lwowskie nabiły mnie wiele znajomości, między którymi pierwszy był Wacław Rzewuski, hetman natenczas polny ko-

ronny, pan słodki, skromny, najlepszy obywatel, najlepszy mąż i ojciec, któremu, jako piszącemu wiersze, ja także piszący i już cokolwiek z tej strony znany, przez Jezuitów prezentowany byłem. Zaproszono nas na obiad, gdzie między innymi i mój profesor teologii, Starzeński Jezuita, razem z sociuszem braciszkiem u stołu siedział. Wszczął się dyskurs o Rzymie, gdzie Starzeński dawniej czas jakiś bawił, którego hetman zapytał, jak też daleko może być prostą linią do Rzymu ze Lwowa? a ten odpowiedziawszy, że nie wie dokładnie, braciszek w głos odezwał się: 30 mil spełna. Wszyscy rozśmiali się i umyślnie o czym inszem dyskurs hetman rozpoczął. Kiedy po obiedzie ksiądz Starzeński i ja z nim razem pożegnaliśmy hetmana, i ksiądz, wyszedłszy z domu, sociusza braciszka kurtać zaczął, że się tak głupio u stołu z swojemi 30-stu milami do Rzymu wyrwał, on mu odpowie: „jużci lepiej zrobiłem, jak waszeć dobrodziej, żeś odpowiedział nie wiem, bo to brzydko dla Jezuity, ażeby czego nie wiedział.“ Takie to w tym zakonie było powszechne prawie o sobie mniemanie, że Jezuita wszystko wiedzieć powinien, i chociaż przyznać potrzeba, że naukami wszystkie inne, których tyle we Lwowie znajdowało się, zakony przechodzili, przecież to im zawsze krzywdę czyniło, że wszystkim głośno pogardzali.

Okolo dziesięciu było w tamtym czasie studiów zakonnych we Lwowie i w końcu kursu nauk, profesorowie zakonnicy zapraszali profesorów Jezuitów na publiczne dysputy z filozofii albo teologii, co wzajemnie i Jezuita, zapraszając na takie dysputy profesorów zakonników, czynili. Jezuita, czyli on zaproszony, opugnował, to jest zadawał pytania studentowi zakonnikowi, czyli u siebie bronił się, podobnie opugnojącemu profesorowi zakonnikowi, zawsze starał się lub upokorzyć zakonnika, że dysputa, która zwyczajnie trwać miała dwie godziny po drugim albo trzecim argumencie kończyć się musiała, kiedy

mnich, tak student, jako i profesor jego, nic odpowiedzieć nie umieli, a to nas samych studentów jezuitckich prawdziwie pogorszało. Nowo przybyły profesor teologii u Bazylianów, Misterski nazwiskiem, odczytał trochę pychy Jezuitów, kiedy zaproszony od nich na dysputę teologiczną, do podobnego stanu zamilczenie ich przyprowadzić umiał, do jakiego oni innych profesorów mnisich przyprowadzali, ale skromny bazylian w swoich krótkich zarzutach razem potraçał sposób, jakby się jezuita ratować mógł i nie był publicznie zawstydzonym, a razem o ludzkim z ludźmi postępowaniu tem samem przestrzegł.

W drugim roku teologii mojej podnieśli Jezuitci lwowscy szkoły swoje na akademię, a między innymi studentami świeckimi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a św. teologii bakalarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznej pierwszej procesyi akademickiej, tłumni goście do kościoła jezuitckiego zgromadzili się. Ja, doktor, ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien, w płaszcz czarny po pas, z błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlegami naokoło, z pętlczkami srebrnymi na przodzie, w ręku berło wyłacane, a na głowę (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonej i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającej, biret mi włożono. Rektor akademii Jezuitów, w pąsowym aksamitnym ze złotymi fręzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii Jezuitci w płaszcz także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele procesyą, akademik zamojski, w ławkach siedzący, umyślnie przysłany na to z Zamocścia, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu.“ Jezuitci strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym akademika protestującego się z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszej się rzeczy chwytając, berłem mojem w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kolega mój, nowy doktor, także filozofii, już go był

za łeb zahaczył, i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici, w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie tylko za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymanem zwycięztwie swoim *Te deum laudamus* kończyliśmy; przyczyną miała być tej protestacyi zgwałcone dawne prawo akademii zamojskiej, którem warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa żadna akademія podnoszona nie była. Prawo zapewne nieprawne, jak gdyby to więcej oświecenia w narodzie szkodliwszem być miało narodowi.

Bawiąc we Lwowie, poznałem się także z Ignacym Cetnerem, wojewodą belzkim, najczęściej tam przebywającym, i o kilka mil ode Lwowa dobra swoje, Krakowiec zwane, mającym. Już żony, z domu Potockiej, u siebie nie miał, która się z nim ustawicznie kłóciła, a on z nią nigdy. Był to jeden z ludzi najpocziwszych i najgrzeczniejszych dla każdego, nierządem w dobrach swoich i zbytecznem urzędnikom swoim pobłażaniem ich pozbogacał, a swój ogromny majątek do więcej połowy zmniejszył; kochał się w ogrodach, w których przez całe życie sam nawet pracować rydlem lubił często, zioła zaś i krzewy tak miał rzadkie, że kiedy potem cesarz Józef ogród botaniczny we Lwowie fundować chciał, wielu ziołami od Cetnera zapomagać się przykazał. Ten słodki człowiek, który mnie prawdziwie kochał i dla zmartwień jego w czasie kontraktów lwowskich, gdyby można, co dzień chciał mnie mieć u siebie na obiadach. Miał prawdziwie chrześcijańską religią, w tłumie mających z nim interesa, wielu mu przykrości głośno mówili, a on często do blizkiego gabinetu wychodził i znowu do zgromadzenia powracał. Raz przez ciekawość wszedłem za nim do tegoż gabinetu i znalazłem go splakanego przy nogach krucyfixu; kiedym go cieszyć zaczął, on mi odpowiedział: „przy tych nogach mam zawsze najpewniejsze pocieszenie, a ten, który mi dopiero tak ostro, publicznie gadał

bóćiki mu kiedyś sprawiałem, do szłół go dawałem, bo był synem mojego ekonoma i w mojej służbie spanoszył się.“ — Najwięcej ten zacny człowiek takiego rodzaju miał kredytorów, którzy niewdzięczni znęcali się nad dawnym panem swoim, że panem ich być nie umiał.

W tym czasie słyęła we Lwowie pobożnością i wiadomością pisma św. Tamburini; była ona Polką, a mąż jej Włoch, od dziada u nas zasiedziały mieszczanin tamtejszy, on tylko poczciwy człowiek, a ona tylko niby nabożna. Zapraszana bywała do pierwszych domów i chociaż na czas krótki zgodziła przecież z mężem niespokojną Cetnerową. Miewała kazania u siebie w kamienicy, na jednym z których i ja byłem. Wyznać potrzeba, że mowy jej były pełne ognia, rozumu i ducha chrześcijańskiego, była do tego młoda, piękna, oczy miała zawsze spuszczone na dół, a nic nigdy (jak powszechnie fałszywie głoszono) nie jadła. Ja młody, pisma także cokolwiek jako już teolog umiejący, a mający reputację nierozpustnie żyjącego młodziana, znalazłem łaskę u świętochny, ta mi pozwalała częściej bywać u siebie. Raz ją zagadnąłem: „którzy też to są błogosławieni ubodzy w duchu“, kiedy mi ona prawdziwe znaczenie wyrazu tego tłómaczyła, ja jej odpowiedziałem, iż myślałem, że to są ludzie, będący w łaźni, ubodzy bez koszuli, a w duchu, bo w gorącym powietrzu; zganiła mi żartowanie z pisma, wszelako łaski u nabożnisi nie straciłem. Prawie zawsze kilku mnichów u niej zastawałem, ale raz, znalazłszy ją samą i z piersiami na pół odkrytymi, po nabożnym przegrywku, zacząłem piękne jej piersi chwalić, a ona mi rzece: „Grzeszniku, jak śmiesz to ciało chwalić, które niebawem trupem i pastwą robactwa będzie?“, a ja jej na to: „nizeli te piersi będą trupem, kwapmy się i całujmy je żywi i żywo.“ Chociaż moje pocałowania były przedłużone, nie nadto się nabożnisia moja bronila mi, i słodko na mnie, nie w ziemię, iak zawsze, da-

trzeć zaczęła. Ale para mnichów nadszedłszy, nie dali skończyć dzieła rozpoczętego, i ona rzecze do nich, wskazując na mnie: „Oto i ten młody człowiek, drogą naszą zapuścił się.“ Przyszedłszy do przytomności i o drodze zbawienia nieco z mnichami pomówiwszy, wyszedłem, myśląc mniej dobrze o świętochnie, a nie o sobie, którym ją do tej trochę słabości przywiódł. Niedługo potem arcybiskup lwowski, Sierakoński, sławny starzec z przykładnego życia i sprawowania urzędu swego bez nagany, przyjechał do Lwowa i dowiedziawszy się o kazaniach i o poście ustawicznym bez jedzenia żadnego pani Tamburini, kazał jej przyjść do siebie na obiad i koniecznie, pod posłuszeństwem, winnem biskupowi swemu, jeść mięso. Ze łzami jeść je musiała, a co dla niej przykrzejszem jeszcze było, kazania nawet jej mieć zakazał. On już o wszystkim wiedział, a my potem powszechnie we Lwowie dowiedzieliśmy się, że ta fałszywa dewotka zrana codziennie kilka filiżanek kawy wypijała i dużą bułkę chleba ukradkiem zjadała. Tak to fałsz, niedługo w przybranej na siebie cnoty sukience ludzi, bo poznać łatwo, że nie na niego zrobiona była.

Skończyłem kurs mojej teologii, odbywszy publicznie niezłe dysputę, na której, prócz innych gości, był i arcybiskup lwowski. Ten po kilku dniach wezwał mnie do siebie na obiad i dając mi pochwały z niedawnej mojej dysputy, obranie stanu duchownego radził mi; kiedym mu odpowiedział, że powołania do tego stanu nie czuję, radził mi post przez trzy środy, prosząc Boga, aby mnie oświecić i natchnąć raczył.—Pamiętał znów dobry ten pasterz, po trzech niedzielach znowu mnie do siebie wezwać, aby o natchnieniu mojem dowiedzieć się. Powiedziałem mu, jak było, że widząc, jakiej doskonałości stan duchowny potrzebował, wolę być znośnym człowiekiem, niżeli niedobrym księdzem. Takeśmy skończyli z arcybiskupem, który, mimo odmówienia mojego, był

potem na mnie zawsze łaskaw i rad mnie w domu swoim przyjmował. Pochlebne dla mnie między ludźmi znaczniejszemi przyjęcie zrobiło mię wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względy dla mnie przypisywałem mojej biegłości w filozofii i teologii.

Bawiąc we Lwowie, miałem sposobność poznać księżnę z Sapiehów Jabłonowską, wojewodzinę bractawską. Ta pani wielu umiejętnościami sławna, a nawet łaciński język umiejąca i książki łacińskie czytająca, przyjmowała mnie w domu swoim z tą dobrocią, która jej była wrodzoną. Raz bawiąc u niej, nadjechał z swoim sociuszem, przeszły mój pierwszej lekcji teologicznej profesor Starzeński, Jezuita. Ja, co Boga w doskonałości kładłem najpierwej, po nim zaraz Starzeńskiego, a po Starzeńskim siebie, zadziwiłem się niezmiernie, kiedy księżna, tak w dyskursie, po kilka razy zagadnęła tę pierwszą, podług mnie, po Bogu osobę, mego naocznego naczelnika, że jej odpowiedzieć nie umiał, dopiero wtenczas ja o sobie zacząłem skromniej przemyśliwać i co pycha prędko mi dała, to powolniejsza roztropność i poznanie sił moich, które jedna kobieta zmocować może, pomалу mi odbierały.

Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu teologii do Palestry udałem się. Umiejąc nieźle język łaciński, w którym ekspedycje sądowe w Koronie wychodziły, jeszcze roku na tej drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości, w innych młodych kolegach narobiło. Jam niedbał o zazdrość, kiedy mimo niej, gęste mi zlotówki przychodziły. Raz szlachcic potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoją opowiedział i papiery do niej potrzebne pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykretami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew

tylko oddaje, byleby podstępny i mogący sąd ufudzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem wziętem pieniądze i zrobiłem, jak szlachcic żądał. Po krótkiej złota pociesze przyszła zgryzota. Ojciec mój! jakże to wiele razy w życiu mojem, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś. Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego. „Franciszek niech idzie prawdą na świat“, takąż to prawda, pomyślałem sobie, zgubić podstępem niewinnego przeciwnika tego, któremu pozew napisałem? cóż on mi winien, że nietylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? Albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyścia kadencji sądowej, na który czas i szlachcic, któremu pozew pisałem, i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwozdzicielowi pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził, inaczej sam mu szkodzić mogę, choćbym i sobie razem zaszkoził, szlachta się, jakem żądał, pogodzili, a ja, bojąc się tej ślizgiej drogi, zwłaszcza kiedy i innymi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę.

Po kilkoletniem bawieniu we Lwowie, odjechałem na Pokucie dla odwiedzenia matki mojej i rodu mego. Już brat mój był proboszczem w Chocimierzu, przy którym na dewocyi i matka moja mieszkała. — Dziedzicem tego miejsca był Marcin Koziebrodzki, starosta olchowiecki. Z patrona w trybunałach, jak nam powiadał, nic zgoła nie mając, tylko statek i trochę łaciny ze szkół, przyszedł do sta tysięcy z dóbr dziedzicznych intraty. Ale więcej on miał jeszcze bogatszych kolegów, Worcela, Bukara i innych, z których pierwszy do 300 tysięcy intraty liczył. Takto w tamtych czasach droga palestry złotem była usypana. Nie można sądzić, żeby wszyscy z nich tą ścieżką poszli, na którejby więcej złota zna-

leżć można niżeli cnoty, bo mój Koziembrodzki był człowiekiem poczciwym, nie skąpo w domu żyjącym, a nadewszystko w posiedzeniach zabawnym. „Świat, większa szkoła niż lwowska“ (tak on mi mawiał), a ja sobie potwierdziłem tę prawdę, wspomniawszy na księżną Jabłonowską z Jezuitą Starzeńskim.

O kilka mil od Chocimierza, mieszkali państwo Ponińscy, starostowie ostrowscy, z temi w domu ich Zahajpolu poznawszy się, poznałem razem tak w mężu, jak i w żonie, edukacją wyższą, wiadomość rzeczy większą, niż gdzieindziej znaleźć mogłem. To mnie zachęciło, że w domu ich bawić czas niejaki postanowiłem. Sam był synem wojewody poznańskiego, sama, Kalinowskiego, starosty winnickiego córka. Poniński przy wielu języków i umiejętności posiadaniu, wielki razem samochwał. Żona przy wzroście hożym, ciele najbielszem, twarzy nie wiele przyjemnej, ręce najpiękniejszej i z czytania ksiąg wiadomości niepospolitej, ustawicznie dysputować lubiła; cnotliwa to razem kobieta, była przykładem, czasem nadaremny, mężowi swojemu nienaruszonej wiary małżeńskiej, a sąsiadom grzeczności w społeczeństwie. Bawiąc w tym domu czas jakiś, przyszło mi się rozkochać w jejności, i to była druga moja Justyna, która, jak pierwsza, do wszystkiego, co dobrem jest, powodem była dla mnie. Ona sama początków języka francuskiego uczyła mnie, a ja jej synów łaciny. Ona przestrzegała, jeżeli w kompanii, albo z czem obojętnem i mogącym kogo urazić wyrwałem się. Także nauki, sam na sam, jak prawdziwa przyjaciółka, dawała mi, żem uznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnej przypowieści: „kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym.“ Skromność do tego przykładna, młode moje zapędy utrzymująca. Mimo różnicy wieku, bo 14 latami odemnie starsza była, więcej lat 10 trzymała mnie w szczęśliwych więzach, bo najżywszą młodość moją od roz-

pusty zachowała, a za jedno pozwolenie, pocałowania siebie w piersi najpiękniejsze, jakże ona odemnie wiele cnót wypełnienia potrzebowała, niżeli do tego szczęścia mojego przyszło!

Michał Siedlecki był u tych państwa rządcą domu, jakże rzadki taki człowiek na świecie! Gdyby był zwyczaj wielkim cnotom, gdziekolwiek się znajdującym, stawiać posągi, jegoby tak między pierwszymi unieśmiertelnić potrzeba. Ale cnoty, chociaż najczęściej między ubogimi bawić lubią, najmniej ich tam ludzie uważają. Znający świat, bo wojażował, umiał język niemiecki, architekturę, geometryą, a to przy rozumie naturalnym, najczyściejszym, przecież bez żadnej pychy, a nawet miany był za człowieka najskromniejszego w obcowaniu. Dwór, którym rządził, miał go za ojca, a pan patrzył na niego, jak na największego przyjaciela. Rzecz dziwna, że go nikt nigdy rozgniewanego nie widział, co czasem do utrzymania ludzi w bojaźni i dbałości w pełnieniu obowiązków potrzebne; ale to zimnej krwi jakiejś gatunek sprawiał, który go nawet do miłości oziębłym robił. Takim zaś był skrupulatem w pełnieniu powinności swojej, że czasem całą noc nie spał, ażeby co ma być skończone skończył. Krzywdy nade wszystko, aby komu nie zrobił, chronił się, choćby przez zbyteczną sumienność, siebie samego skrzywdził. Tak się trafiło, że mając do dwudziestu tysięcy na rozchód domowy, w rękę swoich corocznie, przy dodawaniu regestrów na końcu roku z swoich zasług, kilkaset złotych przez kilka lat przyczyniał, które (jak mi się pocziwie przyznawał) przez zapomnienie zapisania drobniejszych wydatków tracił, co kiedym doniósł pani jego, wszystko mu potem powrócono, a nadal na końcu rejestru dodawać pozwolono zapomnialej ekspensy kwotę. Z takim to ja cnót człowiekiem na serce moje pomieniałem się i dla niego nadwornym niby byłem teologiem, a on dla mnie nadwornym obyczajności przykładem; ale

on się czasem mieszał i do teologii, bo kiedy przed nim plakałem na ostrą kochankę moją a panią jego, on mnie tem łagodził, że była cudzą żoną.

Umarł August III z domu saskiego, król polski, z którego śmierci doniesieniem do wszystkich dworów europejskich wysłany był posłem Poniński, starosta ostrowski. Po jego wyjeździe im mocniej namiętność moja do pozostałej żony wzmagala się, tem więcej cnotliwa kobieta, lubiąc mnie, jakem uważał, siebie i mnie martwić umiała.

Na miejsce Sasa, wstąpił na tron Stanisław Poniatowski, stolnik litewski. Początkiem domu Poniatowskich w Polsce, był włoski szlachcic, nazwiskiem Torelli, który otrzymawszy indygenat przed 200 latami, ożenił się z panną Poniatowską, ostatnią z domu, a to pod tą kondycją, ażeby odmieniwszy włoskie nazwisko, odtąd (jak się to często dawniej dla utrzymania imienia praktykowało) nazywał się Poniatowski, przydomek zaś został mu z jego rodowitego nazwiska Ciołek, bo Torelli we włoskim języku ciołka znaczy. W trzecim sukcesorze zubożał ten dom, w czwartym go podniósł Poniatowski, z księżniczką Czartoryską ożeniony, kasztelan potem krakowski, pierwaj sławny bawieniem przy Karolu XII, królu szwedzkim i robieniem jego interesów, którego syn Stanisław, przez miłość dla niego Katarzyny II, imperatorowej rosyjskiej, królem polskim, pod imieniem Stanisława Augusta ogłoszony. Co wkrótce potem nienawistne magnaty nasze nagłe tego domu podniesienie się w dwóch wierszach polskich znajomych powszechnie wyrazili:

Przedziwne to jest dzieło Boskiej opatrności
Syn krolem, ojciec w krześle a dziad Podstarości.

Nie na tem skończyli magnaty nasze, bodło ich to ustawicznie, czemu nie Radziwiłł, Lubomirski albo Potocki królem — jakby narodowi więcej zależało na

tem, kto z domu ten król, niżeli żeby sprawiedliwie panował? Radziwiłł, wojewoda wileński, z Branickim, hetmanem wielkim koronnym, mieli najznacniejszą, bo dwadzieścia kilka tysięcy wynoszącą, przeciwko tej nowej elekcyi partyą. Ale i Potoccy w kilku województwach mieli po kilka tysięcy ludzi, zebranych w celu zrzucenia z tronu obranego króla, wszelako te wszystkie dywizye łatwo porozprasane od wojsk moskiewskich i skończyło się na tem, że gniewając się jeszcze na króla, przeprasali go magnaty nasze.

U pani Ponińskiej bawiać, albo z nią w różnych domach bywając, poznałem się między innymi z Mrozowickim, rejmentarzem partyi ukraińskiej, i z Bielskim, łowczym nadwornym królewskim, za którymi były siostry Ponińskiej. Mrozowicki poczciwy ten i piękny Polak, większą część majątku swego na usługach ojczyzny straciwszy, spokojny starzec w domu przesiadywał, lubił słuchać o dziejach dawniejszych, sławnych męstwem Polaków i w całym życiu starał się ich naśladować.—On mi to mawiał: „Mam jeszcze siłę, ale nie trafia się sposobność.“ Piękne syny i córki, wszystko to grzeczne, z sercami najlepszemi, równie jak ich ojciec i matka. Antoni Bielski, z żoną swoją Teklą z Kalinowskich, ludzie bogaci i żyli też najokazalej. Dwór liczny, kapela, błazny nadworne, polowania kosztowne, córki piękne, wszystko to robiło ich dom najzabawniejszym, i wiek mój młody, gdzie dziewcząt wiele, gość ustawiczny, i tańce częste, do Pieniak, Bielskich mieszkanie, nęcił mnie najczęściej. Ten zacny i prawdziwie piękny człowiek szczerze mnie sobie upodobał, do wszystkich mnie rozrywek, do wszystkich biesiad używał, najbardziej zaś lubił z filozofii albo z teologii dysputy, które mi łatwo przychodziły. Sposobność zaś dostania bohaterów, którzyby się ze mną potykać mogli, była najłatwiejsza z XX. Dominikanów pobliskiego Podkamienia, gdzie oni mieli swoje studia. Raz u stołu siedząc, gdzie prócz innych gości regent teo-

logii z Podkamina ze swoim lektorem i nadwornym teolog Bernardyn siedział, wśród najżywszej mojej z niemi dysputy, postrzegłem, że ktoś na koniu nędznym na dziedziniec wjechał, spytałem Bielskiego, siedząc przy nim i żartując, że ten jakiś pauper nierzycło na obiad jego przyjeżdża. Odpowiedział mi, że to Bazyljan Nestorski, superyor nad dwoma Bazyljanami, którzy w blizkiej wiosce jego mieli swoja cerkiewkę i kilka włók gruntu, a zapewne ten superyor po odebranie procentu kilkaset złotych funduszowego przyjechał. Ani mi do myśli przyszło, żeby to był ten sam Nestorski, który za mojej teologii we Lwowie, nad wszystkich tam uczących teologii słynął, Jezuitów tyle razy w dysputach przemógł, a przymoc swoją przez skromność zawsze utaić starał się. Kiedy wszedł do sali, poznałem go, że tenże sam był i zdziwiłem się razem, za co tak wielki w zakonie swoim człowiek, na tę nędzę przyszedł, że sam (jakem się wtenczas od Bielskiego dowiedział) czasem nawet rolę ubogą orał. Powiedziałem panu domu, co był za człowiek Nestorski, dano mu miejsce u stołu i Bielski o dysputcie zaczętej powiedziawszy mu (jak dawniej), skromnie i księdza regenta teologii i jego lektora i Bernardyna nadwornego i mnie równie poprawił. Mnichy z gębami otwartymi dziwili się tylko, a ja pewny zwyczajstwa Nestorskiego, w duszy mu wieszowałem, któremu moja tam natenczas bytność na dobre wyszła, bo Bielski prócz zwyczajnego procentu, drugie mu tyle pieniędzy na jego potrzeby własne ofiarował. Z tego zdarzenia uważałem, że chociaż jedni z najdawniejszych są mnisi Bazyljanie, przecież najmniej od pierwiastkowego swego instytutu odstąpili, i największy u nich człowiek, posłuszny swojej zwierzchności, kiedy kazała, do pluga nawet pójdzie, ale zda mi się, że sami tylko Bazyljanie swoich mają Cyncynatów, chociaż w regule nawet św. Benedykta, fundatora tychto najbogatszych mnichów, wyraźnie napisano: „Stary mnich niech

modli się w chórze za młodego, i za siebie, a młody niech rolę orze, ażeby i siebie i starego pożywił.“

Bielski, we wszystkim chwalebny, miał skłonność do wina, i wtenczas, kiedy sobie podpił, najhojniejszym był dla tych, których polubił. Ja, chociaż ubogi, miałem sobie za upodlenie, wtenczas mu się nastreczać, kiedy on pijany prezenta faworytom rozdawał, dlatego też nic od niego nie zyskałem, bo też on nic nigdy trzeźwy nikomu nie dał. Wszelako i pijany miał uwagę w rozdawaniu darów swoich, raz starego swego kamerdynera Przyjemskiego zawołał do garderoby, i otworzywszy biórko z talarami, pozwolił mu wiaść talarów tyle, ile tylko może naraz dwoma garściami zająć. Przenosząc z biórka do czapki swojej, w garściach talary kamerdyner, kilka mu na ziemię wypadło, które on potem zebrawszy, nazad do bióra położył. Co widząc pan, pochwalił wierność i drugie dwie garści wiaść talarów pozwolił. Wyszedł kamerdyner chwaląc się przed kolegami służącymi z hojności pańskiej i zdarzenie o drugich garściach powiadał. Zawołany wkrótce do garderoby kapelmeister, kiedy mu równie garść talarów wiaść pozwolił, a on w przenoszeniu umyślnie kilka wypuścił, i potem zebrane nazad do bióra włożył, ażeby mu jak kamerdynerowi i drugą garść wiaść pan pozwolił, poznał to Bielski i pierwaj nawet wzięte dwie garści talarów nazad do bióra włożyć kazawszy: „To (powiada) w Przyjemskiego cnotę przybrałeś się.“

Miałem lat około 26, kiedy się konfederacya Barska zaczęła; początkiem jej niby był Krasiński i Pułaski, ale Potoccy i inni magnaci, niekontenci z króla, podnieśli ją, nareszcie jeden z Potockich, podczaszy litewski, naczelnikiem jej, u nas na Rusi ogłosił się. Byłem wtenczas w domu Bielskiego, kiedy szumne uniwersaly Potockiego, mające za hasło: „Wjara i wolność“, do Bielskiego, do Pieniak przy-

szły. Z niewymowną radością dzień ten był obchodzony, ja sam cieszyłem się w duszy, że przecież naród poczuł krzywdy i upodlenie swoje, aleć nie rozumiałem, w czym to ta wiara ukrzywdzona!!! Bo chociaż dyssydenci Polacy tej zawieruchy początkiem byli, bo żądali i otrzymali, przez udanie się do Prusaka, potwierdzenia dawnych przywilejów w narodzie, ażeby do wszystkich urzędów przypuszczanymi byli, zdaje się, iż o to katolicy urażać się nie powinni byli; wierz jak chcesz, ale prawa narodu zachowaj, kochaj ojczyznę jak matkę, to już tem samem masz cechę obywatela. Ponieważ podczaszy litewski, Potocki, był już z wojskiem po większej części z pospolitego ruszenia zebranem, w miasteczku Podhajce, odległem od Bielskiego około mil dziesięciu, pojechałem z nim do tego miasteczka konfederacyi barskiej, który Bielskiego na samym wstępie tak przywitał: „Mospanie łowczy, dosyć już tego panowania Poniatowskich“, z takiego przygrywku poznaliśmy, jaki to będzie taniec, i że to ani o wiarę, ani o wolność idzie, jak w uniwersałach swoich popisali, ale był im nieznośny na tronie siedzący Poniatowski. Cóżkolwiek było, Bielski, jako kochający ojczyznę swoją obywatel, ktokolwiek tam królem będzie, byle się lepiej działo narodowi, i byleby od jarzma uwolnić się, powróciwszy do domu, stokonną chorągiew, z ludzi i koni pięknych zebraną, odesłał do obozu konfederackiego. Tymczasem i mój weteran, dawny rejmentarz partyi Ukraińskiej, Mrozowicki, z dwoma synami swoimi, Józefem i Mikołajem, kilkanaście przytem ludzi zbrojnych mający, wyjechał do obozu konfederackiego. Inszych prócz tego wielu, tak z Korony, jak z Litwy obywateli, osobiście stawilo się, ale magnaci tajemnie tylko konfederacyę barską wspierali, czekając okazania się losu jej. Różny ten był w początkach, ale nakoniec kiedy po większej części decydowało się szczęście na stronę moskiewską, i Potocki próżno od starego Wita, komendanta Kamieńca

Podolskiego, napierał się ustąpienia mu tej fortecy pogranicznej, z swoją partyą uchylić się musiał na Wołoszczyznę, z kądem pomocy tureckiej przeciwko Rosyi, równie także Turkowi ciężkiej, spodziewał się. A tymczasem marszałkowie różnych konfederacyj, różnym losem Rosyanom w Polsce opierali się. Byłem przytomny we Lwowie, kiedy do tego miasta, niby do fortecy, czterech marszałków konfederackich, z wojskiem około czterech tysięcy przyszło; chociaż tam Rosyan nie było, ale komendant garnizonowy, generał Korytowski, w kilkaset ludzi swoich oparł się tłuszczy niesfornej i widzieliśmy go jednego poranku, w szlafroku, skutecznie odpierającego konfederatów, wpadających przez dziurę do miasta nieopatrzonego dobrze. Trwoga była powszechna w mieście i wszyscy zgromadziliśmy się do Potockiej, kasztelanowej lwowskiej, której syn był jednym z marszałków konfederackich. Ale po dwóch dniach potem, konfederaci widząc niesposobność swoją do odebrania Lwowa, przedmieścia tylko popaliwszy, gdzie i kościół jeden karmelitański zgorzał, od oblężenia miasta odstąpili. Czas to był, w którym i ja, ruszony patryotyzmem (gdyby, jakem się spodziewał, konfederaci Lwów odebrali), miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem był przygotowania, ale widząc największą między nimi niesforność, pijaństwa i rabunki, zupełnie tę myśl z głowy usunąłem; najbardziej kościół, dobrowolnie przez nich spalony, przez nich, co za wiarę (jak w swoich uniwersałach ogłaszali) bić się wyszli, oświecić mnie, że to zapewne o wiarę im nie chodziło.

Myślałem odtąd, jakby wyjechać z kraju, a za granicą, nim się rozruchy narodu uspokoją, czego się nauczyć, i z powodu tej przyszłej wędrówki mojej przebrałem się po francusku. Wyjeżdżał po niejakiem czasie ze Lwowa do Wiednia młody Puzyna, staroście upitski, z gubernierem swoim księdzem Kobylańskim Jezuitą, znanym potem w Polsce z pięknych

pism swoich i z pięknego myślenia sposobu, przyjacielem moim. Z nimi ja zabrałem się do Wiednia, około 200 dukatów mając tylko zapasu w tę podróż. Jakże wiele razy, niżeliśmy do Krakowa dojechali, przejeżdżając pomiędzy różne tłumy niekarnych naszych konfederatów, nie tylko o ubogie pieniądze moje, ale nawet o życie bać się przyszło! Z pomiędzy nas trzech jadących, ja jeden najwięcej byłem przedmiotem wyrzucania ich, że młody i czerstwy wyjeżdżałem z ojczyzny, kiedy ją ratować potrzeba, a wszyscy prawie, którzy mię tak groźno kurtali pijanymi byli; w takim stanie, ja, nie mając się czego spodziewać z bezrządnej konfederacyi, nie ratowałem prawda ojczyzny mojej, ale i oni pijani nie wiele ją mogli poratować. W Głogowie u księżny Starościны Bolimowskiej, konfederatki zaciętej, jako to był i brat jej Hetman Branicki, odebrałem z Warszawy patent na kapitana złotej chorągwi, który mi tam miał być i był przysłany z Warszawy, co mi w Wiedniu jak mię przed wyjazdem ze Lwowa nauczono, dało wstęp, mając mundur oficerski i prawo, wchodzenia, kiedym chciał na cesarskie pokoje. Tam u księżny nasłuchałem się modlitw publicznych, ku potłumieniu króla. Tam, prócz innych konfederatów, poznałem i Potockiego, starostę szczyrzeckiego, który potem od konfederacyi był posłem do Konstantynopola, a który wkrótce w Wiedniu będąc, wiele mi dowodów przyjaźni swojej oświadczył.

Do Krakowa przybywszy, przysiągłem Bogu w Jego kościele, żyć najskromniej w Wiedniu, o którym mi powiadano, że był najrozpuśniejszym. Widziane piękności Krakowa dały mi myśl, jaki też Wiedeń będzie, ta dawna cesarzów stolica? Ale potem tam przyjechawszy, prócz większej nierównie ludności miasta, nic piękniejszego w Wiedniu nie widziałem nad kaplicę w kościele katedralnym, sławną grobami królów polskich w Krakowie.

Jadąc do Niemiec, w Białej, ostatniem miasteczku

polkiem, zastaliśmy wielu marszałków naszych konfederackich, między którymi był sławny pułkownik Paszczowski, już trzymających się umyślnie blisko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można do cudzej ziemi. Co też niedługo potem nastąpiło. Zkąd wyjeżdżając do bliźkiego miasteczka szląskiego, Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich wzruszyły we mnie miłość ojczyzny mojej, którą porzucałem. Postrzegłem w Bilitz zaraz inszy porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędstwo wszędzie największe, wtenczas, kiedy my, jak we wszystkim, tak około domów i miast naszych niedbali. Szląsk kiedyś był polską prowincją i miło mi było, już kilkanaście mil w tym kraju ujechawszy, spytać się moim językiem wieśniaka po drodze idącego o drogę do Oderberga, a on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderberg, a to miasto zowie się Boguminów po dawnemu.“ Tak to dawność i usiłowanie niemieckie nie mogły wymazać z pamięci pospółstwa nazwisko starożytne miasta tego. Znowu ja na ciebie wspomniałem, ojczyzno moja, jak daleko kiedyś rozciągały się twoje osady, które nieładem potraciłaś! A ten mój język, pozostały jeszcze między pospółstwem, potwierdził mi wielkość dawną naszych Słowianów, którzy tak zmarnieli w czasie terażniejszym.

Przez Opawę, Olomuniec, Brno w Morawii przejeżdżając, moim własnym językiem rozmówilem się, i dopiero do Austrii wjechawszy, już chłopci niemieckim tylko odpowiadali. Wszystkie wsie, miasteczka i karczmy uporządkowane, co tylko wygodę chciała, dostarczały, drogi najlepiej utrzymywane podróż najmiłszą czyniły. Ale wjechawszy w Austryę, obrazilo mnie przy stacyach podróżnych wybieranie od przejeżdżających myta, po krajcarze jednym więcej od mili, jak dawniej płaciliśmy. Kiedym się o przyczynę mytnika pytał, odpowiedział mi, że ponieważ odesrodka marca zima jest, obłaca się zwy-

czajnie w tych czasach na kozuch dla cesarzowej Maryi Teresy, krajcar na milę jedną od podróżnych. Znow ja pomyślałem, czyliż ja temu winien, że zimno i czyli Marya Teresa niema z czego sobie kozucha sprawić, ażeby aż podróżnych w zimie także jadących obdzierała! Tak uważając ślady absolutnego panowania, znow sobie słodziłem moje, chociaż w kłótliwym, ale wolnym kraju urodzenie.

Przyjechaliśmy nakoniec do Wiednia, do tego miasta tak żadanego odemnie. Puzyna z Kobyłańskim zajechali prosto do Teresianum Collegium, gdzie młody Puzyna w tym konwikcie miał się edukować, Ja przed wyjazdem ze Lwowa poznałem się tamże z Trynitarzem, Niemcem spolszczałym, który miał ojca w Wiedniu, i kiedy proszony od niego, dałem mu na drobne jego potrzeby kilka czerwonych złotych, on mi napisał list do ojca swego, mieszkającego w Wiedniu, pod znakiem złotego Pelikana, na przedmieściu Józefstadt nazwanem, zapewniając, że pewno u jego ojca jego stancję mieć będę. Z takim listem, przenocowawszy w Teresianum, nieumiejący języka niemieckiego, prócz słów najpotrzebniejszych kilkadziesiąt, wyszedłem szukać w tem ogromnem mieście przedmieścia Józef-Stadt, złotego Pelikana, i bildhauera, czyli snycerza, Szwarca nazwiskiem. Tak szczęście zdarzyło, że do południa wszystko znalazłem i kiedy list ojcu od syna oddałem, a on go przeczytał, rzucił się na mnie splakany starzec i z czuciem największem powtarzając syna, o którym od kilku lat żadnej nie miał wiadomości, ścisnął mnie serdecznie, i zaraz porządny alkierz, w którym miał warsztat snycerski, wyprzątnąć kazał, a sprowadzenia się mojego, jakemto mógł wyrozumieć, jak gdyby syna własnego czekał. Nazajutrz sprowadziwszy się do niego, doznałem po ćwierć roku mieszkania tam, że prawdziwie rad mi był w domu swoim, nawet z ciężkością przyjął miesięczną opłatę od stołu i mieszkania mego. Tak mi-

łość syna, którego on dawno nie widział, zrobiła mi przyjaciela w ojcu, którego nigdy nie znałem.

Do Wiednia przybyłem w roku 1769-tym w marcu, którego piękne położenie nad Dunajem, forteca miejska najwarowniejsza, przedmieścia najrozleglejsze, a ludność do 300,000 mieszkańców, w początkach bawiły mnie. Zaufany w mój mundur oficerski i w porte épée, który nosiłem, a nauczony jeszcze w Polsce, że w takim ubiorze, choćby gdzie nieproszony na muzyki, które znaczniejsi ludzie w tem mieście dają, wchodzić mogę, przechodząc raz blisko domu jakiegoś i słysząc muzykę grającą, wszedłem do sali, gdzie światła wiele, obicie adamszkowe czerwone i gęste zwierciadła, dały mi do myślenia, że tam ksiązę jakiś niemiecki mieszka. Przybiegła do mnie jakaś piękna dziewczyna i mówiła do mnie coś po niemiecku, czegom nie zrozumiał, prócz dwóch słów *essen* i *trinken*, ukloniłem się jej tylko domyślając się fałszywie, że mi w tym domu jeść i pić, czyli wieczerzę, dać chciano. Kiedy w taniec kilka par poszło, zdziwiłem się, że jak mężczyźni, tak i dziewczęta w zwyczajnym tam mieszczan ubiorze, co już dobrze znałem, tańcowały. Oświecił mnie wkrótce jakiś koło mnie siedzący Niemiec, a po łacinie cokolwiek umiejący, że to była austerya, gdzie pospólstwo przez cały tydzień, prócz piątku i soboty, bawi się. Tak ja najpierwej, dla pokazania się między Niemcami, mego munduru złotej chorągwi i porte épée użyłem.

Po kilku niedzielach bawienia mego w Wiedniu nadjechał tamże ksiądz proboszcz kolegiaty wiślickiej, Strumiński, dobrze po niemiecku umiejący prałat, ale za granicą, jak i ja, niebywały. Z nim według afisza, których tam po bramach pełno, poszliśmy na licytację sprzętów różnych. Wszedłszy do sali licytacyi, z ciężkością przecisnęliśmy się przez tłum pospólstwa i widząc tam Niemców po większej części ubogich, nie zdjęliśmy w sali kapeluszków.

Już do stolika przystąpiliśmy, za którym siedzący przedawacz zawołał: „Dwa kapelusze na sprzedaż!” kiedy go pytano, gdzieby były, pokazał je na głowach naszych i po niemiecku potem do nas rzecze, co mi potem mój prałat wytłumaczył, „że ta licytacja, imieniem cesarskiem odbywa się, i miejsce to powinno być szanowane.“ Tak ja znów mój oficerski kapelusz, upokorzony, zdjąć musiałem, co mój prałat przedemną zrobił. Z tymże księdzem, po kilku dniach, poszliśmy na nieszpory, do katedralnego kościoła S. Szczepana, na słuchanie tam najpiękniejszej zawsze muzyki, siedliśmy u stallów kanonicznych przy wielkim ołtarzowi i ku nam idzie jakiś, po wszystkich szwach sukni bogato galowany Niemiec: stanąwszy przed nami, grzecznie nam się pokłonił i my powstawszy, oobydwa grzecznieśmy mu się odkłonili, zaczął mówić do nas po niemiecku, a po skończonej perorze ukłonił się, odchodząc, i my się wzajemnie ukłonili.—Wytłumaczył mi ksiądz prałat, że to był szwajcar kościelny arcybiskupa wiedeńskiego, który przestrzega gadających w kościele podczas nabożeństwa, ażeby drugich nie gorszyli — a czasem nieposłusznych i wyprowadza. — Znowu ja z moim mundurem w oczach 3,000 może ludzi będących w kościele upokorzony byłem, a mój prałat bardziej, bo szwajcar jako księdzu musiał mu zapewne więcej nagadać. — Tak płaciłem wstydem za nieznamość kraju i zwyczajów jego, tak zapłaci i każdy przyjeżdżający do zagranicznego miasta, nie mający nikogo, ktoby przestrzegał. Ale prócz szwajcara i sam rozum powinien był przestrzegać, że w kościele gadać nie należy.

Że z przedmieścia Józefstadt daleko było do miasta, gdzie wiele rzeczy uczyć się zacząłem, przeprowadziłem się do miasta, a mój poczciwy gospodarz bildhauer płakał, rozstając się ze mną, i najmniej mnie dwa razy w tydzień nawiedzał. — Tak dobry uczynek mój dla syna jego we Lwowie zro-

bił mi w ojcu prawdziwie przywiązane. — W mieście wygodniej mieszkałem, u metra francuskiego języka, tańczyć i nauk w uniwersytecie, jakich tylko żądać mogłem, zręcznie uczyłem się. — Najbardziej mnie bawiła fizyka experimentalna, przez sławnego księdza Franz Jezuitę dawana, i chemia przez sławniejszego jeszcze w Europie Jakin, profesora. Zgromadzenie na lekcjach bywało największe z pierwszych nawet w mieście ludzi i dam zacniejszych zebrane. — Szkoła botaniki, anatomii, chemii, jak i medycyna experimentalna w Bürger-Szpital, pod starcem profesorem Antonim Ham głośna. Cesarska biblioteka każdemu otwarta, teatr, hece, widowisk różnych, licytacje różne i fajerwerki tygodniowe na przemiany mnie zabawiały. — Ale skwasiało wkrótce wszystkie te piękne rozrywki jakieś niszczenie ciała mego widoczne, i mimo rady najslawniejszych w mieście doktorów: Van-Swieten, Haena i Humelawra, coraz w gorszym się stanie widziałem. — Byłem wszelako przez półtora roku bawienia mego w mieście chorym chodzącym i może więcej rozrywki różne niżeli doktory przy życiu mnie utrzymały. — Co środa bywałem na obiadach u księżnej Lubomirskiej, wojewodziny krakowskiej, w Wiedniu oddawna mieszkającej, tej kobiety prawdziwie najcnotliwszej, powszechnie w mieście począwszy od cesarzowej Maryi Teresy szacowanej, a matki Polaków wszystkich, przejeżdżających albo bawiących w Wiedniu. Tam poznałem się między innymi z generałem Korticellim, Włochem naszym spoleczaliśmy. Nie znałem Polaka lepiej tłumaczącego się w naszym języku, pełno słów miał i stosownych i pełno dowcipu wszędzie. Ten człowiek prawdziwie mnie lubił, często na obiady zapraszając, często u mnie bywając, był mi prawdziwie przyjacielem, nauczał mnie (jak blisko lat 20 w Wiedniu mieszkający) miasta tego zwyczajów, ludzi, ducha charakterów poznawać. Razem raz na na fizyce experimentalnej będąc, pokazał mi sławne-

go w Wiedniu Polaka, jak go nazywał, mizantropa Wiesiołowskiego, z nikim on z Polaków, z nikim z Niemców nie żył, na różne tylko w tem pięknem mieście lekcye albo widowiska uczęszczając. Po niejakiem czasie, po skończonej lekcyi Franza, świeża była o nin anegdota w Wiedniu, że przyszedłszy do rajtszuli cesarskiej, gdzie sam Józef cesarz przytomnym był bawiąc się przejeżdżaniem koni, które mu świeże przysły z Hiszpanii, kiedy tłum panów razem z cesarzem dzielnością koni przejeżdżanych bawił się, nasz Wiesiołowski kamyczki drobne, któremi rajtszula wysłana była, zbierał; pokazano go cesarzowi, jako znanego w Wiedniu mizantropa, przystąpił do niego cesarz, pytając się, czemu by na tak piękne konie nie patrzył, ale raczej kamyczki zbierał? Odpowiedział: „bo widywałem tak piękne konie, a tak pięknych prostych kamyczków rzadko.“ Ten to człowiek osobliwy, po niejakiem czasie, po skończonej sessyi fizyka Franza, sam przyszedł do mnie, z pomiędzy tłumu rozchodzących się i przyjaźń mi swoja oświadczył. zaraz mnie do mojej stancyi odprowadził i prosił, aby codziennie z rana, mógł bywać u mnie, tak też i codziennie bywał, a wtenczas miałem czas poznania, że to był człowiek najcnotliwszy, pełen wiadomości z czytania książek i wojażów nabytych, mówiący zaś językiem francuzkim tak doskonale, że go rozróżnić nie można było od urodzonego Francuza najpiękniej swoim językiem mówiącego. Ludzie go nogą potracali, a to był dyament pyłem pokryty. Gdym go pytał, czemu by z ludźmi (jak to mówią) nie żył, odpowiedział: dlatego, że żyłem i oszukiwany byłem. W mojej chorobie konsumcyi, w mojej osobności, jakież to dar w domu, przyjaciel taki, gość codzienny, a nigdy niesprzykrzony; albo mnie opowiadaniem różnych zdarzeń i wiadomości rozrywał, albo czytaniem coraz ze mną książek użytecznych bawił. Zazdrościł mi tego najbardziej Korticelli, zazdrościł i Rzewuski marszałek,

ale ledwie raz i to z ciężkością pozwolił na to, że był u nich na obiedzie, i tego potem przedemną żałował. „Rzewuski, powiedział mi, magnat pyszny, a ja ubogi, my się nigdy nie zgodzimy.“

W tych czasach księżniczka Antonia, córka Maryi Teresy, ta najpiękniejsza panna w Wiedniu, szła za Delfina natenczas, a potem nieszczęśliwego Ludwika XVI, króla francuskiego; biskup strasburski, kardynał de Rohan, był posłem Ludwika XV do ukończenia małżeństwa tego. Szła do dworu cesarskiego kosztowna z posłem kareta, z piechotą przed nią, 15 liberyi, 2 kamerdynerów i 2 strzelców, wszyscy bogato uszamerowani. Tłumy pospółstwa, patrzące na to (jako Niemcy mają jakąś wrodzoną nieprzyjaźń do Francuzów) wołały głośno, że te galony są szychowe; brano wołających do turmy, a oni tam idąc, jeszcze wołali: sychowe.

Gdy był ślub z arcyksiężniczką, imieniem Delfina ukończony, wieczorem była wielka illuminacya miasta, ale najbardziej od Szotter bramy, aż do przedmieścia, na którem stał poseł francuski, cała ta niezamieszkalna odległość, między miastem i tem przedmieściem, miała ulicę szeroką ze słupów nowo zrobionych. na których wierzchach delfiny były snycersko wyrobione. W środku zaś tej rozległości były świeżo zrobione cztery niby baszty, na których muzyka grała najpiękniejsza i z których dla pospółstwa wino austryackie rynnami ciekło i pieczywa różne z chlebami rzucane były. A te cztery baszty czterema nazwiskami różniły się: baszta cesarza, Maryi Teresy, arcyksiężniczki Antonii i baszta Delfina *). Przypadek zrobił, że z baszty Delfina i wino płynąć ustało i pieczywa już nie wyrzucano, wtenczas kiedy z tamtych baszt jeszcze obficie dostarczano; znowu pospółstwo nieprzyjazne Francuzom obruszyło się i najpierwej skąpstwo Delfinowi

*) Następocy tronu francuskiego.

wyrzucało, a potem na basztę delfinowską i kamienie rzucać zaczęło, że ledwie żołnierze, biorąc do turmy naczelników swywoli, rozruch uśmierzyli, a biednych muzyków, grających na baszcie delfinowskiej kilku skaleczono kamieniami.

Kiedy arcyksiężniczka z posłem już miała wyjeżdżać do Francji i dany był wielki obiad pożegnalny w pałacu cesarskim, na ten obiad poszedłem, aby się napatrzeć okazałości dworu i widzieć etykiety jego. Przyszedłem wcześniej do sali jadalnej, że dopiero do stołu nakrywano, szambelan mający nawet mniejszy order Maryi Teresy, tę robił posługę, i do zgorzenia mego, każdą serwetę, na których były dwie litery M. i T., t. j. Marya Teresa, wyszyte, tym literom skłonił się, pocałował i potem dopiero kładł na farsurkę. Generalowie ogromne złote półmiski na stół nosili, a wielki kuchmistrz imperyi laską pokazywał, jak miały być położone na stole. Stół był ustawiony w literę N. Na brzegach w górze zasiedli: cesarz Józef po prawicy, a cesarzowa Marya Teresa, matka, po lewej stronie, koło cesarza Delfinowa, arcyksiężniczka Krystyna, Albrychta Sasa królewicza naszego żona, i Elżbieta arcyksiężniczka. Po lewej stronie, koło cesarzowej wdowy Maryi Teresy, syn jej arcyksiążę Ferdynand, drugi syn jej Maxymilian, a trzeci Albrecht książę saski i już wszyscy, którzy siedzieli u stołu, po brzegach jego, w środek zaś stołu, wchodziła tylko służba, podająca i odmieniająca półmiski. Był to dzień sobotni i Marya Teresa, surowa katoliczka, z postem ten stół zastawić kazała. Cesarz raki tylko i bułkę chleba zjadł, a jam pomyślał: on cesarz, a tyle go obiad kosztował, co i ubogiego jakiego w mieście. Człowiek ten, cierpiał wszelako, żeby mu najpierwsze książęta imperyi na kolanach u stołu farsurkę podawali; — tak służył cesarzowi stary książę Lichtenstein, okryty orderami i trzęsący się z podeszłości wieku swego,

tak służyło i wielu innych pierwszego rzędu panów, stojąc za krzesłem i podając farfurkę, albo wodę na kolanach monarsze swemu, które bałwochwalstwo, na ulicy nawet, dla przejeżdżającej cesarzowej czynić musieliśmy. Muzyka najpiękniejsza w czasie obiadu grała, a gwardya węgierska w kolo stół dla uniżnienia ścisku okrażała.

W tych czasach arcyksiężniczka Antonia *) wyjeżdżała z Wiednia pomiędzy dwu płoty kilkunastu tysięcy wojska, broń tylko przed nią prezentującego, ale bez żadnych wystaw honorowych, kilkanaście karet za nią jechało. Ona w pierwszej, całej w szklach przezroczystych, na przedzie kardynał poseł i księżna jakaś niemiecka, Delfinową rzewnie płaczącą przez cały ten przeciąg parady widzieliśmy. To było w etykiecie wyjazdu jej osobliwszego jeszcze, że kiedy się (jak powiadano) w pokoju Maryi Teresy z matką pożegnała, gdzie byli razem przytomni cesarz, bracia jej i świty, nikt z nią pożegnawszy się, nawet do drugiego pokoju wyprowadzić ją nie wyszedł, żeby się nie uniżyć, że to poszła za Delfina, a oni byli cesarską familią i ażeby tak natury samej, dla marnej zapomnieć etykiety! ktoby się był natenczas spodziewał, że taż córka, wnuczka, siostra cesarzowa, arcyksiężniczka Antonia, ta jedna z najpiękniejszych kobiet niemieckich, będąc z czasem królową między najpotężniejszymi w świecie, będzie miała przez kata, na publicznym rynku szyję uciętą, jak się to potem najokropniej dla niej zdarzyło wraz z mężem królem, i pokazało się, że sama wysokość stanu nie jest dostateczną szczęśliwym kogo uczynić, co w dalszym ciągu życia mego, prócz niej, i na naszych jeszcze uważałem.

Ja tymczasem w Wiedniu, chorobą mojej konsumcyi niszczonej, jak mogłem pożytecznie dla siebie

*) Marya Antońina, córka Franciszka I i Maryi Teresy. Później małżonka Ludwika XVI. (P: W.)

rozrywałem się. Do tyłu wyżej wymienionych rozrywek tej stolicy przyczyniłem jeszcze oglądanie galerii obrazów, jaka jest cesarska, Lichtensteina i innych. Oglądanie także zwierząt różnych dzikich, tak cesarskich, jako i przybyłych, bawiło mnie. Lew, w cesarskiej menażeryi chowany, miał klatkę ogromną, na dwoje środkiem przedzieloną, ze drzwiami wewnątrz z jednego przedziału do drugiego, ażeby kiedy jedną z tych przegród zanieczyści, przepuszczony był do drugiej, już dla niego przeczyszczonej. Zdarzyło się za mojej bytności w Wiedniu, że do próżnej połowy klatki córka dozorca zwierząt weszła, przypadkiem drzwi od drugiej połowy, gdzie był lew nie zamknięte były, wszedł on tam z rykiem wielkim i porwał dziewczynę. Wybiegł na krzyk nieszczęny ojciec, a widząc już między pazurami lwa krzyczącą córkę, za pierwszym poruszeniem idąc, porwał się do kordelasa, który miał przy boku, ale potem bojaźń go jakaś objęła, ażeby lwa cesarskiego nie zabił, pobiegł prosić o pozwolenie zabicia go do zwierzchnika, w tym domu mieszkającego, kiedy tymczasem córka była uduszona. Tak to despotyzm ustrasza naturę samą, która dla bojaźni jego swego dziecięcia od śmierci nie ratuje.

Biblioteka cesarska, wolna każdemu do czytania, byleby książek do domu nie brać, nad insze rozrywki najwięcej mnie bawiła. Pokazują tam regestr wszystkich książek, żadaną książkę proszącemu zaraz podają — i mnie, kiedym prosił o pokazanie mi kopii dyaryusza wojny przez komendanta natenczas tej fortecy, Sztaremberga, pisanego, kiedy Mustafa czarny, wezyr turecki, Wiedeń atakował, a król nasz Jan Sobieski bronił go, zaraz mi tenże dyaryusz pokazało. W tem jednym piśmie, od Niemca wysłem, prawdy doczytałem się, gdzie przecież Sobieskiemu winnych pochwał nie ujęto. Ale w tymże dyaryuszu doczytałem się na końcu, że w tej całej potrzebie więcej nad ośmset kilkadziesiąt Polaków nie zginęło,

może zaś tyle dwa razy umarło od choroby, z przyczyny wody albo powietrza wiedeńskiego, im nie służącego. I to też mnie nakłoniło, żem umyślił jak najprędzej Wiedeń porzucić, tak dla mnie może, jak dla owych Polaków z przyczyny wody i powietrza samego niezdrowy.

Co się tycze Sobieskiego, kiedy autorowie niemieccy, przez nienawiść dla Polaków, mało przyznają dzielności tego naszego króla w poratowaniu Wiednia, bohater ten ustnie i publicznie przez usta niemieckie pochwalony. Obchodzono corocznie w Wiedniu uroczystość zwycięstwa tego w 7brze ¹⁾. Po skończonem nabożeństwie, w dniu tym, w kościele katedralnym Ś. Szczepana, Korticelli pokazywał mi kosztowne obicie gobelinowe, od gzymsów kościoła aż do dołu powieszane, na którem cała tej wojny historia wyrobiona była jedwabiami, a co najosobliwsza, że portrety osób znaczniejszych, w tę wojnę wchodzących, tak były trafne, że doskonały malarz lepiejby odmalować nie mógł. Kiedy oglądając porządkiem to sławne obicie przyśliśmy do miejsca, gdzie cesarz Leopold, po zwycięstwie wiedeńskim, najpierwszy raz widzi się z Sobieskim naszym, cesarz wyrobiony z głową nakrytą, a król szyszak w rękę trzymający, zastaliśmy przy tem miejscu obicia starca zgrzybiałego, Niemca, otoczonego mnóstwem inszych Niemców, który im o tejże wiedeńskiej wojnie, jako przytomny natenczas w Wiedniu i około 18 lat mający, rozповідаł. Spojrzawszy on na obrazy, jak się dopiero powiedziało, Leopolda i Sobieskiego, rzecze do swoich: „Źle to obicie wyrobione, że Sobieskiego z odkrytą głową, a Leopolda z nakrytą położyli, niechby raczej Leopold zdjął kapelusz, a Sobieski głowę swoją nakrył, bo gdyby nie ten król, jabym w tureckiej niewoli dotąd jęczał i Wiedeń pewnieby się poddał!“ Niemiło pewno było słuchać tego

¹⁾ W septembrze (w m. wrześniu). (P. W.).

uprzedzonym zawsze przeciwko Polakom Niemcom. ale my z Korticellim z tego publicznego wyznania w duchu cieszyliśmy się.

Kwasiła, prócz słabego zdrowia, mieszkanie moje w Wiedniu i pogarda powszechna Niemców narodu mego. To prawda, że będąc dla nich rzetelnym w opłacaniu albo w słowie danem, można u Niemca zyskać zaufanie i szacunek, jak ja żyć z nimi starałem się. Ale, że dla mnie grzecznymi byli, nie zaspokajało to mnie, i jabym miał ich kochać, kiedy w magistracie tamtejszym, za mojej bytności, jeden człowiek z pospólstwa z drugim kłócił się i majątek tracił, że go tamten Polakiem nazwał, co u nich największym tam gatunkiem jest połajania. Chociaż najlepiej byłem z moim w kamienicy gospodarzem, że mu najrzetelniej miesięczne jego tak za stół, jako i za stańcyą opłacałem, przecież i on najlepiej o mnie mówiący zawsze, znalazł przyczynę uszczypliwego gadania o Polakach. Na ostatni zapustny wtorek zaprosiłem kilku Polaków na wieczerzę polską do siebie, była między inszemi pieczenia zrazowa funtów kilkanaście ważąca, którą przy sobie piec kazałem, bo nie wierzył gospodarz mój, aby się kiedy upiec mogła, gdy była tak wielka. Kiedy się moi goście zgromadzili, przytomny między inszemi generał Korticelli, który wieczerzy nigdy nie jadał, dobrocią pieczeni zachęcony, huzarskim, jak nazywamy, sposobem z masłem i cebulą przyprawnej, zjadł jej dwa dobre zrazy, ale jadł ją dobrze i mój gospodarz Niemiec, którego dla poznania polskiej pieczeni zawołać kazałem. Zdarzyło się, że Korticelli, nigdy wieczerzy niejedzący, po niejakiem czasie, siedząc jeszcze u stołu, zachorował, i pieczenią zjedzoną wywomitował. Mój dobry gospodarz rozniósł to nazajutrz po mieście, że Polacy w ostatni wtorek mięsa jedli tyle, że aż womitowali i to mi po kilku dniach powiadał Korticelli że od wielu znajomych sobie Niemców słyszał.

Tymczasem w Polsce Barska nasza konfedera-

cyą, na której czele był wojewoda wileński, Karol Radziwiłł, więcej serca dobrego niżeli giowy mający, od Moskwy przyciskana, coraz zmniejszała się, a generalność jej, przenosząc się z miejsca na miejsce w kraju, nakoniec za granice uchyliła się i ztamtąd wyroki swoje wysyłała. Po różnem jej za granicą blakaniu się, wreszcie w Preszowie w Węgrzech osiadła, i tam niegodziwe swe pismo detronizacyi Poniatowskiego podpisała, z dodatkiem, że gdyby go kto nawet zabił, nie będzie za to do odpowiedzi pociągniętym. Pismo to polskie, na język niemiecki przetłómaczone, czytała cesarzowa Marya Teresa, i zaraz, że tak bezkarnie konfederacya króla każdemu zabić pozwalała (co wszystkich monarchów obchodzić powinno) już była najgorzej dla naszej konfederacyi dysponowana, i żeby jak najprędzej z kraju jej wyszli żądała. Z inszej strony Turczyn, próżną nadzieją Potockiego, podczaszego lit. Mrozowickiego i inszych barskich konfederatów, jak się wyżej rzekło, do siebie zbiegłych, w Warnie utrzymując ludzi. Poznano nakoniec, że i ztamtąd pomocy żadnej nie będzie, tak najżywiej zaczęty zawód ten słabiej począł w narodzie, zwłaszcza, że magnaci prawie wszyscy, bojąc się o majątki swoje, ażeby je Moskwa nie zniszczyła, niby to przy królu byli.

Tęskność moja do ojczyzny tembardziej pomnażała się, im bardziej ją widziałem nieszczęśliwą, i to wiersze moje zaświadcza, które pod tytułem *Tęskność do kraju* w Wiedniu napisałem. Myślałem sobie, niechbym przynajmniej umarł na gruncie polskim, bo jakimś nadzwyczajnem uprzedzeniem nawet, wzdrygałem się na to, ażebym pomiędzy Niemcami nie był pogrzebiony.

Wybrałem się tedy do Wiednia ku końcu 7bra 1770 roku, bawiąc tam więcej półtora roku, a wybrałem się, przez Węgry powracać, ażebym i ten kraj cokolwiek poznał. Dunajem do Pesztu popłynąłem, a w tej podróży dopływając do Preszburga, miasta

stołecznego Węgier, gdzie na dnie tej rzeki są skały, że Dunaj z większym tam i tak niebezpiecznym pływem impetem, że gdyby wiosłami, najżywiej robiąc, nie wstrzymywano impetu, od pędu wody każdyby statek zatonać musiał. Dojeżdżając do tego miejsca, na którym przed dwoma niedzielami kilkunastu ludzi, po większej części pijanych, a tem samem nieostrożnych, utonęło, Włoch kupiec, płynący na tymże ze mną statku na jarmark do Pesztu, wyszedł ze swojej komórki, jakie mieliśmy powyznaczone, i przypatrywał się na górze szifu, czyli statku, położeniu miejsc nad Dunajem. Szifmann, albo rządca statku, człowiek najpyszniejszy, bo jak oni zawsze dodają, cesarski człowiek, a szewc wiedeński, że jest cesarskim człowiekiem, myśli jakby sam był cesarzem wszystkich szewców na świecie, szifman kazał kupcowi groźnie zejść na dół, do swojej komórki, kupiec uparł się, a szifman bić się z nim zaczął. Tak w miejscu płynienia naszego najniebezpieczniejszem, może o pół mili od katarakty Dunaju, gdzie już woda większym pędem płynęła, przestraszeni wszyscy niebezpieczeństwem utonienia, kiedy szifman, na którym wszystko zależy, wojną był zatrudniony, rozbranialiśmy bijących się, o litość nad nami prosząc, skończyła się walka, zerwaniem z głowy peruki kupcowi, którą w Dunaj szifman wrzucił. A tymczasem kilkunastu ludzi, najżywiej wiosłami robiąc, opierali się pędowi coraz większemu wody, że nakoniec szkodliwe katarakty przebyliśmy. Na tymże szifie płynęło z nami czterech kupców macedońskich; dowiedziawszy się, że jeden z nich umie po łacinie, a widząc właśnie tego samego nici kręcącego, po grzecznym komplemente, pytałem go, czy kiedy czytał Kurcyusza, dodając, że za czasów Aleksandra W. pewnie Macedończyk nici nie kręcił. Z westchnieniem odpowiedział mi, „że pod Turczynem, cóż ma robić niewolnik — Macedończyk? broni im nawet żadnej nosić nie wolno, a czasem znaczniejszy jaki Turczyn w dom

mój, jak mówił, przyjechawszy, do żony mojej bezkarnie idzie, konia mi tymczasem trzymać kazawszy.“ Widząc tych czterech kupców, wszystkich wzrostu najpiękniejszego i twarzy coś znaczącej, spytałem się, czy się dobierali umyślnie wzrostem i pięknnością postaci, jadąc z domu do Wiednia, a on mi odpowiedział, że wszyscy prawie Macedończycy tak są urodziwi i dziwił się, że w Wiedniu tak wiele ludzi drobnych niedołęgów widział.

— My to do siebie sami widzimy, że pięknym ludem jesteście, ale nie zawsze szczęśliwa piękność.

Presburg, stolica wyższych Węgier, jest miasto piękne nad Dunajem, mające zamek na blizkiej górze mocny, ale w samem mieście gnojów pełno i nieochędństwo wielkie po ulicach. Do lepszej austeryi nocować sprowadziwszy się, przy stole dwóch szlachty węgierskiej pijącej wino i już podpitych zastałem. Siadłem przy tymże stole, a oni po łacinie z sobą rozmawiając, najgorzej cesarżowę Maryę Teresę i cesarża Józefa wspominali. Widząc, że tego za wiele było, odezwałem się nakoniec do nich po łacinie, że mają szczęście, iż nie jestem Niemcem, ale Polakiem, który tych mów swawolnych słucham, bo doniesieni mogliby ucierpieć za to; przybiegli do mnie obydwaj i ściskając mnie serdecznie, polonus, polonus powtarzali. Kiedym im przymawiał o nieochędństwo w mieście i gnoje leżące po ulicach, mając przykład blizkiego Wiednia, gdzie tak wszystko porządne, odpowiedzieli mi: „Wolę, że mi ten gnój śmierdzi, niżeli żeby mnie kto przymuszał, abym go wywiózł“—i to jest wolność. Tak się we mnie potem rozkochali, że mnie nocy pozbawili, nie mogąc wszelako dokazać, ażebym się wraz z nimi upił. Na drodze, Dunajem płynąc, jest nad brzegiem miasta Komoryn, sławne zamkiem nigdy od Turków niedobyty. Jakoż jest tam przy bramie zamkowej panna z kamienia ciosowego wyrznięta, figę pokazująca, co ma znaczyć, że się Turków nie boi. Tamże kościola murowanego

i wielu domów, świeże zastawszy rozwaliny, kiedym się pytał murujących na nowo, z kąd tyle rozwalin w mieście? a oni przeszloroczne trzęsienie ziemi dali za przyczynę, dodając, że tego często doświadczają, pytałem dalej dziwiąc się, czemu się na tak niebezpiecznym miejscu znowu murujecie? My tu przywykliśmy do miejsca, bo tu dziadowie nasi mieszkali,“ odpowiedzieli mi, a ja ich prawdę sercem mojem potwierdziłem, że do mojej ojczyzny chociaż tak nie-szczęśliwej, powracałem, ażeby w niej żyć i umierać.

Przytłynęliśmy nakoniec do Pesztu, tej drugiej stolicy niższych Węgier. Miasto na dole porządne, z domem dla inwalidów najwspanialszym; z drugiej strony Dunaju, na którym most był na łożdach, drugie miasto na górze położone, nazwiskiem Buda, które razem sławną fortecą jest, tyle razy od Turków napadaną. Peszt, w czasie jarmarkowym, znalazłem najludniejszym, gdzie i naszych kupców ze Lwowa poznałem, z którymi o powrót do ojczyzny umówiłem się. W tem mieście bawiąc dni kilka, miałem czas napatrzeć się ludu węgierskiego obojej płci i wielu nawet znaczniejszych obywateli widzieć. Powszechnie powiedzieć można, że mężczyźni tam są piękniejsi od kobiet, co przeciwnie można uważać w Wiedniu. Włosy u Węgrów pospolicie czarne i twarze czarniawe, wzrost hoży i skład całego ciała piękny. Serce ich dla nas Polaków najlepsze, może dlatego, że z nas za swoje wina największe pożytki mieli, bo jak sami przedemną wyznawali, większą połowę ich wina Polska zabierała corocznie. Ale najwięcej dlatego, że, jak mówią, nigdyśmy sobie nie byli nieprzyjaciołmi, żeśmy pod jednym żyli królami, i że nasz i ich razem Władysław, dla ich dobra zginął pod Warną.

Kraj węgierski ze wszech miar jest najszcześliwszy, powietrze zdrowe, klimat ciepły, rzeki splawne i najrybniejsze, pszenica i bydło najpiękniejsze, ma swoje złoto i wino między najlepszemi w Euro-

pie; krajowi temu nazwisko raju ziemskiego daćby się powinno. Pastwiska tam tak żyzne, że mięso bydła, na nich pasących się, najsmaczniejsze jest i doświadczałem tego w Wiedniu, jedząc z krain innych i z węgierskich wołów mięsiwa. Owoce ogrodowe, zacząwszy od sławnych ich śliwek, najsmaczniejsze. Są zaś niektóre źródła w górach węgierskich, w które wrzucone żelazo, za kilkanaście lat w miedź się obraca¹⁾; a miedzi i to najlepszej w Europie, najwięcej w tym kraju znaleziono. Taniać zaś w wyżwieniu się taka, że za 12 groszy polskich kupiony karp dwóch ludzi do sytości nakarmił.

Wieśniak tam tylko w Węgrzech jest nieszczęśliwy, bo szlachta dziedzice, zaszczytami przywilejami Maryi Teresy, nic sami na skarb monarszy nie płacą i poddani tylko ten ciężar znoszą.

Z Pesztu przez Tokaj, Ungwar na Lisk przebieierałem się do ojczyzny. Przeprowadzając się przez góry węgierskie, kiedy na największej ich wysokości stanąłem, widziałem Węgry całe i ziemię moją ukochaną Polskę. Jaśnie z tej wysokości poznać mogłem, jak daleko wyżej wzniesiona ziemia polska nad Węgry, że gdyby zalew ziemi następował, kiedy Węgry całe już byłyby zatopione, Polskaby jeszcze nietknięta została. Taka w tem miejscu gór była wyniosłość, że chmury, kawalkami przechodzące, twarz mi odwilżyły. Po kilku godzinach jazdy z gór, ku Polsce spuszczać się, przybyłem nakoniec do komory granicznej polskiej, i całując ziemię, na której się urodziłem, słodkie łzy radości wylewałem. Tam strażnik polski, nazwiskiem Rudnicki, żem mu darował wina tokajskiego dwa garnce, którego antał, dla utraktowania przyjaciół we Lwowie wiozłem, dał mi wieczerzę polską, gdzie żądany barszcz narodowy mile witałem, i gdzie po noclegu poczułem się zaraz zdrowszy. Tak swoje klima i humor weselszy i na-

¹⁾ Miedzią się pokrywa. (P. W.).

rodowe jadlo nad inne lekarstwo najskuteczniejszym każdemu będą. O ty, ojczyzno moja! kiedy na twoim gruncie stanąłem, zdało mi się, że piękniejsze daleko, niżeli je w Wiedniu widywałem, wschodziło słońce i dym w izbie strażnika Rudnickiego nie był tak przykry, jak indziej.

Do Lwowa przyjechawszy, zastałem już wdowę wojewodzicową poznańską i więcej już sobie obiecując z tą już wolną, najcnotliwszą kobietą, może ją jeszcze surowszą znalazłem. Tak cnota prawdziwa niema wolności inszej, tylko w wybieraniu i pełnieniu spraw dobrych. Najgrzeczniej od niej przyjęty byłem i widziałem to, że się ze mną bawić lubiła, i to drugie, że bawić samotnie chroniła się. Przyjaciel mój Siedlecki, stale przy niej bawiący się, robił mi bawienie z tą cnotliwą kobietą, słodsze jeszcze. Mieszkała zaś o milę ode Lwowa, w domu swym wiejskim w Milatyczach. Bała się ona w początkach małżeństwa ze mną, będąc starszą odemnie 14 latami, bojąc się nadewszystko, tak była zawistną, aże bym się w drugich nie kochał, ale i ja sam potem, wołąc często z młodszymi miewać rozrywki, powiększyłem bojaźń jej.

Czując się jeszcze z mojej konsumpcyi na siłach słabym, wyjechałem do sławnego w Krystynopolu doktora medycyny Hirnejsa, wiedząc o jego także słabości, że nad wszystko nienawdził wiedeńskiego doktora Van-Swietena, to mu wszedłszy do niego, powiedziałem, że bawiąc w Wiedniu, leczony byłem przez Van-Swietena, i nietylko polepszenia zdrowia nie miałem, ale coraz po jego lekarstwach czułem się jeszcze słabszym, a dla oświecenia Hernejsa, pokazałem mu recepty Van-Swietena, jak od niego leczony byłem. Na spojrzenie na podpis tego nie przyjaciela swego ręce mu się trząść poczęły i niedoczytawszy się jeszcze recepty, rzucił ją, zdarłszy, na ziemię i razem tabakierkę, w rękę trzymaną, rzucawszy, potłukł, powtarzając: „osłów doktor, osłów.“

Wpadłem u niego w łaskę i niedziel dwie tam bawić musiałem, chociaż mi żadnego lekarstwa nie dawał i nawet do domu nie dał, radząc tylko, ażebym osłabiony żołądek klikkami i potrawami delikatniejszemi do grubszego wprowadził, sam mi nawet szynki po trochu przy sobie jeść kazał, a za najpierwsze lekarstw szukanie i bawienie w wesołej kompanii przeznaczył, i prawdziwie wyznać należy, że podług rady jego utrzymywanie się moje napotem, powróciło mi zupełne zdrowie.

Bielski, łowczy koronny, zawsze mnie jednako-wo kochający, kiedy mu się syn Bogusław urodził, że mu się syny nie chowały, obiecał Bogu, jeśli ten do dalszego wieku wyżyje, nie widzieć go aż do lat ośmnastu, jakoż po kilkunastu niedzielach po urodzeniu dziecięcia odwieźć go kazał do Lwowa, gdzieby się przy doktorach, w domu uczciwej szlachcianki Chaszczewskiej chował, który doszedłszy lat dwunastu, miał zemną jechać za granicę, a tam przez lat sześć bawiąc, do ojca na swój rok ośmasty powrócić. W takim ze mną zamiarze dawał mi wieś dziedzictwem, niedaleko Pieniak, rezydencji jego leżącą, Kołubice nazwaną, jak tylko z Bogusławem powróciłbym, chociażbym ojca już przy życiu nie zastał. Ale los zrządził inaczej, bo dziecko po dwóch leciech umarło we Lwowie.

Ja tymczasem, w różnych przygodach, różnemi wierszami bawiłem się, pominąwszy Sielankę, Tęskność na wiosnę do Justyny, którą w szkołach jeszcze będąc, napisałem, do pierwszej mojej Justyny Bröselówny i ze dwie, prócz tej do tejsze napisane, wszystkie inne Sielanki, pod tytułem Justyny, napisane już do drugiej Justyny, Maryanny Ponińskiej należą.

Przyszedł nakoniec czas rozerwania pierwszego ojczyzny mojej i konfederacya barska, którą pycha, nie miłość dobra narodu, rozpoczęła, zupełnie upadła. Monarchowie sąsiedni, nierządem naszym ośmieleni, wzięli się za ręce i projekt króla pruskiego Frydery-

ka, podany Katarzynie rosyjskiej, za oporem długim trzeciej zabornej strony austriackiej w r. 1773 przyszedł do skutku. Marya Teresa, cesarzowa austriacka, wdowa, nie chciała przez czas jakiś przystąpić do rozbioru Polski, widząc wyraźną niesprawiedliwość przywłaszczenia sobie bez żadnego prawa rzeczy cudzej, dlatego tylko, że ten cudzy słabym jest. Ale wtenczas właśnie, wydarzony dziki postępek wojewody natenczas kijowskiego, Potockiego, i ją do rozbioru nakłonił, kiedy przekonywali ją jej nadwornicy, a ujęci dawniej teologowie, że gdyby była kordon ten, na nią przypadający, w którym wojewoda kijowski mieszkał, pierwiej zabrała, do tego kryminału nigdyby przyjsć ten zuchwały magnat nie ośmielił się. Ten Potocki miał syna jednego, imieniem Szczęsnego, który się z czasem także do zguby ojczyzny przyczynił. Syn Szczęsny, upodobawszy w sąsiedztwie pięknego domu, twarzy i obyczajów panę Komorowską, bez woli ojca z nią się ożenił. Zabolalo to wojewodę, który syna swojego jedynaka z najbogatszą jaką partją, albo udzielną jaką księżniczką zagraniczną złączyć myślał, nie mogąc inaczej nielubej sobie zbyć się synowej, bez wielkich zachodów utopić ją kazał.

Druga magnatka, wojewodzina wileńska, Radziwiłłowa, z domu Rzewuska, który równie jako i Szczęsny Potocki dokonywał potem nieszczęsnego losu ojczyzny swojej, przysłanego z Preszowa od generalności, niejakiego Litwina Czeszejkę, który zbierał składki od obywateli polskich na potrzeby konfederacyi, że się ośmielił swywolne jej życie naganić, sprowadziwszy kata do Białego-Kamienia, gdzie mieszkała, co także potem w kordon austriacki dostało się, ściąć go kazała bez żadnego sądu. Takie kryminały, bezkarnie świeżo popelnione, przekonały nakoniec Maryę Teresę, że do rozbioru Polski z drugimi dwoma mocarstwami przystąpiła.

Prócz tych świeżych przykładów ostatniej bez-

prawości magnatów naszych, sływał u nas na Rusi okrucieństwem swoim Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, który do 40 ludzi swoją ręką nazabijał. W Polsce starosta knyszyński, Czapski, tak był okrutny, że tych, których nie lubił, albo winnymi sobie osądził, w beczkę, nabitą bretnaglami, wsadził i takie beczki dla swojej rozrywki przed sobą toczyć kazal, na którym, dla jego okrucieństw, banicyę zyskał Brannicki hetman, ażeby sąsiedni od Białego Stoku Knyszyn trzymał. W Litwie Radziwiłł, chorąży litewski, w Białej mieszkający, który lubił słuchać jęczenia w dołach podziemnych swoich mniemanych winowajców, których najlepszymi swymi śpiewakami nazywał.

Wszyscy ci okrutnicy w tym czasie żyli i powodem do rozebrania kraju tak nierządno stali się. — Austryi dostały się od Biały, przy Szląsku i brzegów Wisły, bliżej Krakowa, ziemie wszystkie aż do granicy węgierskiej i Wołoszczyzny, ku południowi; od brzegu zaś prawego Wisły pod Sandomierz, pod Krasnystaw aż do brzegu rzeki Dubienki, ku wschodowi, ztamtąd Bugiem aż do Sokola i wołoskiej granicy, o milę małą od Kamieńca podolskiego, koroon austriacki zajął.

Król pruski zabrał województwa Prus polskich: Pomorskie, Chełmińskie i Malborskie, część województwa inowrocławskiego, poznańskiego i kaliskiego z Warmią.

Imperatorowa rosyjska wszystkie z tamtej strony rzeki Dźwiny województwa: połockie, witebskie i mścisławskie objęła.

Czuciem przejęty tego okropnego losu krajowego, wtenczas to napisałem pieśń pod tytułem: Dziada sokalskiego, zaczynającą się: „Śladem bieda, przyszła bieda śladem,“ którą to pieśń w samej rzeczy dziadowi sokalskiemu, chodzącemu z lirą, przy której śpiewywał, na jedną nutę z jego żalonych pie-

śni skomponowaną, do śpiewania oddałem, za co on biedny potem od Niemców ucierpiał.

W tym czasie i zakon jezuitów zniesiony, za naleganiem Francyi najbardziej, Hiszpanii i Portugalii. Papież Ganganelli, przymuszony przedstawieniami tych dworów, jeszcze się wstrzymywał w kasowaniu tak przydatnego zakonu w chrześcijaństwie, generałowi jezuiickiemu proponował, ażeby, jeżeli zostać jeszcze żądali, teologii nie uczyli, kapelanów swoich przy monarchach nie mieli i wpływu do rządu najmniejszego unikali. Pyszny generał, nie spodziewając się, ażeby kiedy do ostateczności przyjść miało, że w samych Włoszech potężne mieli swoje partye, od powiedział Papieżowi: „Wszystko jak było, albo nic.“ I tak nic im nie zostało, bo papież wydał bullę, kasującą ich zakon po całym świecie. Przyczyny zaś, które pociągnęły monarchów do żądania tej kasacyi, były następujące: konspiracya na króla portugalskiego Józefa, której naczelnikiem był Jezuita Mategreda, który za tęż konspiracyę na śmierć był skazany.

W Paragwaju, prowincyi Ameryki portugalskiej, mieli obranego króla Jezuitę, braciszka, pod imieniem Mikołaja, gdzie już na kilkanaście tysięcy broni przygotowanej, w celu wystawienia wojska, w swoich mieli magazynach. W hiszpańskich podobnie prowincyach Ameryki otwarciu przeciwko królom układy rozpoczęli. Jeden z nich wydał prócz tego ważny sekret, na spowiedzi sobie powierzonej od matki królewskiej, co zamieszanie największe w kraju sprawićby mogło. We Francyi, za intrygi w narodzie, za nauki publiczne w teologii, a przeciwne królom, że król tyran powinien być zabitym według książki Jezuity Busenbaum, którą to książkę kat publicznie na rynku palił. A wszędzie w Europie staranie najpilniejsze, ażeby Jezuita u monarchów katolickich był spowiednikiem, a tak wiadomi sekretów każdego króla, dyspensowani byli generałowi owemu donieść je, ażeby ten z takich wiadomości układy potrzebne za-

konowi i intrygi swoje czynił. Skasowani nakoniec (jak się powiedziało), jeszcze zuchwałością swoją powodowani, najwyższej zwierzchności kościoła nieposłusznymi stali się, bo nie mogąc już w państwach katolickich utrzymać się, w protekcję dysydenckich monarchów udali się. I tak już po skasowaniu ich powszechnem byli jeszcze czas jakiś w państwach króla pruskiego i w imperyum rosyjskiem w Połocku. Zakon ten, fundowany przez świętego Ignacego Lojole, Hiszpana, potwierdzony przez Pawła III-go papieża, w r. 1540, trwający więcej lat 230, upadł. Trzeba wyznać, że gdyby nie intrygi, w które się mieszać nad wszystko lubili, chęć zbierania bogactw i pomnożenia często nieprawne funduszów swoich, gdyby nie pycha, którą wszystkich innych zakonników w pogardzie mieli, było to zgromadzenie ludzi między najświetlejszymi w Europie. Tę szlachetną mając ambycję, ażeby nikomu w umiejętnościach nie dać się uprzedzić, a obyczajami skromnymi, co się tyczy rozpusty, albo pijaństwa, być przykładem innym zgromadzeniom.

Po rozbiorze pierwszym, my, obywatele ubożsi, czuliśmy daleko większą stratę, niżeli magnaci nasi, bo równie z szumem, jak dawniej postępowali, rozumiejąc, że ich wystawne życie wrażenie jakieś i uszanowanie dla nich u Niemców sprawi, ale inaczej wszystko stało się. — Cesarz Józef I-szy wkrótce był na kontraktach lwowskich, gdzie widząc magnatów najpiękniejsze w pojazdach konie, najokazalsze karety, a żony ich prawie całe w klejnotach, publicznie powiedział: „żalicie się na podatki, a taki zbytek we wszystkim u was?” Pozdejmowały damy klejnoty, a magnaci piechotą czasem po ulicach przechodzili się, ale ta nagła zmiana śmieszniejszą jeszcze dla Niemców była przyczyną. Kiedy Józef I proponował magnatom wzięcie się do czynności jakich w nowym rządzie i kiedy nikogo z nich nie było widać, znowu cesarz powiedział: „Ci bogacze podobni do much, któ-

re tylko po domie brzęczą i brudne ślady wszędzie po sobie zostawują.“ Ale nie na samem jego gadaniu skończyło się, polityką było dworu wiedeńskiego nie nas ubogich, ale magnatów naszych ciemnić, bo od nas nie spodziewali się oburzenia jakiego, ale pycha magnatów więcej czyniła wrażenia. — Wszystko tedy robiono, jakby ich zedrzyć, albo upokorzyć można, stawiano im za najmniejsze sprzeciwienie się w ich nawet pokoju sypialnym żołnierza na egzekucyę. Gubernator zawołanego do siebie magnata trzymał długo przed pokojem, a czasem i odejść mu bez widzenia się kazał. Pokasowano milicye panów nadworne; ordynatowi Zamojskiemu ordynackich konstytucyjnych żołnierzy trzymać zakazano, a natomiast cesarski tam żołnierz stanął garnizonem; wojewoda kijowski Potocki, który miał do półtora tysiąca żołnierzy nadwornych w Krystynopolu, zwyczajnej swojej rezydencyi, tych mu niezwłocznie rozpuścić kazono, i kiedy do rządu podał notę, że nie będzie bezpieczny w domu bez tych żołnierzy od hultajów, mając srebra tyle i droższego narzędzia, posłano mu 300 żołnierzy austriackich, ażeby ci ustawiczną załogą konsystowali u niego w Krystynopolu, a tak pewnym będzie od napaści hultajów. Takie upokorzenie najpyszniejszego magnata tego i czucie jego zbyt uczynne poniżenia swojego, ściągnęło mu chorobę, z której i umarł, że nie mógł bezkarnie ludzi zabijać. Po jego śmierci Komorowski, ojciec utopionej córki swojej przez wojewodę, chciał rozpocząć proces o ten gwałt, najokrutniej na dziecięciu jego przed rokiem dopełniony. Niemcy to publicznie przed nami we Lwowie mówili, że ponieważ tak pan Szczęsny, syn zmarłego wojewody Potockiego, jako i pan Komorowski są *sujets mixtes*, to jest, że mają dobra w austriackim kordonie i w polskim kraju, mogą się tedy sądzić we Lwowie albo w Warszawie; jeżeliby (jak mówili Niemcy) chcieli się sądzić we Lwowie, tedy

pewny dekret, że za taki kryminal trupa z grobu do-
 będą wojewody i kat mu na rynku głowę utnie. Ale
 odrodny ojciec Komorowski, wiedząc o takim Niem-
 ców przedsięwzięciu, wolał się zgodzić z Szczęsnym
 Potockim w Warszawie i za krew dziecięcia swoje-
 go niewinnie przelaną 600,000 złp. odebrał. Tak
 my ubożsi, jak dawniej czyniliśmy, tak nawet już
 pod rządem austriackim, braniem od magnatów pie-
 niędzy, ośmielaliśmy ich, żeby nas bezkarnie zabijali,
 kiedy mieli czem za to zapłacić. Nie dziwiłem się
 dawniej Kalinowskiemu, staroście grodowemu winni-
 ckiemu, który obraziwszy sławnego zabojami obywa-
 telów, Mikołaja Potockiego, starostę kaniowskiego, na
 publicznym gościńcu od niego w 200 koni żołnierzy
 napadnionemu, z pojazdu wywleczonemu, na drodze
 położonemu i 150 kijów biorącemu, że się potem
 z tymże tyranem za 200,000 zgodzili. — Bo gdyby
 sobie ostrzej z tym najeźdźnikiem postąpić chciał, pe-
 wnieby go pierwej za czasów rządu naszego zabić
 kazał. Ale Komorowski, mając już twardy rząd au-
 stryacki po sobie, czemuż on wolał pieniądze? Niem-
 cy, prócz najwyższego rządu we Lwowie, ustanowili
 jeszcze *forum nobilem*, gdzie obywatele nasi, z Niem-
 cami pomieszani, szlacheckie sprawy rozsądzać obo-
 wiązani. Postanowili tamże zbieranie się stanów kra-
 ju, a w tych stronach siedmiu naczelników z obywa-
 teli znaczniejszych wybrali. Te stany naradzać się
 powinny według uniwersałów cesarskich (taki był
 wyraz w uniwersale) nie dlaczego, ale jakim sposo-
 bem, co nam nierozumiejącym wytłomaczyli Niemcy,
 że na przykład, jeżeli nałożony będzie podatek, stany
 pytać się nie będą mogły, czemu on jest nałożony,
 ale tylko jakim sposobem wypłacić. Tak niechcąc
 na dawnych sejmach naszych dobrowolny sobie na
 utrzymanie żołnierza krajowego podatek nałożyć, bez-
 bronno straciwszy wolność, przymuszeni byliśmy płacić
 to, co Niemiec każe, nie pytając się, dlaczego płacić
 kazano.

Szlachta, zawsze lepiej od magnatów myśląca o dobru ojczyzny, przed tym pierwszym upadkiem naszym na lat kilka, widząc nierządem i przemocą magnatów wszystko ciemnione, umówiła się między sobą po województwach, ażeby każdy obywatel podług intraty z wioski dziedzicznej, pewną część pieniędzy corocznie składał, z których miała się układać milicya województwa, a ta albo w czasie potrzeby kraju powinna być do wojsk koronnych dołączyć się, albo w czasie pokoju dekretów sądowych doglądać. Ta poczciwa umowa obywatelska miała składać milicyi w czterech województwach, już na to między sobą ułożonych: podlaskiem, wołyńskim, bractawskim i kijowskim, do 30 tysięcy wojska, a jako się spodziewano, że inne województwa koronne i litewskie pewnie za tym przykładem pójdą, najmniej 100,000 milicyj wojewódzkich, przyłączone do wojsk narodowych, uformowałyby pewnie znaczącą w Europie potęgę Polski. Ale magnaci na sejmie to zrozumiawszy, że już nie będą mogli swoimi nadwornymi żołnierzami dekretom sądowniczym sprzeciwiać się, szlachtę w respekcie dla siebie trzymać, albo bezkarnie śmielszych zabijać, tym szlachetnym zamiśłom obywatelów wojewódzkich całemi siłami sprzeciwili się i dawny nierząd utrzymać woleli, nie mniej i dlatego, ażeby z ogromnych dóbr swoich proporcjonalnej, jak szlachta dawali, części intraty nie składali. Na czem w kilka lat potem oszukali się po zabraniu kordonów, najmniej cztery razy tyle podatków dla nowych panów składać musieli, ile im się dla dobra narodu swego płacić nie chciało. Opłacili potem na to, ażeby ich mocniej za karki nowe pany trzymali po zabraniu 1-go kordonu.

Ja tymczasem przy mojej Justynie różnego losu doznawałem, czasem najgoręcej ślubem małżeńskim z nią się połączyć chciałem, a czasem bojąc się jej humoru, ustawicznie prawie sprzecznego, lubiła, zaufana w rozumie swoim, dysputować ustawicznie;

ostygnałem pomалу w żądaniach moich, co chociaż postrzegala ta najszacowniejsza kobieta, wszelako widząc mnie ubogim, na dzień imienin moich darowała mi 5,000 złp. i ten od niej dar miałem w życiu jedyny, chociaż potem przy królu i między pierwszemi osobami w kraju żyjąc, na łaskę każdego zasługiwałem. Za te pieniądze zaraz trzymać wioskę zacząłem i przy ciężkiej pracy przez lat 30, rękoma nawet własnemi na chleb robiąc (bo ci jedni prawdziwi przyjaciele najszczerzej wesprą), przyszedłem na starość do chleba, którego nie do zbytku, ale do sytości używam. Trzymając pierwszą wioskę od Mrozowickich, Wierzbowice zwaną, Bielki, łowczy, zawsze jednako lubiący mnie, kazał uważać moje gospodarstwo komisarzowi swojemu, blisko mieszkającemu; kiedy w następnej jesieni do niego przyjechałem, śmiał się, że z książki gospodarował, bo mnie komisarz jego czytającego książkę przy kosiarzach w polu widział. Ja się odwołałem do samego komisarza, że siano moje sucho zebrane i popłatniejsze było, niżeli Bielskiego, ale zacząwszy gospodarować, od chłopów, grunt swój najbliżej mających, naukę brałem w czasie orania, siewy, samokosów. Tak w kilku leciech na kilku dzierżawach pracując, do 1000 dukatów przypędziłem, kiedy ostatnią wioskę od Bielskiego w kordonie cesarskim Dobrowody trzymałem, a potem do Polski przeniosłem się. W czasie różnych dzierżaw moich poznałem się z domem Dzeduszyckich, Koziobrodzkich (od którego wioskę trzymałem); Potockich, starostów sokolnickich; Puzyńców, starostów upitskich, wszystkich ludzi poczciwych; od Koziobrodzkiego, starosty olchowickiego, trzymając wioskę Żabokruki, który, mnie, jak syna swego lubił, pokochaliśmy się z córką jego Franciszką, która, mając sto kilkadziesiąt tysięcy posagu, już za młodego Puzyńcę, mającego obszerną majątność, była zaręczoną. Panna nielubiąca narzeczonego swego kawalera, dała mi poznać, abym ją wy-

kradł, co pewnie udaloby się, i za wstawieniem się z mojej strony ludzi zacniejszych ojca panny przeprosić możnaby było.—Ale kiedy on mnie kochał jak syna, kiedy mi wioskę po przyjacielsku wypuścił, kiedy mi z córką bawić się z zaufaniem dniami i nocami nie bronił, jakże mógłbym go w zaufaniu jego zawodzić, całym życiem wstydić się przed ludźmi o czarny postępek mój? Poszła ona potem za tego panicza i była nieszczęśliwą, a Koziebrodzki wkrótce z mojej niewinnej przyczyny umarł. Na święty Marcin, w dzień imienia jego, miał wiele gości, między którymi i ja byłem, lubił on czasem pić dobrze, ale ja nie mogłem, tylko zachęcać umiałem; kiedy do czterech godzin u obiadu bawimy, gospodarz wodę przetrzymawszy, wyszedł po czasie na dwór, a niemożąc jej zbyć się, hajdukom, którzy go wyprowadzili, jak pijany bez rozmysłu położyć się twarzą ku ziemi kazał, ażeby tak od dołu oziębivszy się, zbył się ciężaru, a był mróz dobry na święty Marcin, paraliż naruszył niższe części i po kilku niedzielach umierać musiał, zawsze mi w chorobie swojej wymawiając, że zachęcaniem mojem do picia obfitszego choroby jego przyczyną był.

Na końcu dzierżaw moich w Galicyi Żabokruki trzymając, zdziwiłem się, że chlopi tamtejsi mieli także swoją mitologią. Raz z jednym z nich saneczka-mi przejeżdżając o ćwierć mili od wsi, obaczywszy przy drodze kamień, jak słup jaki, do czterech łokci, a wysokości może do dziesięciu mający, pytałem mego wieśniaka, coby znaczył ten kamień, a on mi odpowie: przed wiekami matka z córką pracowała na tej łące i kiedy matka najpilniej robi, córka często sobie folgując, napominania matki nie słuchała; matka rozgniewana przeklina ją, ażeby się w kamień obróciła, i oto, mówi dalej wieśniak, taż sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i tu przy drodze stoi.—Nie śmiałem się z baśni tej błędnego wywodu, kiedy tak użyteczny cel miała. Ale

nazaju rz gromady wieśniaków moich znowu o tenże słup pytając, najpierwsi starcy toż samo potwierdzili, jeden z nich tylko, chociaż był jeszcze młodszym, rzecze: ja temu, panie, nie wierzę, bo gdzieżby dziewczka tak gruba i tak wysoka była.

Dobrowody, wioskę od Bielskiego arendując, miałem sąsiada w Monasterzyskach, starostę halickiego Potockiego, człowieka najpocziwszego, i żonę jego z książąt Lubomirskich, Witosławskich podczaszych, ludzi najprzychylniejszych dla mnie, a najbliżej stolnika Piaseckiego, rzadkiej pocziwości człowieka; temu przed kilku latami pułkownik rosyjski, idący na Turczyną pod Chocim, a słysząc o cnoście jego, dał 3,000 dukatów do schowania, z przydatkiem na piśmie, że jeżeliby na tej wojnie zginął, tedy Piasecki połowę pieniędzy jego odda jenerałowi jego, a drugą sobie weźmie, jeżeliby zaś z wojny wyszedł, tedy odda je całe pułkownikowi; trzy lata o pułkowniku nie było słyhać, nakoniec powrócił i Piasecki zupełne mu pieniądze odkopawszy z ziemi, oddał. Pocziwy pułkownik, rozkochany w cnoście pocziwego Piaseckiego, czyni mu dar całej połowy tychże pieniędzy swoich za wierne ich dochowanie, których tenże nie przyjmuje, mówiąc: że swojej cnoty nie sprzedaje, i tylko zegarkiem wziętym na pamiątkę, kontentuje się, chociaż nad 25 tysięcy złp. nie miał majątku więcej. Nie widziałem człowieka, więcej mającego rezygnacją na wolę Boską, jak miał Piasecki, co jest jedynym sposobem szczęścia ludzkiego na ziemi; najsmutniejsze przypadki, gradobicia, upadek bydła, śmierć dziecięcia, nic go prawie nie obchodziły; i zawsze go widziałem wesolego z tem swoim hasłem: „Bóg tak chciał.“ U żony jego, już jak on dobrze starej, widziałem piękną małą szkatułkę, jaszczurem obitą, z brzegami srebrnemi, wewnątrz mającą cztery butelki kryształowe i kieliszek takż we środku, a pod wiekiem, otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło; miała ten prezent, (jak

powiadała Piasecka) od pani swojej, Sieniawskiej, u której za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jejmość po ubraniu się, piła z tego puzderka słodką gorzalkę, póty, póki się jej czerwoność trochę na twarzy nie pokazała. Mój Piasecki jedynym był w naturalności we wszystkich swoich odpowiedziach. — Już po zabraniu kordonu na lwowskich kontraktach byłem z kolei od gubernatora lwowskiego, pysznego Ruszperga, proszony na obiad. Piasecki na coś mnie potrzebował i po obiedzie przyszedł za mną do gubernatora; że tam chyba za melowaniem się wpuszczano do gubernatora na pokoje, kiedy przypadkiem kamerdynerów przed pokojem nie było, wszedł Piasecki do pokoju, w którym jeden tylko był przy kominku grzejący się gubernator, i widząc sarmatę z wąsami, a niespodziewając się, żeby inszy język rozumiał, po łacinie go zapytał, jak tu wszedł, nieopowiedziawszy się? Odpowiedział: widziałem, że tędy ludzie przechodzą i ja też przeszedłem; znowu gubernator: czemu nie czekałeś przed pokojem? bo tam zimno, odpowiedział; spytany znowu: czegoby żądał, że mnie szukał, sam gubernator wyjść musiał do drugiego pokoju i mnie wywołać, ażeby się prędzej zbyć tego człowieka nie podług niemieckiej etykiety. Z tym Piaseckim, który czasami lubił się napić, byliśmy u sąsiada, sławnego pijaka, Siemianowskiego, tamże przyjechał z żoną pyszny dyrektor, Niemiec, nasz zwierzchnik powiatowy, i przywiózł z sobą kapitana, pierw zamieszkałego w Polsce, Francuza, który dawniej był guwernerem panów Potockich, kasztelanów lwowskich, i który w miasteczku Monasterzyskach jako dyrektor mieszkał. Podpiwszy trochę, zaczęli się ci dwaj bohaterowie Niemiec z Francuzem o jakiś pijany honor przemawiać, a potem przyszło do policzków, gdzie dyrektor i Francuz obalili się na ziemię. My konenci, tyłkośmy krzyczeli, co ichmość robicie, ale

umyślnie ich nie rozbranialiśmy, kiedy Niemiec silniejszy wziął pod siebie Francuza, hajduk Siemianowski, niby ich rozbraniając, Niemca na spód, a Francuza na wierzch obrócił, dopiero nasz Francuz zpolszczały, co się w paszczkę niemiecką zmieściło, tyle mu policzków nadawał, że nakoniec my Polacy kontenci, szczerześmy ich rozbraniali, bo już i krew z nosa austriackiego cieć zaczęła. To zdarzenie trochę napotem Niemca upokorzyło, ale wszelako dawał jeszcze tony sobie, i wkrótce przed pokojem będących nas obywateli zrana u niego, wyszedłszy do nas w szlatroku, strofował, żeśmy głowy nakryte mieli; kiedym mu odpowiedział, że kiedy nikogo w pokoju nie było, przed kimże kapelusz zdejmować mieliśmy, on pokazał na portret Józefa cesarza, a ja na jego szlafrok, że także przeciwko respektowi portretu było w szlafroku wychodzić. Ale więcej mu zrobił mój sąsiad Bobrowski, gdy jadąc w zimie (jak miał zwyczaj zawsze z fuzyą w sankach nabitą) jadący przeciwko niemu z małemi sankami jednym koniem dyrektor, widząc, że się Bobrowski mało tylko co z drogi zwrócił, że mu było, że czterema końmi jechał, zawołał rozgniewany: na bok, szelm Polak! Bobrowski urażony, a żywy, z fuzyi do niego zmierzył, ale szczęściem Niemca, na panewce tylko spaliło. Była potem o to indagacya i skończyła się na niczem. Lepiej się jeszcze udało obywatelowi w ziemi przemyskiej, do którego mając jakąś urazę blisko mieszkający dyrektor, dowiedziawszy się, że obywatel miał gości na obiad, którzy się na jego imieniny licznie zjechali, posłał do niego przed samym obiadem kancelistę swojego, ażeby tego momentu u niego stawał; obywatel odpowiedział kanceliście, że podatki cesarskie zapłacił i do niczego się winnym nie poczuwa, a mając gości, porzucić ich nie może, jutro zaś jak najraniej na rozkaz stawi się; kancelista z odpowiedzią odjechał, a tymczasem goście do stołu siedli; już ku końcowi

obiadu sam dyrektor przyjechał i kiedy wszyscy przy stole powstali, on, po czesku umiejący, gospodarza ofuknie: „Cóż ty szelm Polak, rozkazów mich ne słuchasz, ja jestem cyzar, bo w osobę jeho tobi rozkazuje, a ty mnie szelm nie słuchasz?” — Tysiąc impertynencyj wygadawszy, kiedy skończył, gospodarz przytomnymi gośćmi zaświadczywszy się, jako za dnej przyczyny do łajania takiego JP. dyrektorowi nie dawszy, napadnięty i zelżony był w domu własnym, kazał ludziom swoim położyć go na ziemi i sto bizunów jemu swoją ręką wyliczyć; co także przepadło, jak się w rządzie dowiedziano, że bez żadnej przyczyny najechany i zelżony był, obywatel wolnym był od procesu, dyrektora zaś z Galicyi do Czech przeniesiono; a takie biednych naszych Polaków czasem opory, trochę pychę rządzących Niemców poskromiły, wszelako znęcali się nad nami jak tylko mogli, i sam cyrkularz do siebie (jako dzierżawca Dobrowód) przysłany taki czytałem: Wszystkim dziedzicom dóbr, dzierżawcom i komisarzom pod kajdanami przykazuje się, aby na dzień wymieniony przed krajshauptmanem stawali. Kiedyśmy za tym rozkazem przyjechali do Brzeżan, cały interes był: zapytanie się krajshauptmana, czyli też rozkazy cesarskie zachowujemy, rzekł tylko, jedźcież nazad do domów. Takie i tym podobne pogardy naszych, skwasily mi nakoniec życie pod tym rządem, pogardzającym Polaka, już myślałem jakby się z tej niewoli wydobyć jak najprędzej; trafiło się, że u Witosławskiego, podczaszego, był w domu brat jego, obożny koronny Witosławski, który ze mną poznawszy się, wiele mi o nieznaney odemnie Warszawie, wiele o królu, a najwięcej o domie księcia generała podolskiego Czartoryskiego nagadał, jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich, ale sam go sobie zrobić chciałem zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą ro-

bót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą,“ w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potem przez oboźnego Witosławnskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznanemu nieznanemu, przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w tejże książce pod tytułem „Sumienia“ dedykowane były. Naruszewicza tak nie znałem, jak i Czartoryskiego, pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynał z rymotwórstwa i że między pierwszymi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp mieć i do monarchy; z którym to Naruszewiczem, kiedy potem w Warszawie poznałem się, z tak tkliwej opisanej zgryzoty sumienia myślał o mnie, że kogóż może zabitem, a ja pomyślałem kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia napada, gdyby kto dał i życie, a nie powinien go dawać. Ale nie znałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedym tak myślał w Galicyi.

Po niejakiem czasie przesłania „Zabawek“ moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękował staroście kaniowskiemu, Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych wlewek sukcesyi, na siebie spadłej po Opalińskiej, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie, po popelnionych tyłu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszcząc z żoną, z domu Dąbrowską, skarbnikówną halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u pp. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozwoju z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencji zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego obrządku, ten zaś obrządek takim zdarzeniem przyjął: Dawniej jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszystkie bezkarnie popelniając kryminały, czasem też Potocki — Potocki ten, przypomniał sobie religią. --

Sprowadził do Horodenki, miasta swojego, przy granicy wołoskiej, księży misyonarzy, którym 30,000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspaniały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął, przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zabłockiego przystąpił. Zaczny ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać nie chciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczno zgorszenia, przed przeszłemi spowiedziami popełniał, a poprawy żadnej nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalić każe, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem pocziwi księży, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodenki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli. — Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcej rozwalić zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wyspowiadany i absolwowany od Bazylianów, ruski obrządek przyjął — 30 tysięcy złotych. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspaniały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwiastkowego przyczynił.

W kilka lat potem po rozdanych między bliskich sukcesorów swoich Potockich ogromnych dobrach, na dziedzińcu Bazylianów poczajowskich, dworek sobie wybudowawszy, mieszkał. Rano i na wieczór na pacierze zakonne do cerkwi chodził, mnichów niedbałych przestrzegał, a mimo tego u siebie dziewczek kilka dla rozpusty trzymał, rano je budząc do różańca, który wraz z niemi odmawiał, a jeżeliby która w czasie tej modlitwy rozśmiała się, cybuchem po plecach karał, ażeby (jak mówił) Boga nie obra-

żała. Kiedy księżę Czartoryski do niego (jak się wyżej wspomniało) z podziękowaniem pojechał, on wtenczas bawił u pani Łaskiej pod Buczaczem, w dobrach kiedyś swoich, a ztamtąd przyjechali obydwaj panowie do mego sąsiada, podczaszego Witosławskiego, na dwa dni. Nie wiedziałem o niczem w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczery czytając książkę, wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec, po francusku ubrany, był to Julian Niemcewicz z księciem Czartoryskim przybyły i wcześniej mnie poznać żądający, od Witosławskich, o pół mili odemnie odległych, przyjechał. On mi o bytności księcia tam powiedział i na obiad jutrzejszy zaprosił; ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześniej do sąsiada przyjechałem i znalazłem księcia jak dla wszystkich tak i dla mnie najgrzeczniejszego. Co inszego spotkać mi się było z tyranem Potockim, starostą kaniowskim, który chociaż już nikomu strasznym być nie mógł, bo jak się powiedziało, i pod Niemcami szumieć nie można było, a nawet z dóbr się już wyzuł i spokojnie na dewocyi siedział w Poczajowie, ale wspomnienie na okrucieństwa jego dawniejsze, oczy jego nawet najdziksze, wzrost i mowa olbrzymia, wstręt do niego czyniły. — Czekając długo obiadu, do czego nie przywykłem, kiedy stałem przy nim, a garderobiana Witosławskiej kolo nas przechodziła, on rzecze do mnie: wolałbym tę klucznicę, niżeli kiedyś obiad Witosławskiego; kiedy tak się tłumaczył miał wtenczas około lat 70. Ten mój sąsiad dla bawienia wielkich swoich gości zaprosił i innych sąsiadów naszych, a między wielką Bąkowskiego z piękną żoną jego z Komorowskich, ludzi majątnych i przymuszonych hrabiów galicyjskich, bo zawsze mawiał Bąkowski, że darowałbym był Niemcom 12 tysięcy, co mu kazali, przymusiwszy go być hrabią. zapłacić od przywileju. Poznałem wtenczas skłonność księcia generała, że lubił piękne kobiety i cały dzień

bawił się z Bąkowską, ale jakiż sposób człowiekowi, mającemu oczy, nie lubić, kiedy co piękne. Książę wyjeżdżając do Witosławskiego, zaprosił mnie do Brzeżan, dóbr ojca swojego, gdzie kilka dni zabawić się miał. Miasto Brzeżany, dawna siedziba Sieniawskich po ostatniej z domu matce ks. Czartoryskiego w dom Czartoryskich przeszło. W tem porządnem mieście mieszkał kreishauptman austriacki; późno już przyjechałem do Brzeżan i aż nazajutrz z rana księcia widzieć mogłem. Krajshauptman czekał także przed pokojem z inszemi gośćmi, chcącymi widzieć księcia; ubrany był natenczas urzędnik powiatowy cudackim sposobem: miał w obydwóch lokach włosów przy uszach kwiaty gwoździkowe i takiż kwiat trzeci żuł w gębie; kiedy się książę pokazał, krzykliwym głosem witał go po niemiecku długą perorą. Na co mu książę kilką słowami odpowiedziawszy, i ze mną się najgrzeczniej przywitawszy, wyszedł na dziedziniec pałacu, gdzie komisarz ojca jego wojewody ruskiego, Daszkiewicz, pokazał mu chłopców kilkunastu w kajdanach, którzy zobaczywszy księcia, na twarz popadali i komisarz powiedział, że to są zbiegowie z dóbr inszych księcia wojewody jarosławskiego, którzy z żonami, dziećmi i dobytkiem uciekali lasami na Wołoszczyznę, a postrzeżeni, w tym komisaryacie brzeżańskim doniesieni, schwytani są.

Kiedy komisarz tym raportem swoim spodziewa się, że książę generał chłopców zgromi i karać każe, przeciwnie wszystko się stało. Książę chłopom, leżącym na ziemi, powstać kazawszy, rzecze im: „Kiedy wam pod ojcem moim żyć było ciężko, świat dla was wolny jeszcze, pójdźcie, gdzie tylko zechcecie, ja za was ojcu mojemu odpowiem,“ a WPan, panie komisarzu, daj z tych ludzi każdemu po dwa talary na drogę; zdziwili się wszyscy na takie najlepsze serce księcia generała, ale chłopci ze łzami wołać zaczęli: nie porzucimy cię, dobry książę, tylko

nas przenieść kaź z Jarosławszczyzny, gdzie pod tyrańskim komisarzem tamtejszym wytrzymać nam niepodobna. Stało się jak oni żądali i ksiązę swoim kosztem budować ich w brzeżańskim komisaryacie rozkazał. Po tem dziele na wstępie moim do księcia najpiękniejszym, rozkochałem się prawdziwie w tym panu, tem mocniej, im mniej znałem panów cnotliwych i czujących nędzę ludu ubogiego.

Książę, jako także literat, po obiedzie wziął mię do swego gabinetu i czytał mi dzieło swoje w manuskrypcie, świeżo przez niego napisane, o edukacyi płci żeńskiej. — Jak było to pismo warte, tak szczerze po skończonem czytaniu dawałem mu pochwały, ale wyraz w początku pisma tego, który był taki: „Daruj mi, piękna płci niewieścia, jeżeli co przeciwko tobie w piśmie tem powiem, wszakże kiedy to piszę dla prawdy, taż sama prawda, która jak i wy kobiety, równie niewieściego rodzaju jest, niech was przeprosi;“ ten wyraz nie podobał mi się i powiedziałem księciu, że nie zdawałoby mi się, ażeby w tak poważnej materyi, jak było pismo to, w edukacyi kobiet mieszać obserwacye gramatykalne, że i prawda tego rodzaju białogłowskiego. Zimno to od księcia przyjęto było, że panowie nie przywykli, ażeby im się sprzeciwiać, wszelako najgrzeczniejszym był dla mnie zawsze przez kilka dni bawienia mego w Brzeżanach, nawet dać mu słowo musiałem, że przyjadę do niego do Warszawy.

Jakem powrócił do domu, moi sąsiedzi winszowali mi łaski księcia, ale mój werydyk, stolnik Pia-secki, nazywał to pogodą marcową, która niedługo trwać mogła. I kiedym ja się do Warszawy zwolna wybierał, on mi bardziej radził, ażeby z nim jechał w Mozyrskie, gdzie miał swą część dziedziczną, twierdząc najpewniej, że tam lud leśny daleko lepszy od ludu warszawskiego.

Tymczasem, przyjechawszy do Lwowa, moi przyjaciele radzili mnie, ażeby, umiając cokolwiek

prawa naszego, a nie źle pisząc po łacinie, jak w tym języku wszystkie sądy w stolicy odbywały się, przysiągł na patrona w guberskiej kancelaryi, co mi zyski wielkie przynieść miało; jakoż Wolański i Dzieszkowski, patronowie, wielkie potem zebrali pamiątki, bo do milionów poprzychodzili, ale ja śliską tę drogę jeszcze pod Niemcami odrzuciłem i widząc, że wyżyć mogę, spokojną pomierność nad zyski zgryźliwe albo niesumienne obrać wołałem.

Kiedy jeszcze z drogą warszawską ociągam się, odebrałem list od księcia generała, zapraszający mnie do siebie i ofiarujący mnie sekretaryą interesów politycznych przy boku swoim. Zostawiłem dzierżawę moją Dobrowody w rękę siostrzana mojego (bo Pia-secki to też mi doradził), żeby dzierżawy tej nie odstępować, że przyjdzie czas (co mu się zgadnąć udało), że porzucę Warszawę i znowu do Dobrowód powrócę. W tej drodze im więcej ku Warszawie zbliżałem się, tem więcej lud prosty wycywilizowany widziałem, nie żeby rozumu naturalnego nad nasze pospólstwo galicyjskie mieli więcej, ale że mniej przesądów, jak naprzykład nikt naszym obywatelom galicyjskim wyperswadować nie mógł o niepewności przepowiedzeń kalendarzów; chłopi zaś tam tak wierzyli w pełnię miesiąca, że wszystkie zachody gospodarskie, które rozpoczynali na pełni, powinny się koniecznie udać. O czarowaniu najuporniej wierzyli, a tęcza u nich, pokazująca się na obłokach, zawsze pić z rzeki albo jeziora musiała, i dopiero zbliżając się ku Warszawie, już tam tęcza ani jadła, ani piła.

Wjechałem nakoniec w stołeczne narodu polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P., jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem, po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadjutora biskupa smoleńskiego, na rozumnym (jak nazywano) obiedzie królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: Waćpana sielanki we Lwowie drukowane, dawniej

go nam zalecili, kochanek Justyny bądźcie i w Warszawie kochany. Kazano mi siedzieć i słuchałem tłómaczenia pięknej ody Horacyusza do Postuma, którą ja także przetłómaczyłem.

W pałacu księcia Czartoryskiego wkrótce był dzień smutny, z obchodzenia rocznicy śmierci księżniczki Teresy Czartoryskiej, z której okoliczności napisane wiersze moje, powszechnie podobały się, a najwięcej zjednały mi łaski księżnej, matki tej zmarłej nieszczęśliwie. Grzejąc się bowiem księżniczka Teresa przy kominku, zapaliły się jej suknie, i mimo przytomnych w pokoju wielu kobiet, z których jedna z przestachu zemdlona, insze zaś przytomność potraciły, biegając przelekniona, tembardziej jeszcze rozżarzała na sobie płomień; przygaszony nakoniec ogień na księżniczce, ale mniej może z oparzelizny, niżeli z przestachu w malignę wpadłszy, po kilku dniach umarła.

Ojca nie było w domu, i kiedy po dwóch dniach powraca do Warszawy, w bramie pyta się szyldwacha, coby w mieście słyhać było? a ten odpowiedział, że księżniczka jakaś, Teresa Czartoryska, spaliła się; z początku wierzyć nie chciał, wszelako przybiegłszy prędko do pałacu swego, poznał tam z łez powszechnych, że rzadko na świecie trafiający się przypadek na dom jego trafił.

Książę generał podolski już byłznaczony marszałkiem trybunału litewskiego i niżeli z nim na pierwszą grodzieńską kadencją wyjechałem do Litwy, miałem czas przez kilka niedziel przypatrzyć się Warszawie, zresztą, co mi o niej poczciwi ludzie Witosławski, oboźny koronny, i Borzęcki, marszałek dworu książęcego, powiadali, potem przez kilkanaście lat tamże mieszkając, wszystko znalazłem prawdą.

Król miał oblicze szanowne, serce najlepsze, wiadomości rzeczy wielkie, grzeczność w obcowaniu nadzwyczajną, wymowę niepospolitą, ale raz w czyn-

nościach tak słaby, że sam prawie nigdy nie wierzył i dlatego radząc się drugiego, każdy według interesu swego przeciągał go w stronę gdzie żądał. Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi, ale co rzadnie czyni, pierwszego z czytania książek i obcowania z ludźmi rozumnymi nabyć można (i toby się bardziej pamięcią niżeli rozumem nazywać powinno), drugie sama natura daje, albo umyka. Wolał często zniżyć się niżeli podnieść, ażeby się nie podał w niebezpieczeństwo; wolał fałsz niżeli prawdę, ażeby się większej liczbie fałszywych nie naraził. Lubił pochlebców i pozobgać pochlebiających wtenczas, kiedy człowiek prawy w ubóstwie pod oczyma chodząc, próżno się wsparcia spodziewał, jako te owe wiersze na sławnego natenczas, a pierwszego w kraju Lachowskiego, kaznodzieję królewskiego potwierdzają:

Lachowski prawdę mówił, jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał, biskupem i panem.

Życie króla rozpustne zepsuło Warszawę i osłabiło śluby małżeńskie, a piękniejsze kobiety w mieście dawały sobie tony większe, niżeli należało, bo każda z nich, wspomniawszy, że była czasem królową, chciała potem zawsze wielowładnie rozkazywać, co tylko przez noc panowała. Rozpusta miasta Warszawy do tego stopnia przyszła, że w mieście tem (śmiało powiedzieć można) 10 razy więcej rozwodów było, niżeli w Polsce i Litwie całej. Nawet już w zwyczaj między możniejszymi przy pisaniu ślubnych intercyz weszło, ażeby się któraby strona rozwodzić chciała, to drugiej pewną sumę płacić obowiązana była.

Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religią i w kilka lat potem sam to słyszałem, jak u siostry swojej Branickiej, kasztelanowej krakowskiej będąc,

kiedy o darowaniu krzywd bliźniemu mowa była, on ze łzami w oczach powiedział: Moja siostrzo, ja w pa-cierzu szczerze te słowa wymawiam: i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Taki był król w Polsce, ale gorsi daleko magnaci kraju, pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa Boskie i ludzkie gotowi byli podeptać; zabójstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich wazone, a takimi drogami idąc, stali się potem nieszczęśliwymi, bo szczęśliwymi być nie umieli. Poddanego wieśniaka równo z bydłciem kładli, mieszczanina w ostatniej pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica, tylko dlatego, że ubogi, upodlili, — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy, „upadam do nóg“, „caluje nogi pańskie“, „niegodny podnózek“ i tym podobne i może nieznanne w całej Europie, które wydając wyniosłej kiedyś duszy Polaka poniżenie, z upodleniem nawet ojczyznę utraciliśmy naszą.

Ale z tego powszechnego magnatów zepsucia wyjąć potrzeba niektórych wartych lepszego wieku narodu, takim był znany ze wszech miar August książę Czartoryski, wojewoda ruski, po którego wkrótce nastąpionej śmierci, dobrze Sztakelberg, poseł rosyjski, powiedział, że po zgonie Czartoryskiego nie ma teraz przed kim w Warszawie zdjąć kapelusza. Takim był zięć jego Lubomirski, marszałek w. k., takim syn Adam Czartoryski, g. z. p.; Stanisław Małachowski, referendarz kor.; Ignacy Potocki, marsz lit.; Czapski, wojewoda chełmiński; Radziwiłł, kasztelan wileński, i kilku innych. Reszta magnatów podobni do księcia Ponińskiego, podskarbiego koronnego, nietylko ojczyznę, ale i siebie samych przedawali więcęj dającemu.

Księża po większej części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony, a naczelnicy ich, biskupi, publicznie trzymając nałożnice, ośmielałi niższych, ażeby szli takąż samą, słodką wprawdzie, ale najbrudniejszą drogą. Wyjąć wszelako z pomiędzy liczby ich należy: Szembeka, połockiego; Okęckiego, poznańskiego; Cieciszewskiego, kijowskiego i ze dwóch może jeszcze biskupów, którzy ani do zgorszenia owieczek sobie powierzonych, ani do zguby i frymarków na ojczyznę swoją nie przyczynili się.

Szlachta po województwach, na zawołanie magnatów przedażna, wszystko, czego tylko ci żądać mogli, robiła. Ztąd sejmiki i sejmy według układów pańskich odbywały się, i ten, który ustawicznie i upadał do nóg, i całował nogi pańskie, nie miał czasu i serca do usłużenia nieszczęśliwej ojczyźnie swojej.

Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy samego pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawiedliwości, i chociaż król wszelkimi sposobami przeszkadzał, bo zapomniał myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojej, ale tylko o poprawienie losu swojego ubiegał się, i ta miłość dobra własnego, sposób nawet myślenia w kraju naszym odmieniła, że ten, który najwięcej ludzi oszukał, pospolicie o nim mówiono: „ma rozum.“ Wyjechaliśmy na kadencją trybunalską do Grodna z Warszawy z dworem księcia ogromnym, którym pocziwy marszałek Borzęcki rządził. Ale książe przed wyjazdem naszym do Litwy, pokojowców 12 z samej pięknej szlacheckiej młodzieży pod rząd mój oddał, dawszy mi razem urząd sekretarza interesów politycznych, kiedy kolega mój, Zawistowski, był sekretarzem interesów ekonomicznych, a trzeci, Skowroński, zagranicznych.

Wjazd do Grodna i rozpoczęcie wkrótce trybunału litewskiego, którego był marszałkiem książe, był

najokazalszy, a gości liczbę niezmierną niezabawem powiększył bytnością swoją Archetti, nuncyusz apostołski z Warszawy, umyślnie przybyły. Ale nie tem okazałość laski Czartoryskiego słyneła: prócz tego, że był kochanym i szanowanym od obywateli, jako mający w sobie krew dawnych litewskich Jagiellonów, słyneł on sprawiedliwością najprzykładniejszą. Ojciec księcia, wojewoda ruski, przegrał sprawę pod laską syna, i na 6 niedziel więzy cywilnej dekretowany, za co wkrótce ojciec mu napisał list najpiękniejszy, dziękując za tę sprawiedliwość, która chwałą obydwoh będzie; przegrał sprawę kanclerz litewski, Sapieha, przyjaciel księcia i ten tak wysoki magnat za uciemienie trzech szlachty ubogiej na niedziel 18 więzy skazany. Tyzenhauz, niedawno despotycznie Litwą rządzący, za wiele gwałtów dekretem upokorzony, upadł i już nigdy powstać nie mógł. W czasie tej laski w Grodnie, następujące wiersze napisałem... na wjazd księcia Czartoryskiego na trybunał: „O wielkości Boga i nikczemności człowieka,“ które jeszcze w manuskrypcie księciu pokazane, bardzo się mu podobały, ale przypisanie ich królowi niemiłem było, bo go nie lubił, dał mi to sam poznać. Wszelako ja w kilka niedziel kazałem z przypisaniem razem królowi wydrukować, co mi zaraz przywiązanie księcia osłabiło. Napisałem prócz tego: „Głos zabitego do sądu,“ z okoliczności sprawy w trybunale będącej, Kaszyca, który zabił synowca swego. Te wiersze na namowie siedzącym sędziom przez Kossakowskiego, deputata kowieńskiego, oddałem, i skutek swój miały; kiedy przekupiwszy większą połowę trybunału, Kaszyc prawie był pewny uwolnienia od więzy, przestrzeżony od przychylnych sobie z Grodna, uciekać musiał winowajca, gdyż na niego ułożona była kaptiwacya — i wiersze prócz wyższych okoliczności z czasów Czarnieckiego, które książę wielu fircykom często czytywał, wykwintnie ubraanych, upokarzał. — Podczas tej kadencyi sądeni

byli na gardło dwóch szlachty, którzy napadłszy w lesie obywatela, w nadziei zastania u niego pieniędzy (na czem się oszukali), zabili go. Jeden z tych winowajców zmierzwiwszy do obywatela, na panewce mu tylko pistolet spalił, ale drugi wystrzelił i zabił, wszelako obydwu na ścięcie głowy przez kata dekretowani! kiedy ich zawołano do słuchania na siebie dekretu, żal nam było jednego z tych winowajców, młodego człowieka, pięknego z oblicza, a był ten, który nie zabił, ksiązę żalując także tego młodego człowieka, umówił się z deputatami, że odmienili wyrok na niego i tylko więzieniem do śmierci w Kamieńcu podolskim, chcieli nie żeby tam zamknięty w katuszy siedział, ale tylko za bramy fortecy nie wychodził; ksiązę zaś przyjął na siebie odziewać go i żywić do śmierci najwygodniej. Nazajutrz posłał mnie ksiązę do więzienia winowajców, ażebym jednemu z nich opowiedział litość księcia nad nim i trybunału; zdziwiłem się, że żadnym sposobem namówić się na to nie dał, ażeby się przy życiu utrzymał, skutek to był pewnie religii, bo już był przygotowany przez księży na śmierć i na wszystkie moje przekonywania go, zawsze mi jedno odpowiadał: ja grzechy moje we krwi mojej obmyję; drugi zaś winowajca ciekawie mnie wypytywał: „czy też o mnie co także ksiązę nie wspominał,“ i widać było, że gorąco życia swego pragnął. W dniu naznaczonym, kiedy ich na plac śmierci prowadzono, ten pełen religii winowajca nie szedł, ale biegł do śmierci, że kat aż go musiał zatrzymywać i prosił, żeby pierwszej przed swoim towarzyszem był ścięty, co się i stało

Między inszymi, z którymi się w Grodnie zaprzyjaźniłem, był Zalewski, wojski litewski, człowiek najwymowniejszy w Litwie; drugi był Karol Prozor, wojewodzie witebski, a tego charakter serca najlepszy i przywiązanie do swojej ojczyzny, o nim niżej jeszcze nadmienię się.

Po dziesięciu leciech naród cały na drugą kadencją trybunalską przeniósł się do Wilna, która zaczęta z największą i powszechną wesołością, ku końcowi smutniejszą była, z przyczyny śmierci księcia wojewody ruskiego, ojca księcia marszałka.

Nie widziałem syna czulszego na śmierć ojca, jak był księżę, rzewnie, niczem niepokieszony, kilka dni płakał; kobiety nawet, które lubił, pocieszyć go niemogły, bo z niemi i gadać nie chciał. Tak w przywiązaniu do ojca skłonność mocniejsza była nad podniety natury samej. Kiedy on mnie posłał z doniesieniem tej smutnej nowiny podług etykiety do znaczniejszych w Wilnie w ten czas mieszkających, przyjechałem do domu pięknej i młodej pani, z domu Radziwiłłówniej, a tę zastawszy z odkrytymi zupełnie pierściami, które zasłonić, zobaczywszy mnie, nie chciała, smutny do niej od księcia zacząwszy komplement, roztargniony pięknemi pierściami, skończyć go nie umiałem; tak to znowu żal cudzy nie miał tyle siły, ażeby się oparł wzruszeniu piękności obaczonej. Tą kadencją, prócz surowej sprawiedliwości, wszędzie zwyczajnej księciu, wsławił się wzięciem w areszt księdza złoczyńcę Ogonowskiego. Był ten zbrodniarz urzędnikiem województwa wileńskiego, koniuszym, miał żonę i dzieci, po której śmierci, bardziej się jeszcze się wylał na kryminały, kradł, rozbijał, oszukiwał, aż wreszcie do sądów szlacheckich pozwany, na śmierć przez kata osądzonym został. Uciekł z więzienia kilką dniami przed egzekucją, za biskupa wileńskiego wdaniem się przez biskupa żmudzkiego na księdza w kilku dniach poświęconym został, bez żadnych poprzedzonych zwyczajnych do stanu tego przygotowań. Zdało się Ogonowskiemu, że jako kapłan, wolnym już będzie od miecza katowskiego, na który był dekretowanym, ale księżę na kadencji wileńskiej złoczyńcę łapać kazał, i dowiedziawszy się, że w Wilnie na Antokolu u Trynitarzy skrycie siedzi, klasztor kilkuset żołnierzom opasać kazał, nikogo nie wypu-

szczając, że wreszcie Ogonowski tamże dostany, pod areszt do pałacu księcia sprowadzony był. Nazajutrz sprawę jego przez trybunał rozważono i sędziowie wszyscy zgodzili się, żeby według dawnego wyjątku na niego dekretu wileńskiego, przez kata śmierć poniósł.

Kiedy tak trybunał umówił się, po obiedzie dwóch sufraganów od biskupa wileńskiego do pałacu księcia przyszedli i imieniem biskupa swego oświadczyli księciu, że ponieważ aresztowany Ogonowski jest istotnie kapłanem, a zatem zwierzchność świecka niema żadnego prawa z nim postępowania dalej, i jeżeli wydanym swojemu biskupowi nie będzie, klątwą księciu i trybunałowi pogrozili.

Księżę sufraganom krótko odpowiedział: że klątwa Ogonowskiemu życia nie powróci, kiedy jutro na śmierć dekretowanym będzie; ale nazajutrz znaleźliśmy księcia odmienionego, bojąc się, ażeby król, nie lubiący go i od niego więcej jeszcze nielubiony, zniósłszy się z księżą, jeżeliby ta egzekucya do skutku przyszła, nie narobił mu kłopotu i kosztów wiele, namyślił się odesłać tę sprawę do Warszawy, jakoż wkrótce biskup łucki, Turski, i kilku z nim księży assessorów do tej sprawy naznaczonych, przybyli z Warszawy i Ogonowski na więzienie tylko do śmierci u Kartuzów w Berezie osądzony; ale jeżeli on z Wilna wyjechał, kazał mu trybunał złożyć stan majątku swojego, z któregooby przez niego pokrzywdzeni zaspokojonymi być mogli.

Zdziwiono się, kiedy pokazał skrypt księcia Massalskiego biskupa wileńskiego, który takim sposobem i obrotem ten zbrodniarz u siebie zatrzymał: po ucieczce z więzienia (jak się wyżej rzekło) przybiegł do biskupa wileńskiego, ażeby go na księdza poświęcił, — kiedy już inszego sposobu ratowania życia nie było, a za to obiecał biskupowi wrócić skrypt na 160,000 złt. pożyczonych u Ogonowskiego, i tenże skrypt oryginalny biskupowi pokazał

i zaraz go w zanadrze schował; dał się uwieść biskup, obiecując mu pewnie wyświęcić go na księdza, a Ogonowski, mając drugi podobno zwiniony i z wierzchu zapisany papier już na to przygotowany, dobył z zanadru papier fałszywy, i w oczach biskupa na palący się ogień w kominie rzucił, a skrypt prawdziwy schowany, potem przed sądem złożył.

W czasie tej kadencyi na dzień urodzin księcia Czartoryskiego „o powinnościach obywatela,“ napisane odemnie do niego wiersze, zjednały mi łaskę jego, ze mną nie już jak ze swoim sekretarzem, ale jak z przyjacielem najpoufalej postępował, w najlichnieszych u siebie zgromadzeniach najgrzeczniej ze mną rozmawiając, co zaraz (jak pospolicie bywa) i przytomnych grzeczność dla mnie obudziło, że kiedy odemnie ksiązę odstąpił, wnet pierwsi obywatele ze mną bawić się chcieli.

Niedługo jednak ta moja trwała uroczystość; przyszła z Warszawy mowa drukowana, którą król miał na rozpoczęciu towarzystwa ksiąg elementarnych. Ja późno przyszedłem na pokoje, że ta już mowa czytana była, i przytomni za zdaniem o niej księcia, że była najgorszą, wszyscy ją najgorszą uznali. Wchodzącego mnie do pokoju ksiązę okrzyknął: „Otóż sędzia przyzwoity: patrz, jaką to mowę król miał do towarzystwa!“ Kiedy mowę tę przeczytałem, spytany od księcia, coby mi się zdawało, odpowiedziałem (jak mi się zdało), że była dobrą. Ksiązę się odwrócił, a faworyt księcia, sekretarz Skowroński, przybiegł do mnie i rzecze: „Bój się Boga, ksiązę i my wszyscy już tę mowę ganiliśmy, a ty ją chwaliisz?“ Odpowiedziałem mu, że ja lubię mówić jak myślę. To zdarzenie oziębilo do mnie księcia, który już ze mną tak poufale, jak dawniej, nie przedstawiał i wszyscy też mnie porzucili, że ledwie słowo kto do mnie przemówić chciał. Tak w duszy mojej żalowałem księcia, że będąc ze wszech miar cnotliwym, lubił wszelako, ażeby mu pochlebiano, ale nie

żałowałem siebie, że chociaż prawdą idąc na świecie, jak mnie konający ojciec przestrzegał, nie poprawiłem losu mojego, przynajmniej spokojności mojej wewnętrznej nie zamieszałem.

Między wielu obywatelami litewskimi, z którymi w Wilnie poznałem się, był: pan starosta wileński, człowiek ze wszechmiar zacny, którego nigdy niczem nieprzełamanej cnotcie winienem to wspomnienie, ale poznałem tam i kolegę w sztuce poezyi, księcia koniuszego litewskiego Radziwiłła, który mnie marnemi wierszami swojemi nietylko w Wilnie najczęściej nudził, ale po 2 latach rozstania się naszego swoich wierszy mnóstwo aż do Galicyi, gdzie już mieszkałem o 130 mil od niego, przysłał i za każdym razem wydatku na pocztę po kilkanaście złotych przyczyną był.

Skończyła się nakoniec kadencya wileńska i książe pierwej, a potem my, dwór, powracając do Warszawy i przez Litwę jadąc, poznałem się z tobą, najcnotliwszy człowiecze, Janie Stryjeński, szefie byleż gwardyi konnej litewskiej; on powierzchownie nie pokazuje tej cnoty, której pełen, bo ją pokrył farbą zwyczajną świata, ażeby go tak nie uważano, majątny a skromny, niby groźny, a litośny, nieżalujący potrzebnego wydatku, nierozrzutny, robiący wiele dobrego, nigdy o tem nie mówiący, oto twój obraz, zacny mój przyjacielu.

Na sławę cnot tego człowieka starałem się z nim poznać i umyślnie w domu jego do Czarnołuz w Brzeskiem przyjechałem, gdzie najlepiej przyjęty, kilka kilka dni bawiąc się, znalazłem więcej, niż o nim powiadano dobrego, bo tego umyślnie szukałem. W domu tym bawiąc, jedna obywatelka z przytomnych gości, rozśmieszyła nas przesadnem gadaniem swoim; z tej okoliczności szef Stryjeński powiedział mi o przesadnem tłumaczeniu się w sąsiedztwie jego przed 10-ciu latami zdarzoną anegdotę następującą: Obywatelka Rdultowska, wdowa, prosila rektora

szkół słonimskich, ażeby jej kogo zdatnego do edukacyi dzieci w domu na dyrektora przysłał. W kilka niedziel przychodzi w czasie obiadu wysmukły, nieźle ubrany młodzieniec, pani domu, nie znając go, prosiła, ażeby zjadł obiad; odpowiedział: „jadłszy;“ prosi, ażeby kieliszek wina wypił, odpowiedział: „piwszy;“ prosi nakoniec, ażeby usiadł, odpowiedział „siedziawszy;“ przychodzi jej na pamięć, czy to nie będzie ów dyrektor ze Słonima, szkolarz, kiedy go jeszcze zapyta, czy nie ze Słonima przyjechał waćpan? Tak jest, przysłał mnie tu ksiądz rektor słonimski, ażebym się z jejmością postanowił na dzieci.

Powróciwszy do Warszawy, wydałem pismo o wymowie w prozie albo w wierszu, które królowi i bratu jego prymasowi tak podobało się, że przysłali do mnie Gwintofta, sekretarza komisji edukacyi, ażebym według prawideł, w temże mojem piśmie wyrażonych, napisał książkę prelekcyi na wymowę dla szkół narodowych; przyjąłem z ukontentowaniem pochlebne to dla mnie poselstwo, kiedy razem za pracę, którą miałem pisząc to dzieło podjąć, ofiarowano mi 300 dukatów. Ale po kilku dniach ksiądz Grzegorz Piramowicz, członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił mnie, ażebym odstąpił pisania o wymowie, gdyż on od kilku lat, zbierając rzeczy, przydatne do dzieła o wymowie, już zaczął pisać tę książkę dla szkół narodowych. Odstąpiłem niechętny mego do tej pracy wezwania, kiedy i insi za nim do mnie interesowali się. Czekano wydania książki Piramowicza więcej dwóch lat, a potem wyszła w samych cytacyach autorów, jak dawnych, tak i późniejszych, bez wytknięcia w niej uczącym się, jak mają poznać piękność wymowy, pokazać ją uczniom, w których ona wyrazach wydaje się najbardziej, te i tym podobne pożyteczne wyluszczenia opuściwszy, na książkę elementarną dosyć była duża. Przysłał mi ją autor z listem swoim, któremu odpisałem, żeby mi da-

rował myśl moją, że wieleby jeszcze do jego książki przyczynić należało, ażeby była krótsza.

Książę oddał mi do zawiadywania bibliotekę swoją sławną w Warszawie, a mając pod rządem swoim 12 pokojowców, z nimi we dwóch tygodniach skończyłem ułożenie jej, porządkiem najlepszym, z napisaniem katalogu tych książek porządnego, ale według pokazanego mi dawnego katalogu, wiele książek nie dostawało, najbardziej środkowych tomów Voltera, Roussa, encyklopedyi, co kiedy książę odemnie usłyszał, sekretarza Skowrońskiego sfukał publicznie, a ten faworyt pański, urażony na mnie, gdy książę wyszedł, rzecze mi ostro: „Nie wszystko to, kochaneczku, przed panem na nogi stawiać.“ Jam go publicznie z tym wyrazem „kochaneczku“ do lokajów odprawił, z którymi te konfidencye mieć może, a ja takich jak on, nigdy nie będę „kochaneczkiem.“ To moje ostre obejście się z faworytem przyczyną było, że i książę za jego poszeptaniem ostygł pomалу dla mnie, i tak ja powiedziawszy, że Skowroński książki potracił, straciłem łaskę księcia, a Skowroński, że je w samej rzeczy potracił, został się przy niej i poznałem to wkrótce, że mnie się zbyć chciano, gdy raz mi książę powiedział: „Kiedy powrócisz do swojej Galicyi, cóż tam będziesz o Warszawie i domu moim gadał?“ — Będę gadał, że książę niema żony. Jakto, odezwie się książę? Oto (odpowiedziałem) więcej roku bawię w domu księcia, zdaleka mi tylko pokazywano i powiadano mi, że to księżna, ale ani u stołu nigdy nie była, ani ze mną, ani z nikim z naszych gadającej jej nie widziałem.

Nazajutrz pokazała się na sali księżna i z pół godziny ze mną rozmawiała; winszowano mi tej łaski, kiedy ta pani, pełna rozumu, znajomości świata i wielkich talentów muzyki, śpiewania, w tym czasie nie chciała się ludziom udzielać i w osobności największej żyła po śmierci okropnej, Teresy, córki swojej. W tym roku książę obranym był (jak chciał)

posłem z wileńskiego na sejm, gdzie jak prawdziwy obywatel stanął między posłami; dany raz był u księcia wielki obiad dla wszystkich senatorów i posłów litewskich, na których poznałem pierwszy raz księcia wojewodę litewskiego Radziwilla; pan ten przyjacielem był prawdziwym narodu i szlachty, a nie magnatów, o których wiedział, że za pieniądze rosyjskie kupieni, wszystko przeciw ojczyźnie zrobić byli gotowi. Dobrze on zawsze trzymał o Czartoryskim, dlatego na ten obiad w tłumie innych Litwinów przyjechał. Czyniono mu pierwsze honory jako pierwszemu senatorowi litewskiemu, o co on zdawał się nie dbać, i kiedy po obiedzie księżna na pokoje z nim przyszła i razem dam wielki orszak, kędy obaczywszy go kobiety, księżna go zapytała: Jak też wiele rzeczy kosztownych i ciekawych mógł wywieźć z zagranicy, tak długo tam bawiąc się? Krótko odpowiedział: „Wywiozłem z zagranicy klejnoty, od których ledwie mnie tu felczery uwolnili.“ Zaraz go damy wszystkie poporzuciły, a mężczyźni otoczywszy go, bawili go jak mogli. Lubił on niezmiernie zmyślać, powiadał nawet wtenczas, że koresponduje z Rusem i Wolterem, i kiedyśmy mu powiedzieli, że już oni dawno pomarli, odpowiedział: Zapewne listy na poczcie zaległy, bo kilka ich świeżo odebrałem. Mimo tej wady małej zmyślenia, gdyby ten pan miał tyle rozumu, ile serca, najlepszego w każdym zdarzeniu, możebyś, ojczyzno moja, nie była upadła. On prawdziwie zapomniawszy o zdrowiu i majątku swoim, robił wszystko, jakby nieszczęśliwą ojczyznę poratował, naraził dobra i bogate domy swoje na rabunki, był długo tulaczem za granicą, jako i dawniej w czasie konfederacyi barskiej, nie dla pychy jakiej, nie kontent wtenczas z króla Poniatowskiego, ale dla bojaźni wpływu przyszłego (jak się z czasem i potwierdziło) rosyjskiego; nie tak myślał kasztelan natenczas, a teraz wojewoda wileński, Michał Radziwiłł, który cały rosyjskie pensye biorąc od nich, im

wiernie służył i do upadku ojczyzny przyczynił się. Chociaż w niewinnych rzeczach wojewoda wileński zmyślać lubił, ale oddawał sprawiedliwość każdemu, prawdziwą drogą idącemu; i tak, kiedy ksiązę, marszałek trybunału lit. Czartoryski, poksiężonego Ogonowskiego złapał i więził, biskup wileński, rozgniewawszy się o to, wyjechał z Wilna, i w Nieświeżu u księcia Radziwiłła bawił natenczas, kiedy na święty Karol, w dzień imienin księcia, przyjechał od Czartoryskiego dworzanin z winszującym listem także do Nieświeża, publicznie u stołu dawał pochwały Radziwiłł Czartoryskiemu z najprzykładniejszej pod laską jego sprawiedliwości. Nie mógł znieść tych pochwał Masalski, biskup, jako nieprzyjaciel Czartoryskiego, i rzecze: „Jakaż to sprawiedliwość, pomazańca Bożego gwałtownie i bezprawnie chwycić i więzić?” Radziwiłł na to: „Jabym i biskupa powiesił, gdyby był takim złodziejem, jak Ogonowski.“

W tym czasie bawienia u Czartoryskiego, poznałem się lepiej z Książninem, który dawniej był sekretarzem u księcia, a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale czy to szkolnej przysady pełne, nie wszystkim podobać się mogły; poprzyjaźniwszy się z tym poczciwym człowiekiem, radziłem mu, ażeby więcej prostej a tkliwej natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą; bo co tylko dawniej przed Rzymianami Grecy, albo za starych Rzymian tkliwy Wirgili albo Horacyusz napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał rady mojej Książnin i tym sposobem napisał: „Żale Orfeusza nad Eurydyką,“ które wiersze między dziełami jego, z druku wyszłemi, zapewne na czele położyć można.

Bywał często w domu ksiąząt Józef Szymanowski, którego powszechny szacunek w Warszawie z życia cnotliwego pięknych jego poezyj, zwłaszcza kościół Wenery w Knidos i mnie z nim poprzyjaźnił

Nikt nadto nie pochwalił grzeczności jego dla wszystkich i w zepsutej Warszawie obyczajów jego nieskazanych.

Nie samą moją prawdą powiedzianą czasem narażenie się księżęciu Czartoryskiemu, ale cichego nieprzyjaciela mego w tym domu Skowrońskiego podżegania, osłabiły przywiązanie tego pana do mnie; raz mi on oświadczył, że księżę wojewoda wołyński, Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszeć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim do śmierci chciałem. Wszelako widząc, że on dwór swój i mnie też między innymi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkim, który, chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował pensję, a po skończonym 4-roletnim wojażu wieś na Wołyniu, do ośmiu tysięcy intraty czyniącą, dożywociem zapisywał, żał mnie objął, że stracę ulubionego pana, księcia Czartoryskiego i odmówiłem Sanguszkowi.

Księżę Czartoryski zdawał się być kontent, kiedy mu żal mój i przywiązanie do niego opowiadałem, które nad zyski największe dla mnie przekładałem. Ale w kilka niedziel znowu potem księżę proponuje mi drugie miejsce u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego, i przynajmniej prosi, ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowej marsz. lit. pojechał. Jużem wyraźniej zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał, ale serce moje, które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od rozumu. Gdym się obaczył z starą Sanguszkową, z tą kobietą, którą w Warszawie dziekanową pań nazywano i która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszem każdym w domu przyjęciem przodkowała, kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach tak powie: to dziecię sierotą, bez ojca, matka jego nie wiele o niego dbająca, jeżeli go pod dozór swój nie weźmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę. Wzruszony łzami tej najznacniejszej pani, przyjąłem obowiązek

zatrudnienia się, formowaniem serca i dozorem nad edukacją Romana Sanguszki, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całej Warszawie chłopca, przy znacznej pensji rocznej, a po 9-ciu leciech wsi do 10-ciu tysięcy czyniącej dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana rzeczy moje wyprowadziwszy do starej Sanguszkowej pałacu, chcąc pożegnać księcia, w pokoju go nie zastawszy, że był u księżnej żony na kawie, chociaż tam nigdy nikt z nas do niej nie wchodził, ja jednakże jako już nie obowiązany do uważania układow dworu tego, i księżną jeszcze leżącą, a księcia przy niej kawę pijącego znalazłem i dziękując mu za chleb, który w domu jego półtora roku jadłem, na końcu rozplakawszy się, powiedziałem: „Nie tylko uczynkiem, ale myślą nawet nie zgrzeszyłem przeciwko w. ks. mości, wszelako mnie z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojej śmierci żyć chciałem.“ Rzucił się książę do mnie i z uczuciem rzecze: „Toż się u mnie zostań, z całego serca proszę.“ Odpowiedziałem, że dałem już słowo Sanguszkowej i zaplakany wyszedłem.

Po tygodniu przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i z ojczymem księciem, Kazimierzem Sapieha, generałem lit.; król sam na ręku tego pięknego chłopca trzymając, oddawał mi go w domu Sanguszkowej i wkrótce potem przeprowadziliśmy się do konwiktu warszawskiego księży Pijarów, gdzie z innymi kawalerami pod rektorstwem najzacniejszego księdza Stadnickiego brał lekcyje swoje, a jam tylko obyczajów swoich i jego doglądał; po kilku dniach bawienia mojego u Pijarów musiałem pokochać się i przywiązać się do śmierci, do samego Rektora Stadnickiego, kiedy on w tych kilku dniach tak mi zaufał, że mi się najotwarciej zwierzył w najtajemniejszych serca skrytościach.

Zdziwiłem się na tak pochlebne dla mnie zaufanie i tak przywiązałem się do niego, że nic nie

mogło potem rozerwać związków naszych. Wszelako nie byłem ja tak otwartym dla przyjaciela, jakem go dla siebie widział, bo uważając często, że najtajemniejsze rzeczy na kogoś głośno powiedział, bałem się powierzać mu wiele moich sekretów, ażeby, to co tajne być powinno, rozgniewany kiedy nie rozgłosił; wyjeżdżając z Warszawy, nigdy się z nim nie żegnałem, bo raz przy pożegnaniu myśl mi przyszła okropna, że jego już może nie zobaczę, rzewnie rozplakałem się, widząc, że i on płacze, powiedziałem mu łez moich przyczynę, na co on rozrzewniony rzecze: „Wiaśnie toż samo i mnie na myśli.“ Już zawsze potem, kiedy mi wyjeżdżać przyszło, o czem inszem z nim i z drugimi rozmawiając, nieznacznie wyszedłem i odjeżdżał. Znowu po powrocie i obaczeniu się z nim łzy zawsze były radośne i rzecz dziwna, jak to był w swoim przywiązaniu człowiek najżywszy, kiedy czasem z drogi jakiej powróciwszy, ucałowany od niego ze łzami, po godzinie bawienia się z nim, znowu mnie na nowo ścisnął i całował; był to ksiądz dobrego urodzenia i najlepszego sposobu myślenia. Dom jego zacny w Krakowskiem i Sandomierskiem, dawał tyle najlepszych posłów na sejmy i obywatelów w narodzie, król z prymasem chcieli mego Stadnickiego zrobić biskupem, ale on śmiało odpowiedział: że przysiągł Bogu być Pijarem do śmierci; zostając Pijarem, majątek swój więcej dwumilionowy synowcom swoim rozdał, a jednemu z nich znacznie więcej oddawszy, przyłączył obowiązek, ażeby mu na rok 60 dukatów na małe potrzeby do śmierci dawał, i skarżył mi się ksiądz Stadnicki, że tylko niewdzięczny kilka lat mu wypłacał, a kilkanaście już nic mu nie daje, lecz miałże wstydzić siebie pozwami niewdzięcznego synowca? Z księciem Romanem trzy razy na tydzień u księżnej, babuni jego, na obiadach być musieliśmy, i rozruchy przez trzy dni najludniejszego w Warszawie domu tego wybijały dziecięciu z głowy, czego się trochę

nauczyć mógł przez cztery; ciężko zaś było uprosić u księżnej zmniejszenia bawienia się u niej dla przywiązania wielkiego, które miała do dziecięcia. Król na obiadach u niej bywając często i mnie tam z dzieckiem zastawał. Raz na świętą Barbarę w dzień imienin starej księżnej, Romano na powinszowanie cztery wiersze babuni powiedział:

„Wtenczas, kiedy będę stary,
Babuniu w święto Barbary,
Powiem ci, wyszło na moje,
Otóż my starzy oboje.“

Król przytomny wziął go na ręce i jeszcze sobie też same wiersze powtarzać kazał; ta powszechna miłość wszystkich dla dziecięcia tego, to pieszczenie babki i matki, te niższych ludzi dla niego względy, nazywanie go powszechnie księciem, a podlejszych go nawet w ręce całowanie, do tego nadawszy mu rzeczy księżna wiele bogatych, jako to: zegarków dwa kameryzowanych i pierścionków drogich kilka, zepsuli tak dobre dziecię, że w konwikcie nie widząc u innych dzieci, których było 85, nic podobnego, zaczął się w pychę podnosić i raz mi powiedział, że między kolegami jeden był mu równy ksiązę Jabłonowski; napróżno mu o równości obywatelskiej w Polsce gadałem, na nic się nawet nie przydało, że powiedziawszy babce o jego pysze, która mu te zegarki podbierała. Kiedy potem w krótkim czasie w dniu rekreacyi i do jego pokoju na bawienie się po kilka dzieci równego z nim wieku przychodziło, on tych wszystkich swoich kolegów, to lokajami, to furmanami nazywał, a inszych kolegów swoich, chcąc niby uczcić, dworzanami swoimi robił.

Kiedy nic nie pomogło po kilka razy strofowanie, oto i sposobu inszego nie było, umówiłem się z prefektem konwiktu, ażeby, kiedy Romancia poszłą

umyślnie w dniu rekreacji do sal niższych, dla bawienia się razem z inszemi dziećmi, żeby go namówionych kilku chłopców, jak będzie sobie tony dawał, byle nieszkodliwie, wybili. Stało się wkrótce i przybiega do mnie na górę rozplakany Romancio, pokazując czerwone plamy po szyi i po rękę, skarżąc się, że go okrutny (jak mówił) Jałowicki tak wybil; spytany, za cóż to wybil? odpowiedział mi, że mu żartem dał szcztka; wtenczas dopiero napominać go zacząłem: „Widzisz, Romańciu, więcej jest szlachty w Polsce niż książąt, otóż cię szlachta za pogardę swoją wybili, szanuj ich, a będziesz od nich szanowny.“ Odtąd z najlepszą zgodą i uszanowaniem dla kolegów swoich był zawsze i tem też bardziej do niego przywiązałem się, że mi nawet toż przywiązanie szkodliwem było.

Raz z jakiejś niestrawności, czy inszej przyczyny, rozchorował się; doktor Zanieli, rocznie płatny od babki dla niego, przyszedłszy, znalazł w nim małą jakąś gorączkę i lekarstwo przysłał. Nazajutrz znalazł doktor dziecię lepiej się mające, i kiedym go zapytał, co jeść może, rosół i zraz pieczeni cielęcej pozwolił; kiedy tę porcyą dziecię podczas obiadu zjadło, prosi mnie o drugi taki kawałek pieczeni, dałem mu co chciał, aliści ku wieczorowi daleko bardziej rozchorował się, sprowadzony znowu doktor, chociaż przyczynę słabości niekoniecznie na drugi kawałek mięsa dziecięciu odemnie pozwolony, zwał, i niebezpieczeństwa żadnego nie widział, przecież ja gorzko sobie wymawiałem, że może Romańcia mojem mu pozwoleniem jedzenia więcej jak kazano, zgubię. Dziecię nazajutrz zupełnie zdrowe było, a ja kilka dni chorowałem, tak mnie osłabiło zmartwienie moje. Do tej szkodliwej dla mnie słabości przyczynił się jeszcze niesmak niewoli, żem to miejsce przy Romańciu po roku skończonym porzucić zamyslił. Nie miałem dla siebie godziny wolnej, tylko wtenczas, kiedy dziecię dwie godziny z rana i po południu ba-

włto z inszemi na wspólnych lekcyach w salonach, a niechcąc nigdy z nikim zostawić go przez bojaźń, ażeby go kto nie zepsuł, tak ustawicznie, będąc niepokojnym, może aż nadto w doglądaniu mojej powinności, zacząłem nawet niszczyć.

Po skończonym roku, mimo największego nalegania babki, matki i króla, ratując zdrowie swoje, porzucilem Romańcia; wspólnie z dzieckiem płakaliśmy, a on mnie ściskając za szyję, przy pożegnaniu mówił: „Oj będąż mnie teraz Pijarowie bili, jak drugich, oj będą.“ Żal mój wszelako z opuszczenia tego dziecięcia nie był tak mocny, ażebym przelał wstręt od tej niewolnicy, a nad wszystkie inne najwięcej po człowieku wymagającej funkcji guwernera, kiedy po kilku leciech znowu w toż samo nieszczęście wpadłem. W czasie bawienia przy Romańciu proszony byłem od księcia Czartoryskiego, ażebym z temże dzieckiem, bardzo lubionem od księcia, bywał w domu jego i żeby wcześniej Romańcio przywiązywał się do dziecka także, księżniczki Zofii Czartoryskiej, którą, jak mówił książę, na żonę mu naznacza; przyjechawszy do pałacu Czartoryskiego, Romańcia zostawiłem w pokojach księżniczki Zofii, pod dozorem jej guwernantki madame Petite, a ja tymczasem chodziłem do księżniczki starszej, z którą dla wprowadzenia jej w język polski, tłómaczyłem książkę: „Ogrody,“ przez L'Abbé Delille napisaną. Dwa razy na tydzień dawałem księżniczce Zofii prawidła pięknego pisania w języku polskim; to było powodem, żem z tą najzacniejszą panną tłómaczył na język polski poema Delilla o Ogrodach, w którym wytłómaczywszy prozą, co było uczące prawideł ogrodowych, co w nim poetycznego znalazłem, oddałem potem wierszem polskim. Raz powracając od księżniczki starszej do pokojów guwernantki, aż ta powiada mi śmieszne zdarzenie, jak zastawszy dziecko księżniczkę leżącą twarzą do pościeli, z tyłu obnażoną, a Romańcia dającego jej niby enemę; tak

jak małpy, dzieci co widziały, naśladować lubią i chłopiec z dziewczyną tak postępować chciał jak niedawno doktor z nim sprawił się.

Przy Romańciu będąc proszony od księcia prymasa, prezydenta na ten czas komisji edukacyjnej, napisałem mowę na rocznicę zwycięstwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem, którą potem w zgromadzeniu wielu gości, gdzie był i sam prymas, w konwiktie pijarskim czytałem. Przed wyjazdem z Warszawy byłem na pożegnaniu u księcia Czartoryskiego, który chociaż był przekonany, że do niego byłem przywiązany i w domu jego swobodniej, jak przy Romańciu, żyłbym zapewne chętniej, wszelako, aby mię zatrzymać, nic mi nie mówił.

Przed wyjazdem z Warszawy byłem u księżnej Sanguszkowej starej na pożegnaniu, która mimo mego oddalenia się od jej wnuka, zawsze mię lubiła; bawiła wtenczas w Szymanowie, dobrach swoich pod Warszawą. Tam między osobliwościami w gabinecie ciekawości pokazywała mi bałwanek, czyli bożyszcze chińskie z kilką rękami, miedziane i wewnątrz dęte, gdzie w nich były i pisma chińskie (podobno ich modlitwy) chowane; tej osobliwości dostała od generała rosyjskiego, który wojując z Chińczykami, dostał od nich tego bałwanka, ale razem tenże generał wziął tam od nieprzyjaciół i chłopca Chińczyka, którego potem razem z tym bałwankiem księżnej darował przed 20-stu latami. Chłopiec ten z czasem ożenił się z praczką księżnej; był u niej leśniczym blizkiego lasu Szymanowa, kazała go na prośbę moją zawołać, i poznałem z twarzy jego podługowatej, nosa wklęsłego i ócz wąsko pod powiekami otworzonych, że mógł być Chińczykiem; bądź teraz waćpan pewien (rzecze mi księżna), bo i mnie generał rosyjski zapewnił, że ten Chińczyk jest z rodziny cesarzów tamtejszych, chłopcem będący w obozie swoim od Rosyanów w niewolę zabrany, i nie masz nic niepodobnego, że to

w samej rzeczy być mogło, bo przy panującym wielożeństwie w Chinach, familia cesarska tak jest rozrodzona, że jej kilkanaście tysięcy liczyć można.

Wyjechałem nakoniec z Warszawy po trzyletniem bawieniu do Galicyi, straciwszy czas u księcia i moich cokolwiek pieniędzy z domu wziętych, a przybywszy do domu mego w Dobrowodach, przywitał mnie tam mój sąsiad dawny, Piasecki, i widząc uiszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojem między panami, żałował wraz ze mną czasu i pieniędzy straconych, bo u Czartoryskiego przez półtora roku bawiąc, nietylko nic nie zebrałem, ale nawet swoich blisko 80 dukatów straciłem na porządniejsze na wielkim świecie utrzymanie się.

Czwartego dnia po moim powrocie i siostra moja, wdowa Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. Rozrzewnienie, które czułem, witając się z tą poczciwą kobietą, jej stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy, były okazją wierszów, które napisałem pod tytułem: „Powrót z Warszawy na wieś,“ a te na niemiecki język wierszami przetłómaczone i wydrukowane, widziałem wkrótce we Lwowie.

Po roku bawienia się na wsi zachciało mi się znowu do miasta, tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzałczany, chociaż ten trunek cierpki i palący, przecież mu miło zawsze powracać się do niego. Przyjechałem do Warszawy i u przyjaciela Stadnickiego stanąłem u Pijarów, który mnie ze łzami radośnemi witał. Najpierwej poszedłem do Czartoryskiego, który mnie dosyć zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że ksiązę to czuł, jakobym go w wierszach moich „Powrót z Warszawy na wieś“ opisał, odpowiedziałem: alboż to ksiązę do siebie bierze te wiersze? Po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie; już on czytał dawniej moje wiersze „Powrót z Warszawy na wieś,“ i tak mnie obaczywszy, ze łzami radośnemi

wita: „Cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał?“ Odpowiedziałem: „Właśnie to samo, że nic nie zrobiła.“ Król zagadał mnie czem inszem, zamawiając sobie, że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi, o zabieraniu sreber z kościołów, jakoż po obiedzie z królem obstąpili mnie wszyscy, chcąc ciekawi słuchać historii galicyjskiej; ledwie zaczął mówić o zabraniu sreber z kościołów w Galicyi za rozkazem Józefa cesarza, pod pozorem niby na wydatki wojny przeciwko Turczynowi i dodawszy: „Niech to będzie N. P. fanatyzmem, ale jak cesarz Józef w kilkanaście tylko ludzi przy sobie przejeżdża się po Galicyi, zapaleńcy o wiarę, jak rozumieją pogwałconą, mogą gdzie go ubić na drodze,“ to kiedym wymówił, król i wszyscy odemnie odstąpili i com mu miał opowiadać z pół godziny przynajmniej, w 3-ch minutach sam się zostałem. Wtenczas, jak obudzony, przypomniałem sobie, że i król z Częstochowy srebra pozabierał, i to było przyczyną odejścia wszystkich odemnie. Nauka jeszcze od ojca mi zostawiona, ażebym tak mówił, jak myślę, a potem bawienie się moje zawsze między równymi, między którymi przywykły mówić, co myślę, były przyczyną tej mojej niedworności, która mi i u Czartoryskiego będąc, często szkodziła. Ale po niejakiem czasie król tralił na surowszego jeszcze werydyka; powracając z przechadzki, wstąpił do kościoła Bernardynów na Pradze, w którym to kościele podług rozmiaru w Lorecie uczynionego, był wymurowany domek N. P. Loretańskiej, wielu pobożnych srebrnymi votami wzbogacony. Król, wszedłszy do tego domku, kiedy wszystkie ściany gołe zastał, rzecze przytomnym Bernardynom: „A moi Ojcowie, słyszałem, że tu wiele sreber mieliście, a teraz żadnego votum nie widzę?“ Nie przyszło księdzu gwardyanowi odpowiedzieć, bo się skwapliwie braciszek przed nim wyrwał: „Nie masz sreber, nie było i nie będzie!“ Król rozśmiał się i odjechał.

Ale kiedy gwardyan zaczął fukać braciszka, o porywczosć w głupiej odpowiedzi do króla, braciszek mu rzecze: „Kiedym źle zrobił, żem królowi tak odpowiedział, to pójdę mu powiem, gdzieśmy srebra pochowali.“

Bawiąc w Warszawie, prócz dawniejszych znajomości, poznałem się z panią Krakowską Branicką, siostrą królewską, która mnie uprzejmie w domu swoim przyjąwszy, trzy razy na tydzień* w Niedzielę, we Wtorek i Czwartek na obiady zaprosiła, w których dniach, że i król u niej bywał na obiadach, znowu mnie nadzieja opanowała, że widując tak często króla, za wstawieniem się siostry jego, będę mógł los mój poprawić. Kiedy raz na obiedzie u niej przed królem kłamca jeden u stołu siedzący, a faworyt krolewski, niepodobne rzeczy za prawdziwe udawał, powiadając między inszemi, że w Anglii wynaleziono perspektywę, przez którą w noc najciemniejszą o 3 mile na morzu widzieć można okręty, albc ład blizki, i długo takie baśnie udawał, ja zaś cały obiad milczałem; król do mnie rzecze: „Czemuż dziś nic nam nie mówisz?“ odpowiedziałem: „Ja tylko prawdę chciałbym mówić, a prawd daleko mniej jest jak fałszów, dla tego też i mniej gadam.“

Pani Krakowska, wyjeżdżając na letnie 3 miesiące (jak zwyczajnie robiła), do Białego Stoku i mnie prosiła, ażeby tam za nią przyjechał. Przyjętym byłem w tem jej mieście z grzecznością od niej największą, że nawet w oczy to drugich uderzyło, a jam sobie pomyślał, „ja chleba potrzebuję, nie honorów;“ ta pani chociaż mi nic nie wyświadczyła, i tylko mnie nadzieją zawsze uwodziła puszczenia mi dóbr Orli, koło Białego Stoku, żem uwiedziony 4 roki na letnie miesiące przyjeżdżał, dla bawienia jej do Białego Stoku wszelako za jej grzeczności największe dla mnie, wdzięczny byłem i najwięcej za to, że mnie odwiodła od poślubienia jednej wdowy, z którą zapewne byłbym najnieszczęśliwszy, i do której już wyjeżdża-

łem dla kończenia z Białego-Stoku, a tu pani gwałtem mnie przytrzymała, kazawszy konie i powóz mój pozamykać. W czasie bawienia jednego lata u pani Krakowskiej przyjechał do niej Marcin Badeni, szambelan królewski, co do dóbr ekonomicznych plenipotent generalny. Ten prawdziwie poczciwy człowiek podobał mi się pierwszego dnia poznania go z roztropnych w mowie odpowiedzi, ale nazajutrz z duszy swojej wspaniałej i dobroczynnego ze mną obchodzenia się, od dwóch dni dopiero poznany odemnie, wziął mię na stronę i zapytawszy, po cobym tu corocznie do pani Krakowskiej na lato przyjeżdżał, kiedy mu odpowiedziałem: że mi dobra swoje Orle wypuścić obiecała i to mnie przy niej utrzymuje; rzecze mi zająkliwie Badeni: „Pany o sobie tylko myślą, a W. Pan myśl także o sobie; teraz puszczają się na licytacye klucze dóbr ekonomicznych, W. Pan wybierz sobie w Grodzieńskim klucz który jeden, a bez żadnej licytacyi stałym i zyskownym dla niego kontraktem będzie mu puszczony.“ Zdziwilem się nad dobroczynnością dla mnie od dwóch dni poznanego człowieka, i uściskawszy go kiedy mi pokazał registr kluczów królewskich w Grodzieńskim, wybrałem z wiadomości cokolwiek o tych folwarkach, a do tego i z jego rady klucz Suchadolina nazwany, który wkrótce objąłem na siebie sześćioletnim kontraktem i z którego prócz życia i ekspensów innych domowych najmniej 200 dukatów zebrać mogłem na rok. Ten mój szanowny dotychczas przyjaciel pamiętny mi będzie do śmierci, bo od dobroczynności przyjaźń swoją zacząwszy, utrzymał ją potem wzajemnością w tyłu zdarzeniach i szacunkiem dla mnie wszędzie oświadczanym, chociaż czasu nawet nie miałem zarobienia u niego na to. Mając już Suchodolinę, pojechałem do Galicyi, pożegnać się z krajem tamtym i z moimi, porzuciłem Dobrowody, siostrze na sprzedaż bibliotekę darowałem.

W tych latach zaczął się sejm 3-go maja, na-

zwany od konstytucyi tegoż sejmu kilkuletniego w tym dniu podpisanej polskiego na potem i tronu dziedzicznym ogłoszenia. Ponieważ wiele o tym sejmie dokładnych wiadomości z druku powychodziło, nic o nim pisać nie będę, to tylko nadmienię, do czego ja chociaż nie byłem posłem, wchodziłem skrycie, bo za zepsuciem się wszystkiego w ojczyźnie, ubogiemu o tem radzić głośno i mówić nie wolno było, i tylko magnaci decydować mogli. Decydowali zaś tak, jak swój pożytek widzieli, a ubogi mianym był powszechnie za niewiadomego rzeczy i pogardy godnego. Widząc ja przez nieszczęśliwe elekcyje do zguby coraz bliżej Polskę przychodzącą, bo król elekcyjny nie myślał nadal o dobru narodu naszego, gdyż kiedy dzieci jego dziedziczyć po nim, nie miały, cóż on miał dbać o to, co się po jego śmierci z Polską dzieć będzie; magnaty zaś nasze umyślnie elekcyje wolne królów utrzymywali, że może z nich który, albo przynajmniej z dzieci jego tym królem będzie obranym, a przynajmniej jaki z pretendentów obcych do korony bogato go za porobione przez niego partye obdarzy.

Magnaty nasze tę wolną elekcyą zrzenicą wolności nazywali. Zważywszy ja to wszystko na pół roku jeszcze przed sejmem 3-go maja, widząc, że Stanisław Małachowski, referendarz koronny, ten najpocześniejszy z pomiędzy magnatów, już był wcześniej marszałkiem tego sejmu naznaczony, a ksiązę Adam Czartoryski, także pan dobrze o naradzie myślący, oświadczył się, że chce być posłem ze swojego województwa lubelskiego, przyszło mi na myśl napisanie 4-ch listów do Małachowskiego, do Czartoryskiego, do Radziwiłła Karola, wdy. wil., znaczącego w narodzie i słynącego obywatelstwem i do Szczęsnego Potockiego, wojewody ruskiego, który bogactwem, kredytem natenczas w kraju i obywatelstwem był znakomitym, bo darował R. P. harmat pięknych szpizowych 24, palk swoim kosztem własnym do swo-

jej śmierci utrzymywany i wtenczas sam też go między inszemi w piśmie mojem: „o szczęściu człowieka w towarzystwie“ pochwalilem; ale nietylko widzę nikogo chwalić, póki życia dobrze nie skończy. Listów tych moich czterech jednakże było brzmienie, że ponieważ sejm przyszedł czyni nadzieje temu obywatelskiego, niechby się uśpiony naród obudził, niechaj osłabiające nas coraz bardziej elekcyje królów porzucił, i tron napotem dziedziczny naznaczył, a ponieważ sami nie jesteśmy w stanie oparcia się trzem, które nas rozbięły mocarstwom, niechby król pruski (Wilhelm natenczas panujący) ogłoszonym był przez konstytucyą królem dziedzicznym polskim po śmierci Poniatowskiego, a tak on swój zabór Polsce pewnie powróci, a od dwóch pozostałych potencyj zabory odebrać silnie pomoże. Co mi tylko wymowa i prawdziwe czucie ucisków natenczas poszepnąć mogło, wszystko to w tych listach wyraziwszy, nie podpisawszy się kto byłem, tylko jak obywatel, wspólną ze wszystkimi nędzę i upodlenie cierpiący, listy cztery wspomniane w swoje miejsca na poczty porozsyłałem i miałem potem wiadomość, że wszystkie podochodziły. Woj. wil. Radziwiłł najżywiej list do siebie napisany poczuwszy, pojechał nawet umyślnie do króla pruskiego i namawiał go do przyjęcia korony polskiej. To tedy niewiadomą inszym przyczyną było, dlaczego natenczas król pruski z taką gorliwością do sejmu 3-go maja przykładał się, dlaczego przez posła swojego Lukiczyniego alians zrobił z Polakami, wojska 20,000 na potrzebę narodu naszego dać obiecał tymczasem, a w potrzebie większej bronienia nas całą potęgą swoją nadzieję zrobił. W czasie sejmu tego będąc przytomny w Warszawie, jużem się w cichości cieszył pomyślnym skutkiem listów moich, kiedy wszyscy prawie posłowie o ustanowieniu dziedzictwa tronu głośno gadali. Ale magnaci, kiedy to na obywatelach polskich nie mogli przynajmniej odmienić, przy-

szłego króla chcieli, i bojąc się, jak sam byłem przytomny gadaniom ich, jak powiadali wolności narodowej, ażeby mocny u siebie Prusak jej nie przygniótł, elektora saskiego po śmierci Poniatowskiego królem naznaczyć woleli, z którym (myśleli magnaci), jak ze słabym łatwiejby sobie począć mogli i intrygi swoje robić po dawnemu.

Przyszedł nakoniec czas ogłoszenia konstytucyi 3 Maja, w której kiedy Lukiczyni elektora saskiego następcą po Poniatowskim usłyszał, głośno odezwał się i oświadczył, że tylko do obwołania konstytucyi 3 Maja trwał alians jego monarchii z Polakami, króla swojego widząc od tronu usunionym.

Za co potem król pruski rozgniewany, nietylko rzekł się aliansu z Polakami, ale nawet do podziału nowego Polski z inszemi dwoma mocarstwami przystąpił, co w czasie konfederacyi targowickiej, jak się niżej powie, nastąpiło.

Po obwołanej konstytucyi tronu sukcesjonalnego w Polsce, chociaż poczciwi magnaci spokojnie przestali na elektorze saskim, przecież dwóch między inszymi, podobnie sobie myślącymi, Szczęsny Potocki, wojewoda ruski, i Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, głośno oświadczyli się, że króla dziedzicznego w Polsce nie chcieli, a Seweryn Rzewuski wydał nawet pismo drukowane, dowodząc szczęśliwości narodu pod królami elekcyjnymi.

Ja zaś, jako ubogi i bojący się przemocy magnatów, wydałem także pismo drukowane, utajwszy imię autora, w którym przekonywałem o szczęściu każdego krajowca pod królami dziedzicznymi, bo król taki (jakem wyżej napisał) o sukcesorach swoich myśląc, ażeby im się dobrze działo, razem myśl i o szczęśliwości narodu, któremu panować mają, a tak szczęśliwość krajowa, jego jest własnym interesem. Kiedy to w Polsce w czasie 3 Maja dzieje się, ja tymczasem bawiący w Warszawie i często widując króla, raz mu stan mój ubogi przypomniam.

łem, a on mi na to najpochlebniej odpowie: „Honor wpan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem.“ To królewskie oświadczenie, chociaż mi nie dało pieniędzy, ale jakże wielką dało nadzieję polepszenia losu mojego, którego około dwóch lat czekając nadaremnie, znowu się królowi przypomniałem, a on mi rzecze: „Krzywdę mi wpan robisz tą prośbą swoją, ja bez przypomnienia o wpanu myśleć powinienem i proszę nigdy prośbą swoją mnie nie pokrzywdzić.“ Słuchałem króla, nic mu o sobie nie mówiąc i on też nic mi o mnie nie mówił do śmierci swojej, żeby mi datek jaki z siebie ofiarował, a wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotnie, królewszczyzny, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali. A tak widząc marność nadziei moich, wyjechałem na wieś do Suchodoliny w Litwie, po ogłoszeniu w Warszawie konstytucyi 3 maja. Wszelako król, chcąc się niby uiścić z obietnicy swojej wspierania mnie, na cięższym dla mnie uiścił się sposobem, kiedy się umówił z księciem Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, opiekunem małoletniego natenczas księcia Dominika Radziwiłła, ordynata Nieświeża i Ołyki, ażebym ja przez 10 lat był jego rządzcą edukacyi i razem nauczycielem obyczajów. Płaca roczna przez opiekuna naznaczona mi była tysiąc dukatów, a matka małoletniego potem obiecała przyczynić 500 dukatów corocznie, prócz tego po wyjściu z opieki podług prawa litewskiego za lat 10 tegoż dziecięcia, miał mi być dany dożywociem folwark jaki ordynacki. Wielkie to wprawdzie zyski, ale większa daleko także ofiara moja, bo wolności przez lat dziesięć utracenie, a jeszcze mnie już wtenczas więcej lat 50 mającemu. Wymawiałem się z początku od tak ciężkich obowiązków, wspomniawszy, jak żadnej godziny dla siebie wolnej mieć nie mogłem, chcąc się poczciwie sprawić, i jak dawniej trochę u księcia Romana Sanguszki w takimże będąc obowiązku przez rok tylko

jeden, życia tylko ledwie nie straciłem ze zgryzoty. Dobrze to dawni powiedzieli: „Kogo Bogowie nienawidzą, tego dozorcą małoletnich robią,” bo jakże dziecię z pod oka swojego, choćby na czas najkrótszy wypuścić można, kiedy to, co przez pół roku wmawiając w niego cnoty pracowałeś, jedna godzina, w którejby się dziecko opuszczone od dozorczy z służebnym jakim nieobyczajnym zdybawszy, zupełnie zniszczyćby mogła. Wymawiałem się tedy ile możności, ale nakoniec, zwyciężony naleganiem króla i usilnemi prośbami zacnego ze wszechmiar opiekuna, przyjąłem najprzykrzejszy dla mnie, według sposobu myślenia mojego, ten obowiązek niewoli dziesięcioletniej. Dał mi znać potem do Suchodoliny książe opiekun, przyjechawszy sam do Zabłudowa, gdzie matka z małoletniem dziecięciem mieszkała; tam gdy przybyłem, najlepiej przyjęty od cnotliwego opiekuna, ale zimno od nadto swe dziecię pieszczącej matki, zaraz po obiedzie wyjechaliśmy do blizkiej sąsiadki na kawę: opiekun, księżna, małoletni Dominik i ja. Wązką drużyną kalwakata księżnej, kilkunastu służalców przed naszą landarą otwartą jadąc, i widząc ją z daleka chłopca naprzeciwko jadącego, wóz swój worami ciężkimi naładowany mającego, kiedy mu dworzanie ustąpić z drogi kazali, a on ustąpić z drogi nie mógł, dla kolej, w której głęboko koła zapadłe były, kilku pacholków dworzańskich, z konia zsiadłszy, wóz ze wszystkim na bok wywrócili dla przejazdu wolnego książętom; ja to zdaleka widząc, kiedy się kareta przybliżała do wywróconego z worami wozu, zawołałem na stangreta, ażeby stanął z landarą, co gdy tak się stało, wtenczas mówię do małego księcia: „Oto, Dominisiu, ludzie wasi wywrócili z wozem i z temi worami tego wieśniaka ubogiego, a któż go tu wśród pola poratuje, ażeby te ciężkie wory nazad do woza powkładał, ludzie nasi przyczyną są umartwienia jego niewinnego, niechże ci ludzie nazad mu, jak wywrócili, na wóz te wory powkładają; a tak

czyż nie lepiej, iż cię będzie błogosławił, aniżeli przeklinał ten chłopak biedny, i twoi służący będą się strzegli krzywdy napotem nikomu nie robić.“ Pierwsza to moja była lekcya obyczajności w tym dniu pierwszym przybycia mego do Zabłudowa. — Pocziwe serce księcia opiekuna wzruszyło się i zapłakał, kiedy tymczasem służący, za rozkazem małoletniego, wory chłopu sami na wóz układali, a dziecko pojęło dobrze lekcya, bo torbę jeszcze z chlebem wieśniaka na boku pozostałą obaczywszy, służalcóm swoim podjął i na wóz włożyć rozkazało. Złe domowe przykłady, które długo byłoby wspominać i wymieniać, psuły zamiary moje, że nie mogłem tak z dziecięciem postępować jak chciałem i należało, i czucie moje nad tem tak się pomnożyło, że przez rok bawienia mego w Zabłudowie 5 razy przez matkę małoletniego płakałem, ażeby mi nie bronila według mojego sposobu myślenia rządzenia dziecięciem jej; ale kiedy nadaremne były łzy moje, namawiałem ją przynajmniej, ażeby na aniuwersarz 3 Maja konstytucyi narodowej pojechała do Warszawy, gdzie dziecię i świat razem obaczy i (jak mówiłem) kiedy królowi opowiem wszystko, pewnie ją król namówi, że z dziecięciem dla jego edukacyi, mieszkając w stolicy, razem się tam i złych domowych przykładów uchroni.

Wyjechaliśmy przecie z Zabłudowa do Warszawy, ale tam ten dobry mój projekt nie udał się, kiedy ani król, ani inni znaczniejsi namówić księżnej nie mogli do bawienia dłużej nad dwie niedziele w Warszawie, powróciliśmy nazad do Zabłudowa. Tymczasem nieprzyjaciele konstytucyi, samiż wyrodni Polacy, pobudzili Rosyę przeciwko patryotom i wojna w kraju zaczęła się. Znowu ja moją księżną do Warszawy namawiam, a powodem mi było niby niebezpieczeństwo samejże księżnej i dziecięcia, dla wojsk nieprzyjacielskich w bliskości; przecież dała się namówić, że po półroku upłynionym znowu

wyjechaliśmy do Warszawy, ale zaraz po pierwszym noclegu z domu wyjechawszy, tak się uparła powrócić do Zabłudowa, że wszystkie moje przekładania były nadaremne i powróciła, jak żądała, do domu nazad, a ja podziękowawszy jej po roku smutnego życia mego, porzuciwszy okrutny obowiązek i pieniądze, nawet mi naznaczone od opiekuna, wyjechałem z noclegu tego do Warszawy, gdzie król i opiekun, jakem im wszystko opowiedział, to moje porzucenie małoletniego uznali za niewinne. Pieniądze zaś mi należące za rok ten męki mojej, kiedy opiekun, ksiązę Maciej Radziwiłł, był odmieniony, a opieka małoletniego przysądzona przemocą księciu Michałowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, zostały w skarbie Radziwiłłów przez lat 13 opieki księcia wojewody, dopiero kiedy małoletni doszedłszy lat według prawa litewskiego zaczął rządzić sam dobrami, oddał mi należytość za mój rok pracowity 1,000 dukatów, ale 500 dukatów od matki małoletniego mi obiecane przepadły. Jakże to małe było natenczas nieszczęście moje z porównaniem z nieszczęściami, które czułem ku ojczyźnie mojej. W oczach to moich było, jak ona od zdrajców samychże Polaków naszych cierpiała, i wydam też ich po imionach, bo kiedy im najgorzej czynić milionom ludzi wolno było, zacóżby mi pisać o tem nie wolno? Nawet dla poskromienia napotem podobnych winowajców, których potomność przeklinać będzie, pisać koniecznie należy.

Szczęśny Potocki, wojewoda ruski, i Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, pierwszy i drugi kiedyś obywatele najlepsi, bo pominawszy pierwszego, o którym wspomniałem wyżej, Rzewuski z ojcem swoim Wacławem, hetmanem koronnym, najpoczciwszym obywatelem, na dobrowolne więzienie, chcąc tem ulżyć ojcu nieszczęśliwemu, poszedł do Rosyi, ale sprzykrzyło mu się potem temu wyrodnemu synowi poczciwą drogą chodzić i poszedł tędy, gdzie wszystkich

idących przeklinają. Ci tedy dwaj magnaci po obwołaniu konstytucyi 3-go maja, uważając w pysze swojej, że dziedzictwem korony polskiej dworowi saskiemu oddanem im samym, a może ich potomkowi, któremu droga do tronu posunięcia się, na wieki zamkniętą była, kiedy elekcyje królów usunięto, miotani ambicyą, że mieszczanom nawet radzenia o narodzie w czasie sejmów przez wspomnioną konstytucyą moc była dana, a z tego powodu i ksiązę Sapieha, kanclerz litewski, do tych dwóch trzeci z czasem przystąpił, ułożyli sobie targowicką podnieść konfederacyą, któraby ustawy sejmu 3-go maja i tronu dziedzictwo obaliła. — Jakoż to pewna jest, że Szczęsny Potocki, widząc, jako był nienawistny dworowi petersburskiemu na tronie siedzący Poniatowski, łącząc się przez konfederacyą z Rossyanami, spodziewał się, że detronizowawszy Stanisława Augusta, sam po nim na tron polski nastąpi, na czem się i sam oszukał i naród zgubił.

Konstytucya Sejmowa ogłoszona 3-go maja 1792 r., a dnia 9 tegoż roku w maju dnia pamiętnego w potomności dla Polaków, bo targowicka konfederacya przyczyną była zupełnego upadku Polski, wyszedł uniwersał do narodu o obranym marszałku konfederacyi koronnej w Targowicy na Ukrainie, Szczęsnym Potockim.

Wkrótce w tejsze Targowicy wyszedł uniwersał do duchownych, ażeby oświecali lud o zbawiennych zamiarach konfederacyi targowickiej, a 20 Junii uniwersał do narodu, powracający mu rzplątą, którą sejm 3 maja, jeszcze trwający, a który raczej spiskiem nazwałby się powinien, w monarchią przeistoczył. Potem nastąpił uniwersał, niszczący patenta i znaki od despotycznego rządu warszawskiego spisku dawane żołnierzom, a województwo podolskie w liście swoim do Szczęsnego nazywa go twórcą zbawienia i nowej szczęśliwości rzpltej. W tem Imperatorowa przez list swój barona Büchlera do sprawowania in-

teresów przy konfederacyi mianowała, aby był tłumaczem przyjacielskich myśli Imperatorowej dla Polki. Konfederacya zaś wysłała do Warszawy dla odebrania przysięgi od gwardyów i jakichkolwiekbądź tamże znajdujących się żołnierzy, równie i od różnych tamże magistratur.

W sierpniu gromi konfederacya Bazylianów Włodzimirskich o przywiązanie ich do konstytucyi 3 go maja i wskazuje, ażeby *ad loci ordinarium* na karę odesłani byli.

Zakazuje potem konfederacya przez uniwersał noszenia medalów i krzyżyków, od rządu despotycznego 3-go maja wojsku rozdanych, a nieposłusznym surową karą grozi. We wrześniu delegowani od konfederacyi do Petersburga oświadczyli Imperatorowej, że w najdalszych potomkach wdzięczność dla niej Polacy mieć będą. Oświadczając nadto, że przed całym światem ogłaszać będą Polacy, że ich ratowała Katarzyna. Posłowi francuskiemu Dessorches powiedzieć kazano od konfederacyi, że już nie jest posłem od rewolucjonistów francuskich i naszego posła Oraczewskiego z Francyi odwołano, jakoż temu Dessorches w dniach 10 z Warszawy wyjechać kazano.

Po takich oświadczonych łaskach imperatorowej przyszedł od niej dyspartyment do konfederacyi targowickiej, ażeby dla wojsk imperatorowej w Polsce i Litwie będących, dostarczono na ośm miesięcy furazu: mąki żytniej 500,000 korcy, krup około 50,000 korcy, owsa do miliona korcy i siana około dwóch milionów centnarów.

Oświadczyła konfederacya przez swój uniwersał, że ktoby od dnia 16 listopada za dwa miesiące najdalej nie uczynił akcessu do konfederacyi targowickiej, miał być uznany za niezdatnego do wszelkich napotem urzędów.

Wtem przyszła wiadomość, że wojska pruskie

do Polski weszły; z tego chociaż już można było domyślać się o intencjach dla Polski sąsiadów naszych, przecież konfederacya targowicka, jak gdyby w najlepsze czasy, dnia 5 grudnia ustanowiła medal dla obrońców Rzeczypospolitej z napisem: „Civibus quorum pietas conjuratione die 3 mai 1792 obnitam et diletam libertatem Polonam tueri conabatur;“ z drugiej strony: „Decreto Reipublicae nexa confederationis junctae;“ w koło: „Gratitudo civibus exemplum posteritati.“ Ustanowiła także ta konfederacya przysięgę profesorom szkoły kadetów, że nic uczyć nie będą, coby było przeciwko religii i rządowi teraźniejszemu krajowemu, nic uczniom nie wspomną, ani o rozszerzeniu władzy królów, ani o sukcesyi tronu i monarchii.

W styczniu wyszła 1793 deklaracya pana Bucholtza, posła pruskiego, że bojąc się Jakobinów w Polsce, król pruski wprowadza wojsko swoje dla poskromienia onych.

Odpowiedziała konfederacya, że o żadnych Jakobinach nie wie, że ma i swoje wojsko dla poskromienia ich, gdyby byli, i prosi, ażeby się Prusasy do kraju swego usunęli, a Prusacy tymczasem Toruń gwałtem odebrali. Kiedy Prusak wchodził w kraj nasz dla zaboru, nasze małe korpusy wszędzie wojsku jego ustępowały, jeden Dąbrowski, vice-brygadyer (który potem w wojsku francuskiem na taką sławę i stopnie zasłużył); oparł się mężnie w Gnieźnie z dwoma swemi szwadronami dwa razy większej sile nieprzyjaciela, i aż za rozkazem wyższej swej komendy ustąpił.

Wtem wyszedł uniwersał konfederacyi do narodu na pospolite ruszenie, ażeby się mieli w gotowości, ale w drogę aż za ostatnim rozkazem wyruszać mają.

Król przystąpił do konfederacyi targowickiej, mimo najusilniejsze prośby poczciwych obywatelów, a między innymi Malachowskiego, referendarza, mar-

szałka sejmu 3-go maja, który kiedy żadnym sposobem od tego przedsięwzięcia odwieść go nie mógł, oświadcza mu, ażeby do drugiej stolicy swojej, do Krakowa z sejmem usunął się. „Jeżelibyś N. P. (mówił dalej królowi Małachowki, jak mi to sam potem powiadał) na tę podróż do Krakowa pieniędzy nie miał, dam ci swoje 30,000 dukatów, które mam w domu, a na 70,000 znajdę dziś kredyt u bankierów, a tak przyjmij 100,000 dukatów od obywatela, który i ciebie i naród ocalić pragnie.“ Ale ani wszystkie przekładania jego, ani łzy inszych poczciwych obywateli nie pomogły. Przemogła intryga prymasa, brata królewskiego, a między innymi i Chreptowicza, kanclerza litewskiego. I zgodne to było z charakterem króla, najłatwiej odmieniającym się z duchem niewojennym i lubiącym spokojność, choćby to go najdrożej kosztowało; tak zrobił przed rokiem: wybrał się ze wszystkimi do obozu na Pradze stojącego, rozesłał uniwersały po Koronie i Litwie z wyrazem, że osobiście stawi się w wojsku, zjadł obiad ten bohater na Pradze z generałami naszymi, a na noc do Warszawy powrócił, zkąd się potem nie wyruszył.

Na tem przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej naród stracił prawdziwą szczęśliwość, a Szczęśny Potocki urojona, bo myśląc, że po odrzuceniu obrzydzonego od Katarzyny Poniatowskiego on będzie królem polskim, o czem już i wiele przyjaciół moskiewskich myślało, a między innymi Branicki, hetman koronny, publicznie u stołu Kochowskiego, generała komendanta przeciwko Polakom wojsk rosyjskich, pił zdrowie najjaśniejszego Szczęsnego.

Potocki, mówię, na tem przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiej najwięcej stracił, bo tem samem już król z Rosją pojednał się, a jemu zupełnie nadzieja tronu polskiego upadła.

Żona Potockiego Mniszkowna, która z nim da-

wniej oziębłe żyła, a nawet często z niego szydzić śmiała, kiedy im nadzieja błysnęła tronu, pogodziła się zupełnie z mężem, górnemi równie z nim myśla mi upojona. Była natenczas w Wiedniu u księcia Lichtensztejna na balu, kiedy tam wiadomość przyszła o przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej. — Francuz, przytomny także na tym balu, kiedy się już goście późnym wieczorem rozjeżdżali, rzekł do pani Potockiej: „Dobranoc, mościa pani exkrólowa.“ To prawda, że gdyby był Poniatowski do konfederacyi targowickiej nie przystępował, Rosyanie, dowiedziawszy się, że w Petersburgu, król uniwersałami swojemi szlachtę w narodzie do obrony ojczyzny pobudził, że rzucając domy i wioski swoje, zgotowizną pieniężną, jaką mieć mogli, ze wszech stron ku Warszawie ciągnęli, obawiając się złego końca, Katarzyna generałowi swojemu przeciw Polakom Kochowskiemu traktatem z naszymi tę wojnę zakończyć kazała, gdyby był tymczasem król niewieściuch do konfederacyi targowickiej nie przystąpił.

Dnia 7go marca 1793 roku napisana instrukcyja Potockiemu, marszałkowi konfederacyi, do Petersburga jadącemu, ażeby tam mówił o złączeniu najściślejsem Polski z Rosyą i razem żeby doniósł, że naród poprzysiągł w konfederacyi bronić całości granic, czynił zaś to na fundamencie obietnicy Imperatorowej w początkach konfederacyi, że miała całość Polski granic tymczasowych utrzymać, co nawet królowi, kiedy przystąpił do konfederacyi, obiecała, do tego konfederacyi targowiccy za wiadomością jej nawet przysięgali na te konfederacye przy swobodach narodu i całości granic polskich, bo taka jej na to była deklaracyja. Pod niebytność Potockiego, marszałka, zastępcą jego obrany Antoni Puławski, marszałek konfederacyi województwa wolyńskiego; za jego zasłępstwa dnia 9-go kwietnia przyszła deklaracyja imperatorowej przez Siwersa, posła jej w Warszawie, konfederacyi oddana, o podziale polskiego

kraju i o potrzebie zwołania nowego sejmu w Polsce, przez któryby Polska trzem potencjom podzielona była, co sejm przyszyły potwierdzić miał. Sejm grodzieński, zaczęty na wiosnę r. 1793., był jeden z najburzliwszych.

Stał się traktat tego drugiego, a okropniejszego jeszcze nad pierwszy podziału kraju polskiego podpisany, którym to grodzieńskim traktatem zaborowym więcej Rosya, Prusak i Austria wzięli ludności i mil kwadratowych kraju naszego, niżeli się reszty całej Polski zostało. Zaraz po podpisaniu traktatu tego, ponieważ sejm ten był pod konfederacją targowicką, Puławski, teź konfederacyi zastępca marszałka, dał bal z tańcami w Grodnie na Horodniej, gdzie miał tymczasowe mieszkanie, o ścianę sali, gdzie całą noc tańczono, ja nocowałem, oni tam śpiewali i tańczyli, a ja to słysząc, płakałem.

Magnaci także nasi przyczyniali się, prócz króla, do podziału tego, pamiętni zysków swoich w pierwszym podziale kraju; brali wtenczas bogate starostwa, dobra pojezuickie, pensye, zamiany starostw na dziedzictwa, brali i tym drugim podziałem pensye roczne i starostw tyle im porozdawanych, a dumie swojej i zyskom dogadzając, kraj, który się najlepiej rządzić chciał, zgubili. Skutkiem to było razem bezrządu zadawnionego w narodzie, że owe dosyć wielkie imiona bez żadnej zasługi, ani zdatności pierwsze zabierały urzędy, a insze dzieci magnatów, w kolebkach jeszcze będąc, krociowych intrat brali starostwa, które chlebem, dobrze zasłużonym w Polsce, nazywaliśmy. Stąd w każdym kraju, chcącym się dobrze rządzić, powinno by być naczelnem prawem: że do wszystkich czynnych urzędów w narodzie nie urodzenie, ale cnota i zdatność pierwszeństwo mieć powinny. Czyliż tak król zrobił, który dawniej Kazimierzowi Sapieszemu, synowi faworytki swojej, 18 lat młodzikowi mającemu, dał generalstwo artylerji litewskiej. który stopień jakże wiele zasług

i wiadomości wojennych potrzebuje, a potem znowu podczas konfederacyi targowickiej toż generalstwo artyleryi po śmierci pierwszego, drugiemu Franciszkowi Sapieszce, chłopcu 14-letniemu oddał, a to wtenczas, kiedy ojczyzna była w największym rozruchu wojny?

Do nieszczęść krajowych w roku 1793 i bankructwo bankierów warszawskich przyczyniło się, na 200 milionów szkody obywatelskiej wynoszące, do czego także magnaci, chociaż niewinnie, przyłożyli się. Prot Potocki najpierwej równym sposobem jak bankierowie, bank swój otworzył, z handlu potem na Czarnem morzu najzyskowniej pożytkował. Ale książę Alexander Lubomirski, dziedzic 20 mil kraju na Ukrainie, otworzywszy bank swój na kontraktach dubieńskich, kiedy obywatelom, mającym u bankierów summy, kaucyje ich pieniędzy, któreby mu pożyczyci, na dobrach swoich ogromnych pokazał, miasto czego bankier papier tylko kredytorowi bez żadnego bezpieczeństwa dawał, wszyscy obywatele odbierać zaczęli od bankierów pieniądze, a oddawać je Lubomirskiemu; i tak kiedy od nich wszyscy odbierali, a nikt im pożyczyć nie chciał, upaść koniecznie musieli. A z ich reszt majątku pozostałego ledwie jego 3-cią część komissya bankowa, blisko dziesięć lat ciągnącą się, sum winnych od bankierów kredytorom pooddawała, a to ze skryptów, które magnaci pożyczając u bankierów, pieniądze im pooddawali. a magnaci albo wykrętami swojemi, albo prawdziwym upadkiem pozawodzili biednych obywatelów, słowem, żadnego nieszczęścia krajowego nie było, do któregooby o sobie tylko myślący magnaci nie należeli.

Na tym sejmie grodzieńskim konfederacya targowicka zniosła tron w Polsce sukcesyjny, na konstytucyi 3-go Maja ustanowiony, a jak bywało dawniej, władzę hetmanom nieokreśloną, daną już przez siebie przed rokiem potwierdziła, którzy to hetmani tak da-

wniej byli potężni, że August II, obrany królem polskim, kiedy do kraju naszego przybył i też władzę hetmańską, jak była nieokreśloną, poznał, publicznie powiedzieć miał, że gdyby był wiedział pierwej, co to jest hetman w Polsce, wolałby o hetmaństwo, nie zaś o królestwo starać się polskie. Stąd na tym sejmie grodzieńskim Gostomski, poseł ciechanowski, o zniesienie władzy hetmanów domagał się, którzy przez rok danej im władzy przez konfederacją targowicką tysiące niewinnych pokrzywdzili.

Po skończonym sejmie grodzieńskim ja, niemając już domu inszego (bo klucz ekonomiczny Suchodolina, puszczoney mi 6-letnim kontraktem od przyjaciela Badenięgo, przenosząc się do małoletniego Radziwiłła, subarendowałem był na drugie triennium), sprowadziłem się do mojej kolonii w brzeskiem województwie, przy lesie białowieskim sytuowanej, na którą to kolonię, czyli kawał ziemi pustej z lasu wyrąbanego pozostałej, a o włók 20, na którą tenże poczciwy Badeni bez mojej o to prośby, jeszcze w r. 1791 wyrobił mi przywilej u króla, bo kiedy każdemu, kto chciał (a odbierali tatarzy i żydzi nawet), pustą ziemię do wyrobienia na gruntach królewskich na lat 50 rozdawano, ażeby po upłynionym takim terminie taż kolonia do króla polskiego, jaki natenczas będzie, powracała, bez żadnej nagrody za zabudowanie wszelkie i osadzenie wieśniaków. — Przyjaciel Badeni, jak się rzekło, i dla mnie takiż przywilej zyskał, o czem król i zapomniał, bo dziwił się, za dwa lata potem, kiedy mu w Grodnie, już po upadku Polski, powiedziałem, że mieszkam w kolonii.

Pobudowawszy się w tejże kolonii, chociaż ubogo, ale wygodnie, zacząłem szczerze myśleć o sobie, ażeby na starość swój mając kawalek chleba, po cudzych kątach nie poniewierać się, i niemając majątku żadnego, prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężko mi było bez żadnego poddanego wy-

trzebienie dzikiego gruntu kolonii, wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam więcej 50 lat mający do roboty, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich i w laskach pańskich; tyle wieku marnie przepędziwszy, zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów, wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem.—Najemnicy, którzy przy mnie pracowali, z tem większą robili mi ochotę, im szczerzej i mnie też przy sobie pracującego widzieli, skutek tej pracy mojej był najlepszy, bo zawsze w czasie tych robót moich jadłem i spałem smaczniej, Nie masz wstydu za robotę około roli, co pierwszym człowiekiem jest powołaniem, i kiedy raz JW sąsiad sześciami końmi kareta przejeżdżał, a ja blisko publicznej drogi, krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam, niemniej którzy przy mnie robili, przestrzegli mnie, że pan jakiś nadjeżdża, ażebym roboty mojej poprzestał, jam odpowiedział, że tembardziej robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny JW i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy się ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, a ja jemu toż samo, co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze, że piękniej jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić.—W tych czasach, ażeby mnie widział, przyjechał do mnie do kolonii przyjaciel mój Badeni poczciwy — i kiedy mu o mojej pracy powiadałem około roli — ażeby mi jej ulżył, wypuścił mi pańszczyznę blisko mnie wsi ekonomicznej Kletno nazwanej, a tak przez ten rok do 7-iu włók gruntu, licząc w to i najemnika jeszcze liczniejszego, wytrzebiłem, wieśniaków do tego uboższych z bliższych kluczów ekonomicznych siedmiu na gruncie moim osiadło i jak można naprędce za przyłożeniem się mojem pobydowało się z umową 5-cioletniej wolności, po których upłynionych dwa dni na tydzień pańszczyzny robić mieli, albo czynsz od pół włóki swojej siedziby złp.

60 na rok płacić. Tak już blisko wioskę mając, mieszkanie moje w kolonii nie zdawało mi się być dzikiem. Kiedym tam wieśniakom nowoosiadłym prawa ich, na których grunt mój osiadali, czytał, a w nich między innymi było umieszczono, ażeby w przypadku, jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć, pobity oddawać mu wzajemnie nie-miał, ale zaraz do dworu na skargę przychodzić, w ten czas dwór zawsze jednostajnie osądzi, że bi-jący będzie publicznie ukarany kilkunastu różgami nie przez dworskiego ekonoma danemi, ale tenże sam pobity różgi bijącemu dawać będzie, tym sposobem nie było u mnie bójek między sobą wieśniaczych i po takiej karze na jednym z bogatszych, a tem samem pyszniejszych wieśniaków wypełnionej, skończy-ło się. Że jeżeliby się z czasem między nimi poka-zał złodziej jaki, tedy za pierwszą poszlaką różgami pośrodku wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utra-tą wyrobku, pola i zabudowania ze wsi wypędzo-nym; jeden z tych wieśniaków, nazwiskiem Jakób Mosiej, padł mi ze łzami do nóg, dziękując za to prawo, czyniące mu nadzieję, że sami tylko cnotliwi osiadać będą w tej kolonii, jakoż pokazało się po-tem, że tenże Jakób był człowiekiem w każdym zda-rzeniu najpoczciwszym i od wszystkich wieśniaków szanowanym, a odemnie nad innych kochanym. W kilkanaście lat potem, w roku 1808, umierał on; przez tydzień choroby najweselszym go widziano, a płaczącej żonie i dzieciom, widzącym śmierć jego bliską, śmiejąc się, mówił: „Oto wojska obce wkrótce prze-chodzić mają i ciemnić was będą; ja się zapewne pokwapię i umrę pierwej, a wy się tu nacierpicie, jam szczęśliwszy od was, bo pójdę na praznik do Ojca.“ Winieniem był wspomnienie rzadkiej cnotcie wieśniaka tego, nad którego grobem płakałem.

Nastąpił oplakany rok 1794, bo rok ostatniej zguby naszej po sejmie grodzieńskim, nazwany sy-wersowskim, że nim ambasador rosyjski rządził abso-

lutnie. Igelstrom, generał rosyjski, rządził równie jak gubernator, i w Warszawie król nawet zmniejszone miał prerogatywy swoje w rozdawaniu przywilejów na starostwa, urzędy i ordery, nie będąc mocen żadnego z tych podpisać bez wiedzy i potwierdzenia Igelstroma. W czasie tym nie przestawano złożyć sejmowi grodzieńskiemu, wystawiać sejm 3 Maja i szeptano w kątach, że rewolucya w kraju nastąpić musi. W środku zimygrana była operetka, przez Juliana Niemcewicza zrobiona, pod tytułem „Krakowiaki,” miała w sobie arye zupełnie do okoliczności kraju stosowne, a bardzo zapalające. Operetka ta była początkiem i rozgrzała umysły do przyszłej rewolucyi, była osnową rozmów po domach i czyniono sobie nadzieję szczęścia, które zdawała się obiecywać ta sztuka teatralna. Igelstrom nie zakazał grywania tej niebezpiecznej sztuki, ale tylko szpiegował ściślejszą policją miasta Warszawy; znalazł dla siebie pewną liczbę szpiegów, którzy mu o wszystkim donosili, ale ich łatwo poznano i wystrzegano się przy nich wszelkich rozmów, tyjących się przyszłej rewolucyi. Nie mógł dowiedzieć się o tem, że niektórzy obywatele, a mianowicie kupcy i rzemieślnicy, zbierają się sekretnie na rady w dniach pewnych, wszelako z czasem zaciągnąwszy cokolwiek wiadomości o schadzkach sekretnych mieszczan, i że duszą tych ich zgromadzeń był Kiliński, rzemieślnik warszawski, kazał tegoż Kilińskiego pod wartą do siebie przyprowadzić, i kiedy mu wyrzucił potajemne schadzki z innymi, on, rozśmiawszy się, rzecze: „Cobym miał spodziewać się nagrody, to mnie jeszcze łajecie, panie jenerale, prawda, że bywają schadzki, prawda, że ja jestem na czele ich, ale i to prawda, że wszystkiemi sposobami odwodzę towarzyszków moich, ażeby się do niczego nie wdawali, i wkrótce spodziewam się, że im to wyperswadowuję.“ Igelstrom obiecał mu nagrody, byleby tak postępował jak obiecuje (sam pijąc do niego gorzałkę), wolno wypuścić.

Jednak dla utrzymania bezpieczeństwa wszelkie zbiegowiska ludu miał nad bacności, i tak, podczas kilku przypadkowych ogniów, gdy się lud liczny na ratunek zbiegał, wysyłał szwadrony kozaków swoich na miejsce pożarów tych, kawalerya z drugiej strony polska stawiała przeciwko kozakom, dwojakie tedy to żołnierstwo nieprzyjacielskie zwyczajnie sobie urągało.

Nareszcie dnia 16 kwietnia, z Środy na Wielki Czwartek wieczorem, wezwano oficerów wojsk polskich do arsenału i odebrawszy od nich przysięgę, jako na Rosyę podnosić się nie będą, już ich aż do dnia stamtąd nie wypuszczono. Skoro tylko we Czwartek dzień się pokazał, wystrzelono trzy razy z wielkiej armaty w koszarach mirowskich na Wielopolu; wystrzał ten hasłem był do rewolucyi, to pewna, że Igelstrom żadnej nie miał wiadomości prócz z posłyszanego wystrzału, a dochodzących go wieści o skrytych szemraniach obywatelskich, nie bał się, ani je sądził być podobnymi do skutecznienia. Ocucony więc wystrzałem armaty, porozsyłał w różne miejsca ordynansów do kwaterujących kompanij, ale żaden z tych ordynansów do miejsca wyznaczonego nie doszedł, i choć ulice tego poranku były puste i cichość jak w nocy panowała, kuryerowie Igelstroma to z kątów, to z okien, wszyscy byli z koni porzucani.

Król sam w mieście nie wiedział o rewolucyi, i obudzony troistym wystrzałem z armaty, prędko ubrawszy się, chcąc wyjść za bramę zamkową dla obaczenia, coby się w mieście działo, wychodząc za drzwi pałacu, zastał na dziedzińcu w paradzie stojących kilkuset żołnierzy garnizonu zamkowego, i kiedy ich zdziwiony zapytał, za coby w tej paradzie stanęli, oficer na czele ich będący, odpowiedział: „Robimy to Npanie, co powinność poczciwego żołnierza każe: stawania śmiało przy królu swoim i ojczyźnie.“ Król wyszedłszy za bramę pałacową, spokojność i cichość zupełną, stojąc kilka minut pod kolumną Zy-

gmunta postrzegłszy, powraca nazad do zamku, ale w bramie samej znajduje przeciwko sobie idący garnizon swój zamkowy, i stanąwszy przeciwko nim, żywiej ich okrzyknie: „Stojcie! stójcie! dokądże to wychodzicie? oficer im przywodzący odpowie: idziemy, gdzie nas ojczyzna woła, marsz; marsz! Król z Guszynskim, jenerałem swoim (który mi to wszystko opowiadał), stanąć musiał przy murze, ażeby ustąpił maszerującym żołnierzom garnizonu swojego.

Tymczasem wypuszczonym więźniom z prochowni, cechom i różnemu pospólstwu wyrzucono broń różną z arsenału przez drzwi i okna, a mało co dawszy czasu zebrać się i uszykować Rosyanom, rzeź po wszystkich stronach krwawa rozpoczęła się i cały ten dzień trwała, aż do kilkunastu tysięcy zabitych było; nazajutrz przed wieczorem nie było już żadnego w mieście, prócz tych, których w niewolę zabrano, ale i tych mała coś liczba. Wywożono trupy przez dni dwa i wszędzie po ulicach palono słomy, można było w tym tłoku pospólstwa naszego postrzegać gdzieś trzykolorowe kokardy, na wzór francuskich rewolucyjnych, ale te prędko zniknęły, bo nie chciano jeszcze wydać się z myślą naśladowania zupełnie rewolucyi francuskiej. Tak Rosyan zbyła się Warszawa, z której Igelstrom z kilkuset ludzi swoich wyśliznął się.

Po przywróconej spokojności utworzyła się natchmiast Rada zastępująca, najwyższa rewolucyi magistratura pod prezydencyą Zakrzewskiego. Osoby radę tę składające, nosiły na rękawach flory pąsowe, aby je po nich poznawano. Pobrano też zaraz do arsenału tych, o których mniemano, że byli nieprzyjaciółmi ojczyzny, jako to: Ożarowskiego, hetmana; Kossakowskiego, biskupa inflantskiego; Ankwicza; Zabiellę; Massalskiego, biskupa wileńskiego; Skarszewskiego, biskupa chełmińskiego, i innych. Utworzono komisją indagacyjną do roztrząsania kryminałów więźniów narodu. Komisya ta niewinnych uwalniać

była powinna, winnych zaś oddawać pod sąd kryminalny, ustanowiony do wydawania ostatecznych wyroków. Podzielono miasto na cyrkyły i w każdym cyrkule słupek zakopano, do któregooby mieszkańcy cyrkulu tego, niewyluczając żadnego stanu, prócz księży, żydów i starców, stawiali się, a to jeżeli się trafiło, na alarm z okazji zamieszania wewnętrznego lub zewnętrznej napaści. Poczyniono z tychże mieszkańców Warszawy dowódców, to jest, tysiączników, setników, dziesiętników, a ci prowadzić mieli obywatele na miejsce potrzeby, a tym zwierzchnikom w zdarzeniach takich posłuszeństwo zupełne należało się. Straż wszystkich więźniów narodowych i nieprzyjacielskich, podczas rzezi zabranych, odbywana była przez obywateli miasta, kolejno, podług rozkładu ich dowódców. Pozabierano do lania armat dzwony kościelne, które tylko nad konieczną były potrzebę, również też kościelne srebra i złota wzięto do mennicy, zostawując te tylko, których obrządek religii potrzebował! Wybrano większą połowę koni stajennych, które były w mieście, osadzono miasto wielkimi bateriami od jednego brzegu Wisły aż do drugiego, wał do tego po nad same domy miasta pociągniony; do tych robót mało bardzo użyto wojska, i cała fortyfikacya rękami jedynie ochotniczych obywatelów i kobiet nawet była uczynioną.

Po bitwie przegranej po części ze strony naszej pod Szczekocinami, gdzie byli przeciwko nam Rosyanie, złączeni z Prusakami, przybyli do Warszawy Kołłątaj, Ignacy Potocki, Dmóchowski i inni, z tych utworzyła się rada najwyższa i już nie było rady zastępczej. Osoby rady tej miały jeszcze oddzielne sobie powyznaczane wydziały i były w nich prezydującymi: Kołłątaj w wydziale skarbu, Potocki w wydziale interesów zagranicznych, Dmóchowski w edukacyi; każdy z tych prezydentów wydziałowych prezydował jeszcze kolejno w radzie najwyższej po tygodniu, i wtenczas z podpisem jego wychodziły

wszystkie do obywatelów odezwy; utworzono wkrótce i pieniądze papierowe, których kurs nie miał trudności, ale jednak za nie produkta i towary kupowane, droższymi nieco były.

Od nastania rady najwyższej publiczność zdawała się spokojnie polegać na świetle jej, ale potem wcisnąwszy się niezgoda między radnych, przeszła łatwo i między mieszkańców.

Kupy, patryotycznymi zwane, zbierały się co dzień na rynku pod drzwiami obrad rady najwyższej, radziły o losie kraju, czyniły projekta, tworzyły i imponowały czasem tej magistraturze. Nie był to zbiór dobrze myślących i rozumnych ludzi, ale burzących bardziej i śmiałych, którzy w zamieszkach tylko znać czy albo zyskiwać mogą, nie było bezpiecznie także zbliżyć się dla przysłuchania ich radom, tem bardziej otwierać im zdanie swoje, a tymczasem między mieszkańcami ufność, bezpieczeństwo własne, eksekucya wyroków, nikły z ustaniem rady zastępczej; do magistratury, a osobliwie komisji indagacyjnej, posuwano przez intrygę wiele osób niezdatnych i bez doświadczenia, a ponieważ umieszczenie czyje w jakim departamencie tem samem robiło go wolnym od wychodzenia na okopy w czasie napaści nieprzyjaciela, dla tej przyczyny właśnie wiele bardzo młodzieży do urzędów powciskało się.

Nieczynność komisji indagacyjnej dała powód Konopce, domownikowi, czy słudze Kollataja, z instynktu pewnie pryncypała swego, iż zebranemu w wieczór na rynku ludowi wystawiał w mowie przygotowanej próżne utrudzenie w odbywaniu wart przy więźniach narodu, obwinał o opieszałość komisją indagacyjną, dowodził zbrodni osób aresztowanych i zachęcał lud do przyspieszenia kary na zbrodniarzów.

Nazajutrz rano sąd kryminalny zebrał się na ratusz, a szubienice pierwszej jeszcze w różnych miejscach powystawiane były, izba sądowa natkana była

tlumem ludu, i ile rąk, tyle pałaszów wisiało nad głowami sędziów, a cały ratusz był uzbrojony mnóstwem uzbrojonego pospólstwa, mimo tedy komisji indagacyjnej na zbrodniarzów, przyprowadzono winowajców przed sędziów i we dwóch godzinach inkwizycja, dekret i exekucya odbyły się.

Powieszoni byli: Ożarowski, hetman, Kossakowski, biskup inli., Ankwicz i Zabiello; ten zaś zapal zrobiła w pospólstwie wiadomość odebrana z Wilna przez przyslanego umyślnie stamtąd, donosząc, jako zdrajca ojczyzny, hetman litewski Kossakowski, za zagrzaniem pospólstwa przez rozkaz znanego komendanta tamtejszego, Jasińskiego, powieszony na rynku; taka odebrana wiadomość zdala się poniżać pospólstwo warszawskie, że Wilno stolicę Polski, Warszawę, w ukaraniu winowajców uprzedziło, i ztąd z taką gwałtownością exekucya nad tymi nieszczęśliwymi nastąpiła.

Kiedy biskupa Kossakowskiego wieszono na szubienicę, zaklinał on na Boga wartę, siebie prowadzącą, ażeby mu pozwolili wejść do kościoła, blisko będącego, aby się przed śmiercią Bogu jeszcze pomodlił; już pozwalali niektórzy, ale jeden z obywateli okrzyknął: „Bóg wszędzie jest, niech się tu pomodli, bo wszedłszy do kościoła, chwycić może do rąk Eucharystyą, jakże mu w kościele gwałt robić będziecie mogli?“

Niezadługo potem zrobiła się sekretna zmowa do exekwowania innych, w więzieniu będących, a jednego wieczora dał się szmer słyszeć po ulicach, że jutro znowu wieszac będą. Jakoż nazajutrz przededniem po różnych miejscach stanęły szubienice; wiadomiona o tem policya, szubienice popodcinać kazała, lecz na tychże miejscach lud inne powystawiał: już wtenczas nie potrzebowano sądu, lecz podług upodobania i przypadku wyprowadzano więźniów i wieszano. Z początku nie było może jak 30 tu tych zapalonych, lecz gdy niedbaleść rządu przeciw

temu nie wzięła środków, powiększyło się wkrótce mnóstwo rozhukanych i każdy musiał przez bojaźń o siebie potwierdzać wszystko, co czyriono; już Wulfers, członek rady, za gadanie po francusku z więźniem Boscamp, oficerem rosyjskim, do aresztu wzięty, bez inkwizycyi co gadał i przekonania żadnego, był powieszony, równie jako i Piętka, Rogożeński i biskup wileński, Massalski. W takim nierządzie Warszawy, gdy między innymi i pisarza sądów miejskich, idącego z papierami publicznymi na ratusz, a dla bezpieczeństwa mającego przy sobie żołnierzy, z których pospólstwo wniosło, jakoby i on był aresztantem, powieszono; Ignacy Potocki, wyszedłszy na ganek pałacu, zaczął ich hamować mową, a Zakrzewski, wtenczas prezydent miasta, dowiedziawszy się, iż Skarszewskiego, biskupa chełmskiego, wyciągają już z więzienia, przedarłszy się przez tłumy ludu, zasłonił biskupa swojemi ramionami, i tak przecie wybiegał mu życie. Trzeba było na krok tak śmiały tylko Zakrzewskiego, każdy inny, broniący winowajcę, byłby zapewne z nim razem powieszony, do takiego stopnia zuchwałości okrucieństw lud przyszedł, łatwy do pohamowania w początkach, a przez ospałość rządu wkrótce niepodobnym stał się.

Między innymi oprawcami najwięcej dokazywali więźnie wypuszczeni z prochowni, dawali sobie nazwiska obywateli i najniewinniejszych wieszali, wszelako przytomność Zakrzewskiego, prezydenta miasta, wiele do uspokojenia pomogła, spokojność zupełną noc przywróciła.

Nazajutrz widać było smutek po twarzach wszystkich dobrze myślących, a trwoga w pospólstwie znaczna dała się postrzegać.

Uwiadomiony Kościuszko o okropnościach takich i zażalony przeciw Kollatajowi, którego gwałtów tych sądził być autorem, przyszedł nareszcie pod Warszawę z wojskiem, a przybycie jego wszystkich

dobrych serce pokrzepiło. Nadciągnęły tamże wkrótce za nim wojska pruskie i rosyjskie; pierwsze, składające środek i lewe skrzydło, wynosiło, jak powiadali, 30,000, drugie, składające skrzydło prawe, 18 tysięcy Rosyan, całe to wojsko pod komendą było króla pruskiego, Wilhelma, który dobywaniem miasta, co na jego schedę przypaść miało, sam się zatrudnić chciał.

Przybycie wojsk nieprzyjacielskich oznajmione było miastu wystrzeleniem z armaty, przy zamku będącej, i według urzędzenia, całe miasto zaraz do baterii i okopów udało się. Przednia straż nieprzyjaciół wstrzymana była od wojsk naszych pod wsią Wola, pół mili od Warszawy, lecz po krótkim odporze odstąpiono wsi tej nieprzyjacielowi, dokąd potem ściągnął się cały obóz i Wola była środkiem wojsk nieprzyjacielskich, które około dwóch mil w okolicy zajęły, dalej nieprzyjaciel postępować nie śmiał przeciwko ogromnym bateriom naszym, osadzonym artyleryą i wojskiem, ale przedsięwziął tylko oblężenie miasta. Ze strony naszej Kościuszko zostawił samemu sobie dowództwo skrzydła naprzeciw wojsku rosyjskiemu, Zajączkowi generałowi dał środek, a drugie skrzydło księciu Józefowi Poniatowskiemu. Przez cały przeciąg oblężenia nigdy w dzień, ani w nocy okopy nasze nie były bez mnóstwa ludu; widząc naczelnik, że wieś Wola zasłaniała bardzo nieprzyjaciela, wypuszczonemi bombami spalił ją, że tylko kościół i sad pozostał, odtąd nieprzyjaciel mocniejsze szturmy zaczął przypuszczać i udało mu się jednej nocy pod Powązkami opanować baterie, które szwedzkimi zdawna nazywano, że za wojen ze Szwedami usypane, a teraz przez naszych poprawione były. Przybył tam natychmiast Kościuszko i za tę niepilność odebrał komendę księciu Poniatowskiemu, którą oddał generałowi Dąbrowskiemu. Już nic z tej strony nie zasłaniało miasta, prócz ciągłego wału pod

domami, ale zasłoniła go gwardya o świcie piesza koronna, która pierwszy raz będąc w ogniu, okazała męstwo niewypowiedziane. Przechodząc przez wąskie ścieżki pod ogniem kartaczów i ręcznej strzelby nieprzyjacielskiej, uformowała linię, a lud także śmiały, przyłączywszy się do gwardyi, przez dzień cały i noc następującą strzelał z ręcznej broni do nieprzyjaciela, tak, że Prusacy cofnęli się na dawne miejsca ze stratą wielką, a co podobniejsza, że nie chcąc gubić i swoich ludzi i miasta, jeźeliby szturmem odebrane było, które miasto według już porobionych układów gabinetowych (jak się wyżej rzekło) Prusakom dostać się mogło.

W tym właśnie czasie Skarszewski, biskup, przez sąd kryminalny na szubienicę skazanym został, a jako w rewolucyi egzekucya natychmiast idzie po wyroku, wzięto też zaraz Skarszewskiego, pozdejmowano z niego ubiór biskupi w kościele farnym i już był na plac prowadzonym, gdy Platerowie o tem ostrzeżeni, pobiegli do obozu Kościuszki, któremu oznajmiwszy o wyroku już wypadłym i o blizkiej egzekucyi, za winowajcą prosili. Przybiegł zaraz adjutant naczelnika do miasta z uwolnieniem od śmierci Skarszewskiego, i szczęściem zastał go jeszcze we drzwiach kościoła, wychodzącego do podjęcia śmierci.

Wtenczas dopiero Kołłątaj już nie pokrywał niechęci swojej ku naczelnikowi, powstawał głośno przeciwko jego (jak mówił) dyktaturze, ale takim postępowaniem więcej sobie szkodził, niż tamtemu, a najwięcej dobru publicznemu przez robienie partyj i wzajemnej nieufności. W czasach tych prawie umarł prymas i wieść powszechna głosiła, że był od brata króla otruty; król do takiej akcji nigdy nie był podobny, ale okoliczności go może do tego przymusiły. Powiadano i to, iż korespondencye prymasowskie z generałem rosyjskim, szkodliwe dla Warszawy, były złapane, i żadnym sposobem nie mógłby ujść

śmierci i Kollåtaja i szubienicy, wołał tedy (co jest pewniejsza) wziąć sam truciznę, niżeli być powieszonym. To prawda, że choroba jego krótka i nagła była, a głowa i twarz cała niezmiernie po śmierci spuchły.

Tymczasem wojska rosyjskie i pruskie po więcej tygodniowem oblężeniu Warszawy, nacierpiawszy się głodu, w nocy odeszły.

Radość niezmierna panowała nazajutrz w mieście zwyciężkiem, wszyscy biegli widzieć pobojuwisko i szańce nieprzyjacielskie, ale pod Powązkami znaleziono powietrze zarażone, a to z trupów nieprzyjacielskich, bez zasypania dobrze ziemią, na pół odkrytych leżących.

Wkrótce po odstąpieniu nieprzyjaciół ruszyło się także zwolna i wojsko nasze, opatrzone dobrze we wszystkie potrzeby. W czasie tym uformowano nowy regiment żydowski, przez samychże żydów dowodzony, a naczelnik, zrobiwszy plan ufortyfikowania miasta ze strony Pragi, wkrótce udał się za wojskiem. Upatrzyli wszyscy, otaczający naczelnika, iż w dniach ostatnich przed opuszczeniem miasta był bardzo niekontent z czynności rady, przepowiadali niektórzy zły koniec dla Kollåtaja, jeżeliby Kościuszce wojna udała się, a to samo niechęciło lud ku rządowi, że rząd znajdował często opór exekucyi dekretów swoich.

Maciejowicka bitwa Kościuszki z Rosyanami odjęła wszelką nadzieję naszym; tam ranny i wzięty w niewolę Kościuszko, do Petersburga był odesłany; tymczasem w Warszawie nie zaniedbano usilności wszelakiej do bronienia się, i Wawrzecki od rady najwyższej obrany był nowym naczelnikiem. Zgromadzały się do miasta w małych oddziałach wojska nasze, ale i wojsko rosyjskie wkrótce pod Pragę przyciągnęło; naszemu, jako zamkniętemu w obozach, dowodził Zajączek generał, moskiewskiemu—Suworow. Nieprzyjaciele przez tydzień cały gotowali się

do ataku, a szczupłość wojska naszego nie mogła dostatecznie opatrzyć wszystkich baterij do bronięcia się, kartaczów nawet i granatów nam niestawało. A co najgorsza, w porze jesiennej, zimno żołnierzowi źle ubranemu dokuczalo, do czego i głód się przyłączył. Mieszkaniec Warszawy z trudnością i to w małej liczbie do okopów pragskich wychodził, a nawet u siebie zaniedbali dawnego porządku żołnierskiego. Rząd zaś pod Wawrzeckim słaby, oprzeć się temu nie mógł, sam tylko regiment żydowski nie odstępował nigdy okopów i pilnie robił powinność swoją. Ale nie sami mieszczanie Warszawy opuścili się, kawalerya narodowa zgorzeniem była dla inszych swoją niedbalością o los ojczyzny, i wtenczas, kiedy widoczny upadek nasz już tak był blizki nie na obronie ojczyzny, ale po teatrach i bilardach pełno ich było, na co wojenna władza, jak i cywilna, oczy miała zamknięte. Suworow tymczasem, który dowodził wojskom rosyjskim pod Pragę, spodziewając się długiej obrony naszych, zaczął się okopywać pod Pragę. Tej robocie mogliśmy przeszkodzić, ale nie chcieli; nareszcie podszedł nieprzyjaciel nocą pod baterye, litewskiem wojskiem osadzone, i wziął je bez wystrzału przed świtem, w półtóry godziny pełna była Praga wojsk nieprzyjacielskich.

Dzien ten, a bardziej noc następująca, okropna była dla Warszawy, pieniądze i srebro głęboko w piwnicach zakopywano, większa część mieszkańców z miasta ustąpiła, nazajutrz z rana na kilku razem miejscach został zgromadzony lud przez trębaczów; czytano mu wzywianie rady najwyższej, a żeby bronić się nieprzyjacielowi; lecz nie widać było żadnej ze strony ludu ochoty, ani kroków żadnych do bronięcia się; kilka regimentów znużonych, przybyłych z Pragi, po różnych ulicach miasta rozstawiono, król tymczasem wozy swoje pakować kazal, ale lud napelnił całe podwórze zamku i pilnował króla, aby

nie wyjechał; lecz sprzykrzywszy sobie, zostawił nareszcie straż tę żydom samym.

W tym razie okropnym rada najwyższa, już rozpuszczona po części, uznała potrzebę kapitulacyi z Rosyanami. Ignacy Potocki z Burakowskim ofiarowali się płynąć na Pragę do Suworowa. Podług więc kapitulacyi tej, przyrzekają wszelką amnestyę i bezpieczeństwo obywatelom warszawskim, naprawiono natychmiast most spalony, mieszkańcy pozamykali wszytkie drzwi do domów, nikomu w oknie pokazać się nie wolno było, a tak Rosyane weszli do Warszawy. Zaraz potem złożyć musieli mieszkańcy wszelką broń na ratuszu i odbierali znaczki, za którymi później tę broń oddano.

Miasto stało się wkrótce bardzo nieludne przez bojaźń prześladowania, a Kołłątaj w dzień wzięcia Pragi wymknął się z Warszawy, z której w późniejszym czasie podług układu trzech dworów wojska rosyjskie ustąpiły, a pruskie i miasto i kordon swój objęły.

Blizko po upadku naszym polubił mnie blizko stojący kwaterą generał kozaków czarnomorskich, Czepicha, który dawniej był koszowym, czyli hetmanem kozaków siczowych, tak sławnych na Ukrainie napadaniem i rabowaniem wiosek polskich;

Nareszcie jak we wszystkich dawniej upadłych narodach, tak i w Polsce, między innemi przyczynami zbytki obywatela upadek ojczyzny przyspieszyły, stoły najwytworniejsze, ekwipaże i ubiory kosztowne, szukanie wygod, jakie tylko znaleźć można, i rozpusta lubieżna do najwyższego stopnia posuniona, zniechęciła naród i do trudów albo hazardów wojennych zrobiła go niesposobnym. Ale i magnaci za swoją nieżyczliwość ojczyźnie, insi swojego czekają końca, insi już w oczach naszych nagrodę wzięli. I tak książe Adam Poniński, podskarbi wielki koronny, który przed kilkunastu latami Polską trząsł całą, po upadku kraju w ostatniej żył nędzy, że kieliszka wódki

w szynkach warszawskich nie miał czem zapłacić, i wypiwszy, uciekał, potem nędznie na ulicy umarł. Szczęsny Potocki ze zgryzoty sumienia życia dokonał i jeszcze od potomków za konfederację swoją targowicką, która początkiem zguby naszej była, będzie przeklinany, a inszych, jak się wspomniało, powieszono.

Czyliż znieść można, abym im nie złorzeczył, kiedy patrzyłem na to, jak swoją matkę te wyrodki dzieci zabijały? Wyłączyć należy małą bardzo liczbę z pomiędzy magnatów prawych dzieci ojczyzny mojej, a między niemi Pocięja, który osobiście walcząc, na pół umarły z placu bitwy do obozu był przyniesiony.

Wyłączyć potrzeba i Karola Prozora, oboźnego litewskiego, tego prawdziwego ojczyzny swej miłośnika, on, jak się wyżej wspomniało, swoim trudem i kosztem Kościuszkę z za granicy do kraju sprowadził, on potem na Wołyniu i w Mińskim wojska nasze do stałości w służbie narodowej, objeżdżając je, zagrzewał, że nareszcie Katarzyna łapać go wojskom swoim, naznaczając największe nagrody, ktoby go pojmał, nakazała. Już zewsząd otoczony, tułając się po lasach, bez nadziei ujścia rąk nieprzyjacielskich, przebrany po wieśniacku, zabrudziwszy twarz najpiękniejszą, bo ja nie znałem mężczyzny przystojniejszego, przyszedł do kapitana, sprawnika tego powiatu, dawniej naszego, a już do Rosyi należącego, i dobrowolnie przyznał mu się, że był Prozorem, którego tak pilnie poszukują. Ten sprawnik był Polak zruszczały, i kiedy mu rzekł Prozor: „Jeżeli czujesz jeszcze krew szlachecką Polaka, ratuj nieszczęśliwego Prozora.“ Wzruszony kapitan sprawnik ratunek obiecuje, i wiedząc o położeniu wojsk rosyjskich, bokami z nim wymknąć się zamyśla, a zrobiwszy Prozora woźnicą swoim, wyjeżdża z nim na wózku z pomiędzy miejsc niebezpiecznych. Miał pod siernią Prozor pistolety, ale wziął z sobą sprawnik i swoje, i kie-

dy w drodze Prozor niespokojny rzecze mu: „a to o ćwierć mili stójka jest kozaków na mnie czekających, może Wmść tak wielkimi nagrodami ujęty zawiedziesz mnie?“ a sprawnik odpowie na to: „Oddaję waćpanu moje pistolety, a jeźelibym tak zrobić chciał, zaraz mi w piersi z nich wypal.“

Szczęśliwie wyszedłszy z tego niebezpieczeństwa, po ostatnim rozbiorze kraju schronił się za granicę i tam aż do śmierci Pawła imperatora żyjąc, że mu powrócić w Mińskie do żony i dzieci nie wolno było, cały piękny majątek po ojcu wzięty stracił, tak na wydatki dla ojczyzny w czasie rewolucyi, jako po upadku na ratowanie za granicą tylu nieszczęśliwych zbiegłych tam Polaków. Kiedy tu w kraju tymczasem i żona jego mało dóbr swoich posażnych do 150 tysięcy intraty rocznej czyniących nie straciła, które Nieplujew, gubernator miński, już był na skarb monarszy skonfiskował jako dobra należące do Prozora.

W tym ciężkim razie Prozorowa pojechała do Petersburga, a tam, kiedy się imperatorowa Katarzyna dowiedziała, że ta nieszczęśliwa żona była z carów Szujskich, prostą linią pochodząca od Szujskiego cara, którego Żółkiewski, hetman, do Warszawy więźniem przyprowadził, a potem Zygmunt, król nasz, dobra mu obszerne w Brzeskiem nadał, przez wzgląd na krew tak szlachetną folwarki wszystkie Prozorowej z pod sekwestru wypuścić kazała. A Prozor sam dopiero na początku panowania Aleksandra I, mając pozwolenie powrócenia do kraju, ucieszył żonę, dzieci i między tylu inszymi, mnie także, dawnego swego przyjaciela, od którego wzajemności doznając, resztę dni smutnych starości mojej cieszę. Ale jakże daleko odemnie bawi on teraz w domu swoim w Mozyrskiem, będąc tam najlepszym jak i dawniej dla swoich wieśniaków panem, i gdyby tak przed upadkiem insi magnaci postępowali byli z biednymi poddanymi, nigdybyśmy do takiego końca nie przyszli, bo wie-

śniak, kochający pana swojego, kochałby i ojczyznę wspólną, i wspólnie był jej najszczerzej bronił.

Nizeli trzy mocarstwa rozebrały do reszty Polskę, którym rozbiorem Kraków dostał się cesarzowi austriackiemu, Warszawa królowi pruskiemu, a Wilno z Litwą Rosyanom; król do czasu mieszkał w Warszawie, straciwszy Polskę i nieładem obywatela i swoim niewieściuchostwem. Był w Warszawie, nizeli tam rząd pruski przyszedł, gubernatorem generał rosyjski Bukshewden, ten tak się przykładnie z obywatelami obchodził, iż mu wychodzącemu z tego już pruskiego kraju, obywatele kazali wybić medal na wieczną pamiątkę dobroci serca jego dla mieszkańców Warszawy. Takim był także, chociaż z kądną popędliwy, książę Repnin, generał-gubernator litewski.

Kiedy tak i naród i nadzieja powstania jego upadła, porozchodzili się waleczni nasi obywatele po świecie całym. Wielu ich mieszka dotychczas w Ameryce, Azja i Ameryka widziała ich walczących przy wojskach francuskich; największa zaś część żołnierza polskiego w poformowanych legionach, do dwudziestu kilku tysięcy wynosząca, została w służbie francuskiej pod dowództwem generała Dąbrowskiego, i wstawili się w tej służbie walecznością, prócz tego generała, Sulkowski, Kniaziewicz, Zajączek i wielu innych.

Wkrótce po upadku Polski imperatorowa Katarzyna nam, pod jej panowanie przypadłym, przysięgę wierności naznaczyła. Zjechaliśmy się podług nakaźnia do powiatu naszego Pruzanny, gdzie przysłany był do słuchania nas przysięgi, jako i po wszystkich powiatach w jednymże dniu przysięga na wierność nakazana, pułkownik rosyjski Żuków. Kilką godzinami przed przysięgą przyszedłem do tego pułkownika, znalazłem go najgrzeczniejszym dla wszystkich, a osobliwie dla mnie; jak on mówił, słyszał o mnie wiele dobrego. Sam mnie uczył, jak mam podczas przysięgi prawą rękę do góry wzniesioną trzymać,

jak dwa ostatnie palce u tejże ręki zakrzywić, a trzy pierwsze trzymać wzniesione do góry, potem żebym głośno słowa dyktowanej mi przysięgi wymawiał. Przyszedł czas przysięgi w cerkwi prużańskiej parochialnej. Tyłem obróceniu do wielkiego ołtarza staliśmy obywatele, przed nami do nas zwrócony stał pułkownik Żukow, dla uważania przysięgi naszej. Ja prawą rękę podług nauki do góry wzniesioną trzymałem, ale słowa przysięgi cicho w mym smutku wymawiałem. Po tym obrzędku dopełnionym zaproszeni byliśmy na obiad do pułkownika, gdzie mówił mi, iż uważał, że nie głośno wymawiał słowa przysięgi. Odpowiedziałem mu, że to jest prawda, a czyniłem to umyślnie, z przyczyny, bo myślałem, że Pan Bóg śpi podczas naszej przysięgi, i żeby go nie obudzić, cicho wymawiałem przysięgę. Nietylko się o ten żart nie rozgniewał, ale nawet uśmiewszy się do sytości, odpowiedział: że może Bóg i spał i podczas naszej przysięgi. Kiedym się z nim po obiedzie żegnał, puścić mnie nie chciał, oświadczając, że na jutrzejszych wyborach sędziów powiatowych miał się przyłożyć, żebym był wybrany prezesem sądów ziemskich prużańskich, z czego ledwom się mu wyprosił, chcąc żyć spokojnie, jak i dotychczas prywatnie żyję. W tymże dniu generał-gubernator litewski książę Repnin, po wypełnionej przysiędze przez obywatelów, dawał bal wielki w Grodzie, na którym, chociaż sam lubił tańczyć, cały ten dzień wstrzymywał się od tańca, przejęty uczuciem, jak sam potem powiadał, upadłego narodu polskiego, z imieniem nawet swoim. Ale nasi narodowcy najweselej ten dzień w tańcach, jak gdyby za najlepszych czasów, przepędzili. Toż samo w Wilnie w tymże dniu generał komendant tamtejszy bal dawał, i kiedy nasi krajowcy ochoczo mu tej wesołości dopomagali, jedna tylko obywatelka, piękna pani Gorecka, od tańca wstrzymała się. Przyszedł do niej generał, i widząc, że z nikim tańczyć nie chciała, prosi, ażeby

jemu przynajmniej ten honor uczyniła i z nim jeden taniec przetańczyła, ona wtenczas, zalawszy się łzami, z szlochaniem rzecze mu:

— Czegóż WPan chcesz, ażeby na pogrzebie mojej matki ojczyzny tańczyła.

Zawstydzili się wszyscy obywatele i tańce skończyły się. Nieszczęście to już narodu, kiedy między tańcami obywatelów jedna tylko kobieta ojczyzny swojej żałowała.

Już ksiązę Repnin, jako gubernator wojenny, mieszkając w Grodnie, rządził Litwą całą, dokąd i król nasz nieszczęśliwy z Warszawy przeprowadzony. Pojechałem do niego zaraz i po opowiedzeniu się przez szambelana, w kilka minut przyjsć mi do siebie pozwolił. Zastałem go samego; obaczywszy mię, zalany obfitemi łzami, rzecze:

— Błysnęło nam szczęście i jakże prędko zupełnie zniknęło

Cieszyłem go jak mogłem, ale myślałem, że i ty królu do tego nieszczęścia przyłożyłeś się. Puścić mnie nie chciał więcej tygodnia z Grodna, gdzie wieczory z nim smutnie przepędzaliśmy. W tym czasie i z księciem Repninem przed podskarbinę litewską Dziakońską i szefa Stryjeńskiego poznałem się, który mnie szczerze polubił i wiele tego dowodów mi potem dawał, znał już od Dziakońskiej niektóre moje wiersze, a między innemi: „Ja, co nieszczęściami słynę, umiem przetrwać złą godzinę etc.“ umiał na pamięć niektóre najtkliwsze strofy. Szef do tego Stryjeński, a mój doświadczony przyjaciel, wiele mu o mnie nagadał, że zawsze w Grodnie będąc, najlepiej od Repnina przyjmowany byłem. Króla wtenczas w Grodnie żegnając, kiedy mnie jeszcze wstrzymywać chciał, wymówiłem się potrzebą wyjazdu do gospodarstwa, w kolonii mojej zostawionego.

— Albo masz kolonię—okrzyknie mnie—dajże jej imię Justyna.

A ja mu na to:

— I ta Justyna i Karpiński przy niej z głodu zdechnie bez pieniędzy.

Król zamilkł, a ja wyjechałem do domu.

Kolonia bez łożenia pieniędzy niczem byłaby, ale więcej 30 tysięcy łożonych na trzebienie gruntów, zabudowania dworskie i wieśniacze zrobiły ją tem, czem jest teraz. I król nie wiedział, że miał kolonię, bo w mnóstwie, biorących przywileje, nie uważał król, kiedy i dla mnie przywileje podpisał. Dawano te grunta przywilejem dla dobra samychże królów na potem, że biorąc my tylko dzikie zarośla po latach 50 dzierżawy, król każdą kolonię na skarb swój odbierać miał podług przywileju, bez żadnej za wszystkie wydatki nasze nagrody; a to z większym pożytkiem przyszłych królów być miało, niżeli uprzywilejowanych natenczas kolonistów, że bez żadnego kosztu ze skarbu łożonego, osiadłe wioski, jak i moja, od 20 wieśniaków odbierać mieli.

Bywałem potem częściej w Grodzie, tak dla króla mieszkającego, jako i dla księcia Repnina, który lubiąc mię, prosił w poufności, żebym i dla niego też co napisał. Obiecować musiałem, alem myślał, że mi ciężko będzie obietnicę dotrzymać. Po dwóch leciech, kiedy ten książę był na polowaniu w puszczy białowiejskiej, w której i ja mieszkałem, przyjechałem do niego; wtenczas kiedy mi przypominał niedotrzymaną obietnicę moją napisania dla niego wierszów, ja mu odpowiedziałem: „Cóż mam pisać, mości książę? po upadku ojczyzny mojej jestem smutnym, a smutny pisząc nikogo zabawić nie może.“ On mi na to rzecze: „Napisz mi i smutno, bylebyś napisał.“ A wtenczas napisane odemnie wiersze, pod tytułem do księcia Mikołaja Repnina, które potem wszyscy je czytający zanadto śmiałemi uznawali, a sam Repnin, kiedy je mu posłałem do Petersburga, w liście swoim do mnie to umieszcza: „iż widać to w moich wierszach, że go miałem za pra-

wdziwego przyjaciela, kiedy mu takie wiersze pod surowym rządem rosyjskim posyłałem.“

Ten opryskliwy i w zapale czasem nieumiarkowany książę był w gruncie serca poczciwym człowiekiem. Kiedy raz z wzruszenia powiadał mi o jakimś w Litwie Wołku, który memoryał mu podał na swoją matkę, jakoby ona ojca jego, a męża swego struła, tym sposobem żądając zbycia się matki przez kata, ażeby niemając nic po ojcu, jej majątek zabrać mógł, który matka jego, uchylając złego syna swego od sukcesyi, przyszłemu małżonkowi swemu zapisać chciała, Replin to mi powiadając, zapłakał nad tym wyrodnym synem, dodając: „Ojciec bywa naszym nieprawdziwym ojcem, ale matka zawsze matką.“

Kiedy Miączyński, ów kiedyś poseł na sejmie sywersowskim, sławny braniem pensyi od Prus i Rosyi, a tem samem zdrajca ojczyzny swojej, przejeżdżał do Peterburga przez Grodno, chcąc się widzieć na krótko z księciem gubernatorem, stanął pocztą na dziedzińcu Horodnicy w Grodnie, gdzie mieszkał książę. Byłem wtenczas na pokojach, napęcznionych gośćmi u Replina, kiedy tamże wszedł ów pyszny zdrajca i przez księcia Cycianowa vice-gubernatora prosił, że jadąc do Petersburga, chciałby tylko bez żadnego interesu cześć winną oddać księciu Replinowi. Poszedł Cicianów do księcia u drzwi w gabinecie będącego i zaraz powiedział Miączyńskiemu, że książę gubernator bardzo teraz zabawny *). Czekając Miączyński na pokojach około godziny, i znowu prosi tegoż Cycianowa, ażeby mógł na moment widzieć księcia gubernatora. Poszedł zaraz Cycianów i zaraz Replin pokazał się, a kiedy do niego z komplementem przygotowanym bieży Miączyński, książę go uprzedzając, z zapalem rzecze: „Czego ty chcesz odemnie, ja z tobą żadnego czynu nie mam.“ Wyszedł z pokoju zawstydzony Miączyński, a my oby-

*) Zajęty.

(Przyp. w!.)

watele tą ohydą zdrajcy pocieszeni byliśmy, że jak dawno powiadają: „Zdrada zawsze od przeciwnej strony lubiona, ale zdrajca pogardzonym bywa.“ Lubił mię także i ten poczciwy Georganin, ksiązę Cyncianów, z którym raz o upadku ojczyzny mojej rozgadawszy się, kiedy mię badał, coby było przyczyną tej ostatniej zguby naszej, odpowiedziałem mu: „Przyczyna cała, że u was w Rosyi kobieta królem, u nas w Polsce król kobieta.“

Po niejakiem czasie ksiązę Repnin z woli swojej monarchini żądał od króla naszego autentycznej na piśmie tronu polskiego rezygnacyi. To żądanie (jak powiadano) było razem i inszych dwóch dworów, z Rosyą rozbierających do reszty Polskę. Ten krok ich ostatni zdaje się, że nie był potrzebnym w narodzie wolnym i wolno sobie obierającym króla, bo tę abdykacyę raczej naród robićby powinien, któremu zawsze, niemając króla dziedzicznego, wolno było mieć króla, albo go nie mieć.

Wkrótce potem imperatorowa, Katarzyna II-ga, ta prawdziwa Semiramis północna, umarła. Rząd za jej panowania mocny, jej samej wiadomość największa politycznych interesów Europy, stałość w utrzymaniu układów swoich rzadka, powodowanie senatem i ministrami, dla dobra kraju szczególnie będą w potomności w dziełach rosyjskich słać tę monarchinię. Miała przyczynę, wystawiając jeden z najpiękniejszych w Europie posąg Piotrowi Wielkiemu, imperatorowi, napisać pod nim, uchylwszy wiele podpisów, które jej podawano, także przez siebie samą zrobiony: „Piotrowi I Katarzyna II.“ Bo prawdziwie tyle, albo więcej, jak tamten zrobiła w Rosyi, ucywilizowaniem jak można było narodu, podbiciem tylu krajów, jako to: Polski, Krymu, Tartaryi oczakowskiej, i co Piotr pochylił się był z Turczynem w wojnie nad Prutem, Katarzyna przez swoich generałów przeszła za Dunaj i za trzęsła tronem carogrodzkim, nawet gdyby jej po-

zwoliła była Europa, pewnieby go obalila. Cóż mówić o tyłu funduszach w Petersburgu i w państwie dobroczynnych, o jej miłości, którą sobie zjednać umiała u ludzi i wojska? O jej przytomności w poradzeniu sobie w przypadkach?

Rzecz mała, ale oświeci dobrze, jaka była jej przytomność umysłu we wszystkim. Przechodząc się raz po ogrodzie w Petersburgu z małemi wnukami swymi, Aleksandrem i Konstantym, starszy, a teraz panujący Aleksander, dziecko natenczas, napierał się u babki, ażeby przeszedł na drugą stronę rowu jakiegoś błotnisteo i zielskiem zarosłego; przekładała mu imperatorowa, że rów był tak błotnisty i nie łatwy do przejścia, iż zaś koniecznie przejść go chciał, pozwala babka, i gdy w błocie lgnąć zaczął, nazad się wracać żąda, ale Katarzyna gwałtem go przeprowadzić każe, i znowu nazad przeprowadzającym powracać. Dopiero zwołanemu wyżej pasa i płaczącemu chłopcu rzecze: „Ty na to urodziłeś się, ażeby kiedyś rządził narodem, roztrząsaj tedy wszystko, co robić masz, a raz postanowiwszy, z ostatnim azardem wykonywaj, albo rady dobrze radzących słuchaj.“ Podobną była prócz innych przytomność jej kiedy senat już potwierdzić miał komuś dawniejsze jakieś pismo, które wiele zysku z cudzą szkodą dawało składającemu go przed sądem, ale które było w porozumieniu za zmyślone. Katarzyna kazała sobie ten papier podać i przeciwko okna go rozwiniąwszy, znalazła (jak często w papierach to robili) rok, którego był ten papier robiony wyrażony, a rok daleko późniejszy od daty skryptu wspomnionego.

Po śmierci Katarzyny wstąpił na tron syn jej, Paweł, najbardziej lubiący sprawiedliwość, ale razem w najwyższym stopniu zapalający się. Za jego krótkiego panowania żołnierz od dawnej swawoli wstrzymany, kradzież skarbu poskromiona i bojaźń jedna wszystkie stany państwa utrzymywała.

Książę Repnin od imperatora Pawła wysłany

był posłem do króla pruskiego do Berlina, ażeby go namawiał do ligi z Moskwą przeciwko Francuzom. Ten książę, równie dumny, jak bywał za Katarzyny, która trzęsła Europą, nie mogąc długo nakłonić króla, rzekł mu nakoniec niecierpliwie: „Albo z nami królu, albo przeciw nam!“ Co tak obraziło króla pruskiego, że w głos przy inszych ministrach powiedział: „Jestem udzielnym królem i nikt mnie prawa pisać nie będzie, pamiętaj książę, że to Berlin nie Warszawa, ani Teshyn, żebyś z takimi tonami gadał.“

Doniósł o tem król imperatorowi, że dla tonów Repnina, co tylko był posłem prostym, tembardziej jeszcze swojej neutralności nie odstąpi.

Tenże książę, bawiąc w Berlinie, gdzie natenczas i posłowie rzeczypospolitej francuskiej, na których czele był Syés, znajdowali się, którzy przepisany dla swoich posłów sposobem po starorzysku w paludimentach prezentowali się, ni przed kim czapki wolności, chyba przed samym królem, na pokojach przytomnym, nie zdejmując. Obrażony tym ich postępkim dumny Repnin, Syésowi publicznie powiedział, że ten strój jego był prawdziwie teatralnym. Odwołany Repnin do Petersburga, popadł w niełaskę Pawła, odebrana mu gubernia litewska i prywatnie w domu swoim życia potem dokonał.

Ku końcowi rządów Repnina w Litwia król nasz, za rozkazem Pawła z Grodna przyprowadzony do Petersburga, gdzie wystawnie kosztem imperatorskim żyjąc, był tak nierozmysłny, że do cudzej już Warszawy po mąkę pszenną marymoncką kilka bryk posłał z Petersburga, jak gdyby się urągał żywiącym Rossyanom, że mąki dobrej nie mają. Ale nie jadł już z tej mąki, bo kiedy mąka do Grodna przyszła, on życia nieszczęśliwego dokonał w Petersburgu i Paweł imperator pogrzeb mu najwspanialszy wyprawiał. Leżał na bogatym katafalku z koroną na głowie w ogromnej sali, gdzie trupa przez dwa dni

odwiedzał Paweł, chodząc do sali, w której leżał, z mnogą świtą. Najpierwej wszedłszy, przy drzwiach nisko trupowi uklonił się, bliżej katafalku przyszedłszy, klaniał się jeszcze niżej, a przy samym trupie, ledwie ziemi, klaniając się, czołem nie dotykał, co wszyscy, przy nim będący, robić także musieli, a to w celu (jak mi potem generał rosyjski Kamiński, przytomny tej scenie, powiadał), że jeżeli trupowi królowi takie uszanowanie sam imperator czynił, jakże żywych monarchów ludzie szanować mają?

Na miejsce Repnina gubernatorem cywilnym grodzieńskim był Dymitr Koszelów, gubernator przeszły tobolski, wslawiony pochwałami za Pawła, na Syberyi wówczas będąc, a bardziej jeszcze głośny najłagodniejszym swym rządem w gubernii grodzieńskiej. Ze słodyczą wspomnieć, z jakim ten człowiek był przywiązaniem dla Polaków. Po Litwie, po Wołyniu szukał Koszelewskich, ażeby on Koszelow do nich należeć mógł i najmilsze mu zawsze było bawienie z nami, Polakami. Wiedziano o tem w Petersburgu i to było przyczyną, że go z grodzieńskiej na tambowską w starej Rosyi przeniesiono gubernią. On mnie nazywał swoim bratczykiem, a ja temu cnotliwemu człowiekowi, oddając książkę mego Platona, drukowanego natenczas w Grodnie, oddałem mu razem i wiersze osobne, jak wart był na pochwałę jego drukowane. Jemuż, tak cnotliwemu gubernatorowi Litwy, podałem był na piśmie projekt zbierania dobrowolnych składek w każdym powiecie, z których zebrana suma lokowana być miała na pewnych dobrach, a od niej coroczny procent miał być corocznie oddawany na posag dwojgu najuboższym, a razem mającym od powiatu zaświadczenie najcnotliwszym nowożeńcom, nie wyłączając od tej czynności dzieci nawet najuboższych wieśniaków, ażeby tym sposobem zachęcać lud ubogi do życia cnotliwego; ja sam sto dukatów ofiarowałem na tę składkę i ofiarując się kwestować w mym powiecie, spo-

dziewiałem się do 2,000 dukatów sumę przyzbierać. Przyjął ten projekt Kószelów z największem ukontentowaniem, ale go wypełnić nie miał czasu, bo w ćwierć roku odebrano mu tutejszą gubernię i wyjechał z Litwy.

Na końcu życia Katarzyny zaczął słynąć dziełami wojennemi Napoleon Bonaparte, potem cesarz Francuzów. Ten prócz inszych dzieł dawniejszych podczas anarchii republikańskiej, dyrektoryatu francuskiego, wysłany był do Egiptu, który to kraj wkrótce zawojowawszy, przeniósł się potem do Azji i tam dzielnie Turkom opierając się, dowiedziawszy się o nieszczęściach bezzładnej wtenczas Francyi, z największem niebezpieczeństwem swoim, otoczony zewsząd nieprzyjaznemi flotami Anglii, przebył morza i szczęśliwie na małej galerze stanął w porcie francuskim Frejus. Wkrótce potem pierwszym konsulem obrany, rzadką przewagą z kilkudziesiąt tysiącami nowo zebranego żołnierza przedarł się z tem wojskiem i armatami przez śniegiem od wieków zasypane góry alpejskie i niespodziewany stanął przeciwko Melasowi, generałowi, komenderującemu wojskami austriackimi, we Włoszech. Bitwa pod Marengo, którą zupełnie wygrali Francuzi, stanowiła o losie Europy i mocarstwa upokorzone, do traktatu w Amiens przystąpiły.

Ale Anglia, chociaż do tego traktatu pisała się, niespokojna z przemocy w Europie Francuzów, o nowej burzy skrycie rozmyśla, a potem pieniędzmi swemi głośną robi koalicję, cesarza niemieckiego i Rosyą ogromnemi na zapłacenie ich wojska, któreby tylko dać mogli, opatrując sumami. Do tej koalicyi król pruski przystąpić nie chciał i powiadają, że strasząc Anglików, prędzejby się złączył z Francuzami, niżeli z koalicją. Anglia, bojąc się tego, tyle mu dała pieniędzy za neutralność, ile tamtym dwom mocarstwom na utrzymanie wojsk ich.

Tymczasem Francuzi, sprzykrzywszy sobie 15-letni republikański nierząd, Napoleona Bonapartego cesarzem swoim obierają; sprowadzony z Rzymu papież, sam go w Paryżu koronował, w którym dniu całym pochmurnym w czasie wyrzeczenia słów przysięgi w kościele przez Napoleona, słońce się pokazało i znowu zaraz chmura go skryła. Lud z tego zdarzenia pomyślność narodowi wróżył, a więcej jeszcze, kiedy balon w dzień koronacyi z wypisem tej uroczystości na powietrze wypuszczony, burzą porwany, nazajutrz (jak się potem pokazało) niedaleko Rzymu znaleziony, sądziło powszechnie spólsztwo francuskie, że sam Bóg o ich szczęśliwości stolicy chrześcijaństwa Rzymowi donosił.

Wkrótce potem Napoleon i królem włoskim w Medyolanie koronowany, na wojnę przeciwko cesarzowi austriackiemu, złączonemu z rosyjskim, wyciągnął, i zabrawszy Ulm, a potem Wiedeń, stolicę cesarzów, stanął pod Austerlitz, a po dawnemu Szląków nazwanem w Morawii, gdzie jeden cesarz, ta szabla Boża Bonaparte, dwóch przeciwko siebie przywodzących osobiście cesarzów pokonał. Austriacki pokorą ujął zwycięzcę, że mało co straciwszy, pokój otrzymał; rosyjski do domu z resztą niedobitków powrócił.

Dopiero król pruski, zaufany w dawnej chwale wojsk swoich, złączywszy się z Rosyą, angielskimi pieniędzmi wsparty, koalicją Niemiec północnych robi, czarny manifest po gazetach europejskich przeciwko Napoleonowi ogłasza, i wkrótce zacząwszy wojnę z Francuzami, którym cesarz ich przywoził, decydującą batalią pod Jeną upada. Kraj mu cały opanowawszy i wszedłszy w kordon jego, od Polaków odebrany, narodowców naszych Polaków do zbierania się przeciwko Rosyi Napoleon rozgrzewa, czyniąc im nadzieję przywrócenia zgubionej ich ojczyzny. Kilkadziesiąt tysięcy naszych, złączonych z Francuzami, walczyli trzy ćwierci roku przeciwko

Rosyi, i chociaż ostatnią decydującą batalię wygrał Napoleon, przecież traktat z Rosyą w Tylży zrobiony, część jeszcze dawnego kordonu pruskiego do Rosyi przyłączył, a Polacy przy reszcie dawnego kordonu pruskiego, Księstwem Warszawskiem nazwani, pod panowanie króla saskiego dostali się.

Od upadku Polski w r. 1795, spokojnie siedząc w kolonii mojej, która z ostępu, dawniej Kraśnik nazywanego, dzisiaj się Karpinem zowie, uprawiałem rolę zapomniany od króla i panów, a samemu tylko w poprawieniu losu mrego, przemysłowi mojemu zostawiony. Mogłem mieszkać gdzie w mieście jakim i żyć z procentu 2 000 dukatów, które miałem natenczas, ale znając cokolwiek świata wielkiego, że ledwie na nim dziesiąta część ludzi znajduje się, z którymby niecierpliwemu żyć można było, żeby się z niemiłymi mi ustawicznie nie zdybywać, wolałem osiąść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego ogrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakież sposób odgrodenia się od złego człowieka, żeby mię nie nadszedł? Przysięść do tego należy, że kiedy mojej ojczyzny w zgromadzeniach między ludźmi nie zobaczę, cóż mię tam rozerwać i zabawić może? Ta myśl ze mną do stołu siada, z tą spać się kładę. Mam dom dosyć wygodny, i nikomu pałaców nie zazdrozczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad i dwie na wieczerzę, oto już cała uczta moja. Przy wielkim gościńcu mieszkając, miewam często i gości, ale jakże ich wiele jest, którychbym rad i nigdy nie miał. Jeden importun*), że często do miasta powiatowego jeździł, a droga mu koło mnie przypadała, nigdy nie opuścił, ażeby mię kilka godzin gadaniem bez związku żadnego nie nudził. Ani u sąsiadów moich będąc, więcej nie żądam, nad ulubieńsze mi kaszę i pierogi. Opodal trochę odemnie, jesteś przy-

*) Natrętny.

(Przyp. wł.)

jacielu Stryjeński i coś jeszcze jest, co mię czasem do domu twojego odstręcza, a ty cnotliwy Badeni, w inszym kordonie mieszkający i więcej stu milami odemnie oddalony, jakże się przyjaźnią twoją pocieszyć mam! Tu w powiatach okolicznych jakże już wiele nabiegałem się, a przyjaciela znaleźć nie mogę. Miałem go niby, kiedy on był nieszczęśliwym po upadku ojczyzny, bawiłem go w smutku, ratowałem pieniędzmi i cieszyłem ubóstwo jego. Trochę potem zapomózony zrobił się dla mnie pysznym i znowu nieszczęśliwy do mojej się uciekł przyjaźni, ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego już się ku niemu nawrócić nie chciało, i byłem stały nie dbać o niego potem. Inszy magnat niby z powodu przyjaźni dla mnie ofiarował mi 3,000 dukatów, bylebym przy nim mieszkał, podziękowałem za dar tak piękny, nie podejmując się mieszkania przy nim, chcąc być wolnym od śmierci, zwłaszcza kiedy mi na kawałku chleba i wygodzie w domu moim nie zbywało. „Ale (powiedziałem) z daru tak pięknego, który jegomość ofiarować chciałeś, widzę to, że mię lubisz, otóż przez wdzięczność bez żadnej pretensyi, zwłaszcza niedaleko od pana mieszkając, kilka razy na rok w dom pana przyjadę i po kilka niedziel bawić będę.“ Przyjął magnat ukontentowany przyrzeczenie moje, i zaraz wtenczas u niego trzy niedziele bawić obiecałem. Po kilku dniach mieszkania w jego domu, o coś posprzeczaaliśmy się z sobą i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny, na dowód tego co mówię, a pan daruj mi, żadnej nie masz. On wtenczas rozgniewany: „A wpan widzę lubisz się sprzeczać.“ Ja mu zaś na to: „Tak jest, mój panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od jegomości, które, gdybym był przyjął, jakaś wdzięczność kazałaby mi zawsze powtarzać, tak jest, panie dobrodzieju.“

Inszy magnat, otoczony równymi jak sam ma-

gnatami na bogatej gali, z samymi tylko orderowymi rozmawiał, a na uboższych ani oka zwrócić nie chciał. — Zacząłem coś mówić do niego, nietylko mi nie odpowiedział, ale nawet z jakąś pogardą ręką kiwnął, żebym się z nimi nie mieszał. Wtenczas ja, wzruszony pogardą mnie okazaną, rzeknę mu, do jego tylko pychy stosownie: „Wy, magnaci, zawsze szczęśliwsi jesteście od nas ubogiej szlachty, bo jak dawniej, tak i teraz pod rządem rosyjskim, wy we wszystkim macie preferencyą.“ Na to niespodziewane zagadnienie z pychą spyta mnie magnat: „W czemże to takim mamy preferencyą?“ „Oto (odpowiedziałem) zaraz po upadku Polski, wy najpierwsi magnaci pięścią w pyski braliście, a potem niektórych z naszych ubogich policzkowano.“ Mówilem to śmiało, bo blisko siedział i słuchał generał rosyjski, lubiący mnie i w tym powiecie komendę mający, który wkrótce mnie jeszcze pochwalił, mówiąc: „Dobrześ mu powiedział, bo dumny durak.“ Magnat zaś zrobił się dla mnie potem najgrzeczniejszym.

Do inszego magnata w inszem zgromadzeniu, tony sobie dającego, rzekłem: „A pan też podatek wypłacił imperatorowi?“ On rzekł: „Skądżeto? wypłaciłem.“ A ja mu na to: „I ja wypłaciłem, i tak, chociaż już nie mam ojczyzny mojej, przynajmniej nie znęcają się nademną, jak dawniej w anarchii polskiej wielkomożni, i mogę im prawdę powiedzieć bez bojaźni zemsty ich.“ Insi moi, to niby w okolicach tujejszych przyjaciele, przyszedłszy do honoru jakiego w powiecie swoim, zaraz tonem pysznym ze mną rozmawiać zaczęli, a po upłynionym urzędzie znowu grzeczni, jak dawniej, ale mię już do siebie nigdy przyciągnąć nie mogli. Oni głupi! myśleli, że urząd robi człowieka zacniejszym, zapomniawszy, że pokorną cnotą najwyżej się podniesiemy. Insi zabierali przyjaźń zemną, żeby co zyskać, a widząc, że się im nie udaje, porzucili. Insi, widząc mnie, mającego jakiś szacunek między ludźmi, nazywali mnie w do-

siedzeniach swoim przyjacielem, co mnie jeszcze, że byli ludźmi niecnotliwymi, wstydziło. Insi nakoniec, a tych najwięcej, którzy mnie wychwalali i grzeczności wyrządzali, w jedynym celu, żebym co na ich pochwałę napisał. Ale po wierszach moich, pod tytułem: „Żale Sarmaty,“ jeszcze na początku panowania Pawła napisanych, jak w nich dałem sobie słowo wierszów odtąd niepisania, tak dotąd żadnych nie pisałem.

Ta magnatka najwięcej mnie w oczy chwaliła i najgrzeczniejsze do mnie pisała listy, a pieniędzy moich od lat kilkunastu odebrać od niej nie mogłem, i jeszcze mnie w wyplacaniu procentu krzywdziła. Insza, pyszna nad miarę, ulegać sobie we wszystkim żąda i najmniejsze jej sprzeciwienie się uchybieniem nazywa, chce niby przyjaźni mojej, ale boi się, czy się tem nie poniży, że się moją nazwie przyjaciółką. Insza mając nadzieję za lat moich młodszych, że z nią zawrę ślub sumienny, kiedym odpowiedział, że to zrobić może i z swoim lokajem, a ja nie będę mężem żony, która się imienia mego wstydzić ma. Odtąd najzimniej zemną, chociaż najgrzeczniej postępowała. Insza, gromiąc służących swoich, świadczyła się mną przytomnym: „Wszak prawda (rzecze), że samo pismo święte panów bogami ziemskimi nazywa.“ „Tak jest (odpowiedziałem), ale to było wtenczas, kiedy bałwany adorowano na ziemi.“ Insza nakoniec, żem na jej faworyta pochwały od niej dawane milczał, straciłem łaskę, ale cóż z tem czynić, kiedy faworyt wart był szubienicy! Nie wspominam tu żadnego z magnatów, ani z magnatek po imieniu, mogą się oni poprawić—a ja nie jestem bez grzechu.

Po Replinie i Koszelewie, Rosyanach, którzy mnie lubili, policzyć trzeba trzech Georgianów, w wojsku rosyjskiem służących: generała księcia Bagrationa, księcia Cycyanowa i pułkownika Jakowlewa. Znałem dobrze tych trzech ludzi, że wszyscy serce najlepsze i szczerą rzadką mieli. Bagration, konsy-

stujący z pułkiem swoim o 2 mile odemnie, tak mnie był ukochał, że mnie duszą swoją i największym przyjaciелеm nazywał, był rozrzutny i byle co pieniędzy zebrał, zaraz bał dawał. Nie mogłem go od tej skłonności odwieść, wszelako wychodząc na wojnę przeciwko Francuzom za Pawła imperatora, obiecał mnie i Sicheniowi staroście, że byleby co pieniędzy na tej wojnie zebrał, nam wspólnym przyjaciołom do rąk oddać miał, ażebyśmy mu za nią wioskę jaką niedaleko od nas kupili, gdzieby z nami, podziękowawszy za służbę wojskową, do śmierci mieszkał. Sprawił się dzielnie na tej wojnie i Paweł imperator jeszcze będącemu w Niemczech 26 tysięcy rubli z kasy wojskowej wyliczyć kazał. My, o tem dowiedziawszy się, już z Sicheniem gotujemy się na kupienie mu wioski jakiej, ale w pół roku, powróciwszy z wojny, nic już pieniędzy u niego nie zastaliśmy, bo tamte (jak mówił) w Pradze na trzy bale wykspensował.

Kiedy po powrocie swoim stał Bagration w Wołkowsku, znalazłem tam u niego kałmuka, wziętego od kozaków Dońców, a dla osobliwszego składu twarzy tego człowieka na sługę pokojowego obrócono. Mówił ten kałmuk dobrze językiem mało rosyjskim, który ja dosyć rozumiem i rozmówić się z nim mogę. Pytałem go, czy ma żonę, odpowiedział, że i córki; kiedym go zagadał, że tam żona jego za Wołgą zostawiona, pewnie mu niewierna, on mnie rzecze: „Czy żona, czy córki moje, kiedy kogo lubią, za cóż mu nie mają dobrze uczynić, ale gdyby kto gwałtem łaski się u niego napierał, ja (gdybym był przytomny) albo i one same życie mu odebrać mogą.“ Dowiedziawszy się od niego, że nie jest chrześcijaninem, pytałem, jak ich naród wierzy o duszy ludzkiej? Powiedział, że nieśmiertelna, i trupa człowieka, który żył niegodziwie rzucamy (mówił) w wodę, albo psom na pożarcie dajemy, cnotliwego zaś pogrzebem czcimy. Prosił potem mnie najusil-

niej, żebym za nim prosił księcia Bagrationa; ażebym go uwolnił od służby, chociaż zyskowej i wygodnej, bo wolałby nad wszystko powrócić do swoich nad Wołgę. Cóż cię tam tak nęci? zapytałem. A on mi na to: „Tabun, trawa, Wołga, aksny, ryba,“ to jest, że nad pastwiska i stada lepszej zabawy niema, nad wodę z Wołgi lepszej wody nigdzie nie pije, i nad rybę, tamże poławiającą się, aksny nazwaną, smaczniejszego nie zna pożywienia. Takto, choćby gdzie nam najlepiej było, w ojczyźnie swojej zawsze najmilej. Ale kiedym go pytał, jak się Bóg w ich języku kałmuckim nazywa, padł na kolana i, złożyłwszy ręce nad głową, powiedział: wiem o jego u nas nazwisku, ale przez największe tego świętego imienia uszanowanie, nigdy go nikt z nas nie wymówił, chyba wtenczas, kiedy kogo młodego z krajowców naszych przez obowiązek sumienia nauczyć imienia tego potrzeba było. Toż samo i żydzi tego słowa Jehowa, które znaczy Boga najwyższego, w hebrajskim nigdy nie wymawiają, tylko, przeczytawszy go w księgach swoich, myślą i schyleniem się szanują; a my, nibyto oświeceni chrześciance, w naszych żartach, rozrywkach, dalibóg, jak Boga kocham, przysięgam Bogu, w potocznych dyskursach naszych zażywamy, a często i fałszów jeszcze naszych wezwaniem imienia Boga popieramy. Co się tycze żydów, że tego imienia Bożego Jehowa nie wymieniają, następujące zapytanie po hebrajsku żyda jakiegokolwiek, każdy pod zakonem odpowiedzieć obowiązany; pytam go zaś z twarzą seryo, Judo to? on koniecznie odpowie kendybaro. Pytam dalej: bamajdo? on odpowie bamilo. Tak przez zakon swój, za kwitnącego jeszcze królestwa żydowskiego obowiązani byli witać się z sobą żydzi, zdybawszy się, tak i teraz muszą odpowiedzieć, ale ze wstydem widząc się upodlonymi na ziemi, a najlepiej we Lwowie, faktor mój, żyd żartobliwy, kiedym go zapytał: judah? odpowiedział: parchato.

Jak się wyżej rzekło, że rok bawiąc przy księżcu Dominiku Radziwille, dziecku natenczas w Zabłudowie, dla formowania jego obyczajów, 1,000 dukatów corocznie mi od opiekuna obiecanych, za rok ten jeden nie odebrałem, mimo tyle listów moich do nowego opiekuna, księcia Michała Radziwiłła, wojewody wileńskiego pisanych, pieniędzy moich przez lat trzynaście nie odebrałem, bo on (jak wszyscy wiedzą) o swoich tylko, nie o małoletnich myślał intratach.

Po wyjściu z opieki małoletniego Radziwiłła, zaraz pojechawszy do niego do Nieświeża, nazajutrz pieniądze mi zupełnie oddane były. Ale pierwej oddałem mu niby memoryalik, w którym krótko wyraziwszy interes długu mojego, takim go kończę apologiem: „Altamor był jeszcze dziecięciem, a Polidor w lecjach podeszły, prowadził za rękę, ażeby ani po górzystych miejscach chodząc, upadłszy, nie szwankował, ani po dołach w błocie się nie zwał. Przyszedł czas, że Polidor, zestarzawszy się, spokojnie już w chacie swojej siedział, wtenczas przyszedł do niego Altamor i rzecze: Tyś mię prowadził w dzieciństwie mojem, ja przyszedłem cię w starości twojej ratować, kładę przy tobie chleb, byś wygodniej starość twoją przepędzał. Bóg wtedy spojrział z nieba na ten piękny wdzięczności przykład, i ponieważ Altamor nie miał już ojca, ani matki, do niebian swoich rzecze: „Ja temu cnotliwemu młodzianowi stanę odtąd za ojca i matkę W. ks. Mość jesteś Altamor, a ja Polidor, który interes mój względem jego polecam.“ Oddawszy mi książkę pieniądze, nie chciał mię jeszcze przez tydzień z Nieświeża swojego wypuścić, gdzie stojąc u Dominikanów, którzy tam mają nauki dla swojej młodzieży teologiczne, takie Ojcom teologom z prawdziwego zdarzenia zadałem pytanie: Dziakowski, młody litwin, z siedmiu swymi równie młodymi kolegami, edukował się w Królewcu na księdza kalwińskiego, był to młodzian najcnotliwszy i najle-

piej się uczący. Wyszli raz zrana koledzy jego do ogrodu, przy kamienicy będącego, i znaleźli na drzewie powieszonoego, już nieżywego Dziakowskiego, z takim napisem na ćwiartce papieru, przypiętym na piersiach: „Ojcze niebieski, idę do Ciebie, chociaż mię jeszcze nie zawołałeś, bo mi bez Ciebie tęskno.“ Pytałem Ojców teologów i razem przeora ich, co też Bóg zrobił z tą ofiarą, kiedy w naszych ustawach nie może być w niebie tylko katolik; z drugiej strony Dziakowski, przejęty miłością Boga, przekonany, że jego wiara najlepsza, bo nie rewokował, obiera sobie śmierć najhaniańbniejszą, bo powieszenie, byleby prędzej Boga swego widział, jakże go Bóg sprawiedliwy za to potępić ma? Stanęli teologowie, nie wiedząc, co odpowiedzieć i przecież ksiądz przeor z litości do nieba wpuścił Dziakowskiego.

Poznałem także w Nieświeżu sektę żydowską, kitajowców w Litwie nazwaną, że nic wełnianego, chyba kitaj albo płótno nosić nie mogą, powszechnie zaś są gatunkiem karaimów, czyli żydów, prosto trzymających się tekstu, a Talmud i wszelkie inne podania odrzucających. Prosilili oni u rządcy lasów nieświeskich o drzewo dla siebie na bożnicę, oni mi odpowiedzieli, że do tej zgromadzać się nie mogą. Różnica zaś ich najpierwsza od innych żydów i wszystkich ludzi podobno jest ta (jak mi ciż kitajowcy natenczas odpowiedzieli), że w nieszczęściach wielkich śmierci ojca, żony, dziecięcia, przyjaciela, pierwszego dnia płacze, bom człowiekiem, ale przeklęty, kto płacze nazajutrz, bo nie wierzy w Boga, za którego zarządzeniem wszystko się dzieje. Rabin kitajowców mówił do mnie z takim wzruszeniem, że poznać można było, iż mówi z serca i uczy mię razem wiary w Boga mojego.

W tęsknicy domowej osobności najwięcej bawią mię książki i gitara, książek mi najpiękniejszych pożyczał, grzeczny dla mnie jak dla innych w powiecie obywatelów, blisko w Szereszewie konsystu-

jący z pułkiem swoim generał rosyjski Kamieński. Młody ten panicz dawał to często poznawać, że był synem feldmarszałka, i ja wymawiałem mu to w poufaleści, którą do niego miałem. Insi się płaszczyli przed nim, ale mnie on považał, bez mego upodlenia żyjąc z nim. Między książkami, które corocznie mu z Francyi najnowsze przychodziły, była i książka, par Mr. Michau, o wierze, prawach i obyczajach Indyjanów, i tę przetłómaczyłem na język polski, wyrzuciwszy z niej wiele mniej ciekawych opisów. Przed wyjściem nieco i po wyjściu generała Kamieńskiego pod Austerlitz. zaczęły się kłopoty koło nas, które wojska, przechodząc tędy, koniecznie za sobą prowadzić muszą. Kilkunastu generałów w domu moim w przechodach swoich almakowało, a wieśniacy moi biedni, czasem każdy po 40 żołnierzy na noc do jednej chaty z obejściem przyjmować musieli, dając darmo żołnierzowi barszcz i krup trochę, chleb zaś trzy funty na dobrą wagę płacony. Kogóż łzy ludzi płaczących rozerwać mogą?

Między generałami, którzy u mnie bywali, był generał Hlebów, bogaty Rosyanin. Miałem tylko dwa osobne pokoje dla gości, które mu ofiarowałem, ale przyszedł z prośbą, ażebym jemu samemu pozwolił przed pokojem u mnie nocować, gdyż tamte, dane mu, ledwie syna jego i służących obejmą. Pozwoliłem — ale może do 3-ciej po północy raporta do generała przychodzące i różne głośnie gadania przed pokojem spać mi nie pozwoliły. Nazajutrz pytam go, czy spał wygodnie w domu ubogiego Karpińskiego? a on mię zapyta: „Alboż wy Karpiński, i czy nie ten, co wiersze pisywał?“ Kiedy mu się przyznałem, że ten sam, kazał sobie przynieść żurnal miesięczny, drukowany w Moskwie, w którym mi czytał wspomnienie o mnie w takim składzie: „że w najnieszczęśliwszych czasach Polski, najbardziej tam kwitnęła literatura, którą podnieśli, prócz inszych, Naruszewicz, Krasicki i Karpiński.“ — Stał u mnie przez trzy dni

Hlebów i już noclegi miałem najspokojniejsze, a przez trzy dni u mnie bawiąc, zawsze, aż przesadzał grzechnościami dla mnie.

Drugi generał Jazów, Rosyanin, mało znam ludzi, mających tak dobre serce, jak jego poznałem, bez najmniejszej pychy, i myślał tylko, jakby biednym ludziom dobrze uczynić.

Trzeci generał Lewicki, między podobnymi sobie najpyszniejszy, kiedy do niego mówiłem małorozyjskim językiem, on mi powie, żebym mówił po polsku, bo ten język rozumie.

Oficerowie jego powiedzieli mi, że on jest Polak pierwszego zaboru, z Połockiego. Wstydzilem się za niego, że on się wstydził przyznać, że jest Polakiem. Ale rzecz dziwna, że jak on był najcięższym w stanowisku swoim na wiosce mojej, tak potem każdy oficer z Polaka był jemu podobnym, uciskając ludzi naszych, tony sobie nieszczęsne dając, a to, że będąc oficerem rosyjskim, już my bracia jego dawniejsi za niższych od niego poczytani.

Bawił mię czasem w mojej osobności, ale najwięcej głupstwami swojemi nudził, w sąsiedztwie mieszkający, i często przejeżdżając. wstępujący do mnie Niemiec spolaczały. Mnie szanował, że był (jak powiadał) na akademii. Ministeryum pruskie, skąd on był rodem, prznosił nad wszystkie europejskie, że wszyscy tamtejsi ministrowie byli na akademii. Kiedy za panowania Pawła, generała rosyjskiego Hermana, który był wylądował z Rosyanami w Holandyi, wzięli w niewolę Francuzi, wziął go zaś prosty grenadyer francuski, głupi mój Niemiec utrzymywał, że nie śmiałyby i nie mógłby prosty grenadyer brać w niewolę generała rosyjskiego, ale to był generał francuski, który miał nazwisko grenadyer i tak dopiero generał mógł wziąć w niewolę generała. Nie mogąc się inaczej zbyć w domu nudnego tego głupca, kazałem chłopcu pilnować, jak tylko na dziedzińcu się pokaże, żeby wybiegł ku niemu i powiedział,

zem już umarł i pochowany. Żałował mię zaraz bardzo, ale dowiedziawszy się, że to ja dla niego tylko umarł, już mnie, na szczęście moje, nie odwiedza.

Żeby umartwienia, które zwyczajnie wydarzają się w gospodarstwie, uniknąć, od kilku lat oddałem rząd cały w kolonii i dochody z niej roczne wnukowi mojemu po rodzonej siostrze, Franciszkowi Kozierodzkiemu, a on z tych dochodów żywić mię, dwóch ludzi moich i trzy konie powinien, resztę potrzeb ułatwiam z procentu, który rocznie odbieram od 4,000 czerwonych złotych.

Dawniej, kiedy sam jeszcze rządziłem, on miał klucz od śpichlerza, w którym gorzalka w kufach chowana; pokazało się po przemierzeniu, sprzedając kupcom, że w pół roku bycia jej pod kluczem jego nie stało gorzalki podług percepty garncy dwieście kilkadziesiąt. Ja w pierwszym impecie zapalczywy, że czasem aż chorowałem, o czym on wiedział, rzuciłem się do kija na niego, a on klękawszy, rzecze: „Przez moje niedbalstwo, że klucz czeladzi dawał do śpichlerza, gorzalka ta pewnie skradziona, bij mię jego-ność, a nie gniewaj się, bo gniew zdrowiu dziadunia szkodzi. Opuściłem ręce i bić go nie mogłem, kiedy tak serce jego do serca mego przemówiło.“

Chciałem go żenić, żeby weselej z kobietami w domu moim było, ale kiedy już narzeczona, przyszła żona jego, zadyktowała mu, aby zaraz karetą dla niej, sześć koni i liberya była galonowana, porzucił fircyczkę, chcąc w domu gospodarnej, nie zaś trwoniącej majątek żony, jaką potem pojął, gospodarną i poczciwą kobietę, z której piękne ma dzieci. Wyjeżdża on corocznie po procent do księżnej krajczynej Sapieżyny na Wołyń, ponieważ z tamąd mil kilkanaście tylko do ojca jego, w kordonie austriackim mieszkającego, kazałem mu, ażeby siostrę swoją od ojca do mnie przywiózł, żeby (ponieważ już była 18-letnia, jak mi mówił brat jej) i domem moim rządziła, i tenże dom, prawdziwie klasztorny, bez ko-

biet, rozweselała. Stało się, jakom żądał, i panna Katarzyna, jadąc do mnie od ojca, wstąpiła z bratem w dom księżnej krajczyny Sapieżyny na Wołyniu, w czasie balu u tejże pani; fircyków wołyńskich mnóstwo i panien tamtejszych zgromadzenie, bawilo się najweselej, a moja Kasia, blisko księżnej siedząc, pończoszki robiła. Sama księżna napisała mi to, że mówiła jej, aby się oraz z drugimi pannami bawiła, a ona jej odpowie: jakaż dla mnie zabawa, kiedy tu nikogo nie znam, nawet pisała mi księżna, iż oka nawet na bawiącą się młodzież nie podniosła. Uważał to w kompanii będący młodzian, Walenty Polanowski, starosta ostrzki, majątny obywatel tamtejszy, i widząc pannę przystojną, bo między pięknymi prawdziwie rachować ją potrzeba było, a do tego patrząc na nią tak skromną, rozkochał się w niej, który tyle już partyj przez bojaźń dostania złej żony odrzucił. Bawiła u księżnej więcej tygodnia wnuczka moja i miłość do niej Polanowskiego wzmogła się, wreszcie przyjechała z bratem do mnie, z listem księżnej, o wszystkim mi donoszącym. Znalazłem Kasię prawdziwie piękną, ale co pierwsza, cnotliwą, gospodarowała mi w domu najlepiej, o Polanowskim zaś zawsze myślałem, że jak się zajął prędko ten ogień, tak i zgaśnie prędko. Aliści po 7-miu niedzielach bawienia w domu moim tej gospodarnej dziewczyny, przyjechało do mnie szczęście jej, Polanowski, z usilnemi za nim prośbami księżnej i matki jego, ażebym mu tego małżeństwa nie odmawiał. Cóż miałem robić, kiedy to dla mojej Kasi tak pomyślnem było, a nadewszystko, znalazłszy Polanowskiego grzecznym, cnotliwym, edukacyjnym, i jak teraz majątku więcej dwóch milionów mającym. W tygodniu ślub im w moim pokoju dany i najszcześniejszymi dzisiaj są małżonkami. Zdarzenie to zastanawia mię nad losem ludzkim na świecie, inszy biega przez całe życie, i zdybać, choć umyślnie szuka, szczęścia swojego nie mógł, a tej sama fortuna szuka.

Polanowski najgrzeczniejszym jest teraz dla mnie, pisuje często, przysyła albo ciekawe książki francuskie, albo polskie druki i pisma, jak świeżo z Wołynia przysłał mi proces między Szczęsnym Potockim i generałem Złotnickim, gdzie ci dwaj zdrajcy ojczyzny zadają sobie w aktach publicznych, jako jeden drugiego na zgubę ojczyznę Polski, i na uciemnienie obywatelów natenczas podżegał.

Już umarł Szczęsny, tym procesem znękany i mimo bogactw jego, pod gołem niebem leży, że kilkanaście tysięcy czerwonych złotych na kościół w tem miejscu, gdzie grób jego wyznaczono, sukcesorowie w karty przegrali. Wdowie po nim podchlebny Trembecki wiersze napisał, że połowa świata nad nią się zadziwia, a druga połowa jej zazdrości: przecież ona znana między nami tylko, że była kiedyś piękna.

Umarł niedawno na Wołyniu i drugi zdrajca ojczyzny, Miączyński, marszałek gubernii wołyńskiej, ale ten, ruszony sumieniem, przed samym zgonem pioruny z obłoków ściągał, ażeby go ubiły, za zdrady ojczyźnie swojej wyrządzone, a przytomnych przed śmiercią jego obywatelów prosił, ażeby na niego plując, nogami go deptali, czyby tak nie zbył się zgrzyzoty, którą go zguba narodu niszczy.

Siedząc po większej części w domu, że po kompaniach obywatelskich nieznośni mi się zrobili fircyki. czyli zepsuta młodzież terażniejsza, która, nie lubiąc czytania książek i nie mając wiadomości rzeczy żadnych, wszystkoby decydować chciała, a nic gruntownie nie powie. Siedząc, jak mówię, w domu, napisałem najulubieńszą mi książkę: „Rozmowy Platona z uczniami swoimi,“ i tę wydrukowaną imperatorowi Alexandrowi przypisałem, któremu, nie możnaby żądać dogodniejszego narodowi monarchy. Przysłana mi od niego tabakierka kosztowna, pamiątką będzie, jak był łaskawym na mnie. Książka ta uczy ludzi religii, jaką naturalnym rozumem wystawić

sobie można, uczy razem i obyczajów, to myślałem, że może kiedyś obejrzą się ludzie i przypomną sobie cnotę, o której dzisiaj zapominają. Druga część tego Platona dotychczas nie wyszła, że ponieważ ona traktować miała o rządzie, ta materya, w terażniejszych okolicznościach, ślizką zdała mi się i wołałem nic nie pisać, aniżeli pisać fałszywie. Wszelako zebrane myśli i moje i z inszych autorów w przydatku do tej historyi ludzi ze mną żyjących, którą teraz piszę, będą wypisane, gdzie i reszta myśli moich, od Platona już wydrukowanych pozostałych, umieszczone będą, gdzie razem położę i insze pisma moje, które w druku jeszcze nie były. Gdyby był król albo magnaci, tyle mi się oświadczający, o poprawieniu losu mojego myśleli, byłbym mógł zapewnie, nierównie więcej dzieł moich zostawić, ale głodnym będąc, wziąłem się raczej do roli, co mi teraz starość wygodniejszą zrobiła. Chciałem pisać poema, pod tytułem: „Bohater Straszny,“ jako jest już książka z włoskiego dawniej przetłumaczona, gdzie w mojem dziele ten ni-by Don Kiszot miał wojować z Bogami niebieskimi, półbogami ziemskimi, bogami wód i piekielnymi, wszystko to w wesołym sposobie wyrażone, dzieciom zabawką, a razem nauką byłoby mitologii. Chciałem opisanie wierszem terażniejszych państw Europy, co także młodzieży dla nauczenia się łatwiejszego geografii byłoby użytecznem. Tyle prócz tego notatów na różne tragedye i komedye, jako zabierających mi czas do gospodarstwa potrzebniejszy, które mię i wyżywiać może, popaliłem. Zostały tylko rozmowy Platona we francuskim języku przez kapitana Sempni przetłumaczone, i manuskrypt pod tytułem: „Dzieciom dla ich zabawki, historyi ciekawszych dawnego świata zebranie,“ który ten manuskrypt dla dzieci już jest w druku w Wilnie.

Co się tyczy emigranta Francuza Sempniego, następujące zdarzenie zrobiło mi go najprzychylniejszym. Słyszałem o nim, że z inszymi nieszczęśliwymi

emigrantami pod wodzą księcia Kondeusza, bawił na Wołyniu około Dubna. Zapewniony o jego statku i talentach, pisałem do niego nieznanomy do nieznanomego, ażeby przyjechał do Litwy, w okolice moje, a wystarałbym się mu sposobu jakiego życia. Był Sempini kapitanem w wojsku francuskim, a znalazłem go kiedy na mój list do mnie przyjechał, mającego uczciwą edukację. W sąsiedztwie swoim, w domu pułkowników Engelhartów, uczył synów języka i geografii, z pensją kilkadziesiąt dukatów; widząc, że to małem było dla niego poratowaniem, sprowadziłem aż z Mozyrskiego synów oboźnego litewskiego Prozora, a z inszemi z sąsiedztwa mojego dziećmi pensya jego do 300 dukatów corocznie przychodziła.

Bawił mnie dom Engelhartów, gdzie ten pocciwy Francuz z dziećmi swojemi bawił, i jak w wieku moim terazniejszym z dziećmi się bawić dla mnie najmilej, aby ich czego nauczyć, tak i oni ze mnie pożytek, a ja z nich rozrywkę miałem. Wdzięczny mi Sempini napisał piosnkę francuską na pochwałę moją, w której i swoją dla mnie wdzięczność wyraża. Tę pieśń śpiewały z nim dzieci jak przyjeżdżałem w dom ich, i chociaż potem przeniósł się w dom inszy, ja i tam o nim nie zapomniałem, albo bawiąc, albo przynajmniej do uczniów jego pisując małe listy w materyach moralnych, ażeby mi w języku francuskim odpisywali, bez dokładania się guwernera, tylko jak sami myślą. Sempini się od kilku lat oddalił na miejsce zyskowniejsze, ja moją domową tęsknotę, często przerywam, jeżdżąc do domu tej cnotliwej obywatelki, wojskiej Laskowskiej, gdzie córka jej z inszemi kilką cnotliwemi panienkami pod guwernantką zdatną edukowała się. Tam mi najmilsza zabawa była z dobrymi temi dziewczętami, zadawałem pytania u nich będąc z tego, czego się uczyły, a oddalony pisując także do nich listy w materyach oby-

czajów. Prócz tego emigranta, sprzyjał mi się być, chociaż na krótki czas, z drugim: Comte de la Ferrone, bawiąc kilka niedziel w domu księżny krajczyny Sapieżyny na Wołyniu, który takim osobliwszym zdarzeniem znalazł się w domu księżny. Księżna krajczyna, młodą będąc mężatką, bawiła w Paryżu i miała znajomość z panem de la Ferrone, natenczas pułkownikiem. Potrzebna pieniędzy, jako nieznaną, pożyczyć ich tam nie mogła. Pułkownik de la Ferrone zaręczył za nią w banku, pożyczono zaraz 2,000 dukatów i w terminie wyznaczonym z pieniędzy z Polski dla niej przybyłych dług zapłaciwszy, wkrótce do Polski powróciła. Po trzydziestu kilku latach, kiedy księżna w dobrach swoich wołyńskich za Dubnem bawiła, dowiedziała się, że jakiś generał de la Ferrone jest w Dubnie z księciem de Condé, pisze do niego list, dowiadując się, czy nie ten sam jest, który ją ratował kredytem swoim w Paryżu. Kiedy odpisał, że ten sam, posyła po niego karetę z prośbą, ażeby do niej przyjechał; zrobił tak jak żądała; przyjechawszy, poznali się, ofiarowała mu w domu swoim wygody wszystkie, prócz których jeszcze 100 dukatów corocznie na potrzeby jego dawała, a tak on u niej będący bez sposobu innego, nieszczęśliwy emigrant, który niegdyś do 300,000 franków z dóbr swoich liczył, do swojej śmierci osiadł, która po kilku latach nastąpiła. Jakież to zdarzenia teraz na świecie zdarzają się; kto by się był spodziewał, że ten dawniej bogaty pan we Francyi, bo do 40,000 franków intraty posiadający, będzie kiedyś kawałka chleba żadnym i w domu cudzym na kilkaset mil od swego kraju odległym, za dobry swój uczynek, żywionym do śmierci będzie. Ulubiwszy ja tego starca, u księżnej bawiącego, kiedy raz doskonała jej muzyka grała tkliwie marsz emigrantów francuskich, ja, bliżej orkiestry stojący, rozrzewniłem się nad stanem poczciwego a nieszczęśliwego tego emigranta, a razem rozrzewniony i naszymi nie-

szczęściami, żeśmy ojczyznę utracili, przybliżywszy się do Ferrone, z uczuciem największem rzeknę mu do ucha schylony na ramiona jego: „Ty nieszczęśliwszy odemnie jesteś, bo ja chociaż straciłem ojczyznę moją, ale przynajmniej między braćmi moimi żyję—ale ty daleki od rodziny i ojczyzny na cudzym kawalku chleba śmierci czekasz.“ Porwie mnie za szyję Francuz i ściskać zacząwszy, krzyknie rozrzewniony: „Masz przyczynę tak mówić.“ Goście przytomni rozrywać nas zaczęli, rozumiejąc, żeśmy się pokłócili, a nas żal wspólny łączył.

Ale porzućmy cudze smutki, dosyć mając i swoich. Kiedy w r. 1807 o kilkanaście tylko mil odemnie, były zawzięte i długie walki Francuzów z Rosyanami, gdzie od kilku miesięcy po kilkadziesiąt tysięcy trupów w zimowej porze niepogrzebionych pod niebem na kupach leżało. W tem człowieczeństwa nieszczęściu, wspomniawszy na tyle świeżo srogą wojną zabitych, takem był sobie obrzydził mięso, że go jeść nie mógł. A widząc często koło karczmy mojej idących o jednej ręce, albo różnemi sposobami skaleczonych, chleba kawalka żebrzących żołnierzy biednych rosyjskich, którym urzędnicy magazynowi żywności nawet w ich kalectwie nie dostarczali, nieraz z największem wzruszeniem serca pomyślałem: O kiedyż zstąpi na ziemię bóstwo to, dobroczynny człowiek, mężny i litośny razem, kiedyż poznaćwszy granice, a w zdarzeniu krzywdy jakiej jednego od drugiego sąd deputowanych Europy naznaczy, którego wyroku jeśliby ktoś słu chać nie chciał, wtenczas wszyscy europejscy samowładni przeciwko niemu walczyć mają? Wtenczas to ten mąż znamienity, do tych czas po lasach tylko i ustroniach pokój kryjący się sprowadziłby do miast i wiosek naszych, gdzie wesoly mieszkanięc kontent, wyrobiony przez siebie chleb pożywałby, aniby mu go głodny, a czasem tylko zuchwałby żołnierz z rąk nie wydzierał. Jakże nas w tej mierze zawstydzają

te dzieci Bramy, niewinni Indyanie, którym zwierzęcia nawet, a już dopiero człowieka nie godzi się zabijać. My ich zwiemy barbarzyńcami, ty, Boże, rozsądź, któryś na ziemi posadził ludzi, ażeby mnożyli się, rośli i kochali się, a oni się wadzą i zabijają, kto z nas barbarzyniec?

Ja okropnością wojen ustawicznych zmordowany, tym fałszem ludzi, którzy mnie otaczają, że z nimi żyć muszę, odstręczony od świata, nie mogąc mieć rozrywki z czytania dla słabości oczu, ani z pisania czego dla niedostatku z wiekiem myśli i wyrazów, które kiedyś w głowie mojej jak w zapaśnej komorze zaraz znajdowałem, a teraz ten mój magazyn zupełnie pusty, czekam spokojny śmierci, ani jej wzywając, ani jej się obawiając, śmierci, która mało bardzo szczęścia, a wiele nieszczęść w życiu mojem dokończy. Już ona ciebie mi, najlepszego serca Wincenty Matuszewiczu, wydarła; on majątny chciał żyć ze mną w domu moim do śmierci, że żyjąc na wielkim świecie, tęsknił do człowieka, jak mi to pochlebnie mówił. Już Elżbieta Branicka, siostra nieboszczyka króla, 80-letnia pani, oddawna łaskawa na mnie, i której dom lubilem, napisawszy list do mnie sześciu dniami przed śmiercią swoją, ażeby do niej przyjechał, zgasła. Już w tymże tygodniu wojska Laskowska, sąsiadka moja, skonała, której serce najlepsze znane dla wszystkich, a dla mnie w szczególności dom jej był najmilszym, że tam często jeździłem, dla bawienia się z edukującymi się razem z córką jej kilką szlacheckimi pannami, do których tak jak do uczniów Sempiniego listy obyczajnie pisywałem. Te trzy śmierci, w kilku niedzielach zdarzone, skwaśniły bardziej życie moje, o które prócz tego mniej dbałem, straciwszy po traktacie w Tylży nadzieję tak pożądaną i, jak się zdawało, tak bliską widzenia ojczyzny mojej zmartwychwstałej.

Znowu zabłysnęła nadzieja większa, kiedy przez Bonapartego i Polaków z nim wojujących, księż-

two Warszawskie wzięte od Prus, Prusy przez Francuzów zgnębione ze wszystkim, Austria pod Austerlic upokorzona, o czem dzieje wieku tego obszerniej będą opisywać.

Co się tyczy Polski, Bonaparte pamiętny, że Polacy córkę elektora saskiego na sejmie zrobili królową polską, ojca jej zrobił księciem warszawskim i razem królem saskim, i wtenczas Napoleon zatrząsł Europą całą, który z ojca ubogiego szlachcica w Korsyce cesarzem francuskim koronowany, rozwiódłszy się potem z pierwszą żoną, cesarza austriackiego córkę poślubił i z nią syna rzeźwego, jak i on, spłodził.

Gdyby był ten wielki Napoleon natenczas przestał, całą Europę upokorzywszy, między upokorzonych królów wieczny pokój wprowadził, jakżeby go potomne wieki uwielbiały! Ale on, zapędziwszy się po odebraniu Smoleńska, aż do stolicy dawnej Rosyanów Moskwy, odebrał ją wprawdzie i spalił, ale sam potem dla głodu w wojsku swoim i dla mrozów niezmiernych połowę wojska utraciwszy, ledwie z resztą uciekł i już potem nie powstał. Nakoniec i z Francyi wypędzony, na wyspie Elbie osadzony, a ztamtąd, gdy jeszcze wypadłszy do Francyi, tłumy narodu tego do siebie pościągał, znowu przymuszony uciekać przez Europę przeciw niemu powstała, oddawszy się Anglikom, przez nich na wyspę świętej Heleny zawieszony, pilnie strzeżony, spokojnie siedział i tam umarł.

Co do mnie, spodziewając się umrzeć niezabawem, już testament napisałem, czyniąc podług woli mojej zupełne rozporządzenie, a chcąc doprowadzić stałe postanowienie, uważając siebie coraz bardziej cierpiącym i doświadczającym od lat 20-stu czarnej melancholii, która coraz się bardziej powiększa, przedsięwziąłem kupić wieś dziedziczną, abym, usunąwszy się od zgiełku wielkiego świata, z miłą dla mnie wnuka, mego Franciszka Kozierowskiego, familia

przepędził ostatek dni życia mojego. Ale już obrzydziłem sobie świat i ten wiersz często powtarzam: „O mundus immundus, a vita invita, liber me, libera me.“ W starości mojej terazniejszej przychodzą mi na myśl, i też melancholię powiększają, zdróżności moje młodszego wieku; także w życiu mojem byłem trochę do pychy skłonny, ogadujący drugich, w pierwszym zapędzie gniewu nieumiarkowany, aż do chorowania, dlatego unikałem okoliczności i ku latom podeszłym, gospodarstwo domowe na wnuka mego, Franciszka Kozierowskiego, zupełnie zdałem. Byłem skłonny do kobiet, ale ostrożny, żem nigdy nie chorował, ani rozpustny, żem zdrowie nad rozkosz cenił. Byłem chroniący się od możności wydatków niepotrzebnych, a szanującym, do zadziwienia inszych, rzeczy nabyte, tak mam dotychczas zwierciadło z szufladami do golenia się, które całe służy mi od 44, a zegarek od 49 lat, tylko jak stary sługa pomalu idąc opóźniający się trochę. I taką oszczędnością przyszedłem do 130,000 i do kolonii Kraśnika, moim kosztem erygowanej.

Do kościołów nie często kwapiłem się, ale widuję Cię, Boże mój, na słońcu wschodzącym siedzącego i oglądającego światy niepoliczone. — Gry hazardowej i pijaństwa nie lubiłem. — Byłem trochę chępliwym, ale w posiedzeniach w żartach nieupokarzający drugiego, pierwsze mi miłość własna wtrącała, a drugiego miłość bliźniego zakazywała. Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby nie mnie były wyrządzone. Na nędzę ludzką, osobliwie biednych, tkliwy, i tę tkliwość za zasługę sobie nie poczytuję, bo serce takie wzięłem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi.

W roku 1812, podczas nieszczęśliwych rozruchów wojny, zniszczony w mojej kolonii, nie wszystko utraciłem, bo 160 dukatów wrzucone w studnię ocalały, wkrótce wpadli kozacy, zabierając odzienie

i bieliznę moją. A z tych jeden przystąpił do mego kantorka i rzecze: „Otwórz, bo siekierą rozbiję, i daj pieniądze.“ Dobyłem tam będących 60 dukatów zlokowanych w tabakierce mi danej od monarchy Aleksandra I, wysypałem je na stół i z czuciem rzekłem do kozaka: „Nie zabieraj, na Boga proszę, biednemu starcowi tych pieniędzy.“ — On, odrachowawszy sobie 20 dukatów, resztę mnie oddał. Tę jego dobroczynność uwielbiam.

Wkrótce potem Franciszek Kozierowski, wnuk mój po siostrze, gospodarując przy mnie, ożenił się z Anną z Tolkaczów wdową Zdzitowiecką, przystojną i gospodarną. To ożywiło mój dom, a chroniąc się kłopotów, ustąpiłem prawa mego 50-letniego z całym dochodem do kolonii Kraśnika temuż wnukowi. Naostatek uskuteczniłem moją chęć kupienia jakiej wioski dziedzictwem, jakoż i kupiłem w powiecie wołkowyskim, wioskę Charowszczyznę od WJPana Wincentego Orzechowskiego, sędziego granicznego tegoż powiatu, za którą z poślinami do skarbu monarszego należnemi sto tysięcy złotych zapłaciłem. Po śmierci zaś mojej wnuk, Franciszek Kozierowski, którego doświadczyłem od dzieciństwa przywiązania i we wszystkim dla siebie powolności, tejsze wsi dziedzicem będzie, uskuteczniając jednak zawsze wolę i rozporządzenie moje, w ostatnim testamencie moim uczynione. Sprowadziłem się do tej nowo kupionej wioski od lat trzech i tu spokojnie mieszkam, gdzie ze mną Kozierowski z żoną, z dziećmi i z całym gospodarstwem sprowadził się. Zabudowanie tu w Charowszczyźnie mam wygodne, blisko Łysków miasteczko, gdzie raz tylko przez rok wyjeżdżam i to na spowiedź wielkanocną, a dla słabości zdrowia nigdzie więcej, choć mam blisko sąsiadów wiele, którzy mnie kochają. O dwie mile odemnie mieszka starosta Sieheń, który od lat 40 jest moim przyjacielem, czasem u mnie bywa, ale choć go prawdziwie kocham, bywać u niego nie mo-

gę dla słał ści zdrowia, w której ledwie mogę po pokoju przeo ozić się, więcej dnia na lezeniu i trochę siedzeniu przepędzając.

Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś 81 życia mego, i będąc tak już na siłach słabym, żegnam się z wami najpierwej krewni moi Franciszku Kozierowski z żoną i sześciorgiem dziećmi twojemi; żegnam się też z wami, najdawniejsi, bo więcej od lat 40 przyjaciele moi: Karolu Prozorze, obożny litewski, i Ignacy Sieheriu, starosto krzemeńczucki; jakże mi miło będzie z wami, jako z ludźmi poczciwymi i na tamtym świecie obaczyć się! Ale obaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie, ojcie mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czem ty mnie w młodości mojej napominałeś, ale przynajmniej od owego nożyka, w dzieciństwie od parobka skrycie wziętego, nikomu, jak sobie przypominam, krzywdy nie zrobiłem. Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mnie konając napominał, i chociaż ta droga wiodła mnie czasem do umartwienia, ale też taż sama prawda wyznana, jakieś mi to przepowiedział, słodziła potem smutki. Ty pewnie u Boga naszego dobrego jesteś położony, powiedz za dziecięciem twojem, żem był ułomny, ale przynajmniej starał się, aby zbrodniarzem nie był.

K O N I E C .



~~1068~~ 3826 537

KARPIŃSKI F.

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
W CHEŁMIE

CZYTELNIA

821.162.1(091) A/W